ROK XIII NR 4 (565) LONDYN, KWIECIEŃ 1959 R. CENA 3/-

ŻYCIE

KATOLICKI MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

SPRAWY I LUDZIE

ORĘDZIE WIELKANOCNE OJCA ŚW. jest odezwą zmartwychwstańczą i odnowieńczą: „...Kościół w ciągu wieków miał wrogów, którzy starali się zamknąć go jakby w grobie i za każdym razem już radowali się jego agonią i śmiercią. Ale Kościół zawiera w sobie niezwyciężoną siłę Założyciela i z Nim zawsze zmartwychwstaje, przebaczając wszystkim, niosąc spokój ducha i pokój maluczkim, biedakom, cierpiącym..."

Papież pamięta o cierpiących: „...Modlimy się specjalnie za tych czcigodnych braci i siostry najdroższych nam, którzy są oderwani od swych rodzin, swoich ojczyzn, samej wolności pozbawieni..."

„...Chrześcijaństwo — woła Jan XXIII — nie jest nagromadzeniem zakazów, jak to sobie wyobrażają niewierzący. Przeciwnie, chrześcijaństwo to pokój, radość, miłość i życie... zawsze odnawiające się..." Świadczą o tym choćby zmiany w liturgii paschalnej, jak i wszystkie ostatnie reformy liturgiczne ułatwiające wiernym świadome uczestnictwo. Miłość: już nie mówimy „perfidi" o Żydach i klękamy modląc się za ich nawrócenie. Kościół się otwiera, jak w Paryżu, gdzie na zakończenie nocnej Mszy św. wielkanocnej wierni wylegają z kościołów z zapalonymi świecami i wychodzi paschał zapalony i idzie krzyk w miasto „Chrystus zmartwychwstał! Alleluja!" i miasto odpowiada „Alleluja!". — „Kościół nie jest schroniskiem dla tych, których życie męczy i przeraża, ale jest okrętem żeglugi wielkiej..." pisze ks. Roquet w głośnej książeczce „On nous change la religion!" („Zmieniają nam religię!", Ed. Cerf).

✱

W ścisłym zarządzie **NAJWYŻSZEJ RADY DO SPRAW EMIGRACYJNYCH** przy świętej Kongregacji Konsystorialnej zasiada Opiekun Uchodźstwa Polskiego, **J. E. KS. ARCYBISKUP DR J. F. GAWLINA.**

✱

Papieskie „motu proprio": **BONI PASTORIS** ustaliło istnienie **PONTYFIKALNEJ KOMISJI DLA SPRAW KINA, RADIA I TELEWIZJI**, powołanej w 1948 jako eksperymentalnej. Ojciec św. wzywa do akcji katolickiej w odniesieniu do tych trzech dziedzin. Powstaje „Cineteca" w Watykanie. Przewodniczącym Komisji będzie nadal Biskup O'Connor, rektor Płn. Amerykańskiego Kolegium w Rzymie.

W W. Brytanii przewodniczącym Katolickiego Instytutu Filmowego jest nasz przyjaciel Frank Mildner, przewodniczący „Rycerzy św. Kolumby". Biuletyn Katolickiego Centrum Radiowego „Annunciation" ma się stać oficjalnie pismem katolickim dla spraw filmu, radia i telewizji.

✱

Kwietniowy **CZYN KATOLICKI** w ostatnim miesiącu II roku Nowenny Narodu przed tysiącleciem przypomina tegoroczne założenie programowe: „Pragniemy uświęcić życie narodu unikając grzechu ciężkiego i żyjąc w łasce Bożej". IPAK zwraca się do szeregów Apostolstwa Modlitwy, aby modlić się o pomoc Bożą w dziele apostolstwa świeckich.

CZYN informuje o dekrecie Kongregacji św. Oficjum z 6.3.59, zakazującym rozpowszechniania obrazów i pism, które propagują nabożeństwo do Miłosierdzia Bożego w sposób podany przez s. Faustynę Kowalską. „To orzeczenie — pisze CZYN — nie zabrania jednakże rozpatrywania Miłosierdzia Bożego jako przymiotu Boga w oparciu o Pismo Święte i Tradycję, jak np. czyni to ks. dr M. Sopoćko w nowej książce pt. „Miłosierdzie Boga w dziełach Jego", wydanej niedawno przez KOW Veritas w Londynie".

✱

Związek Dziennikarzy R.P. wydał oświadczenie w sprawie zgonu w więzieniu w Kraju ś. p. **ADAMA CZEKALSKIEGO**, korespondenta „Narodowca", powtórnie aresztowanego w r. 1958, skazanego za wykonywanie zgodnie ze swym sumieniem zawodu dziennikarskiego.

✱

W skład nowej **EGZEKUTYWY ZJEDNOCZENIA NARODOWEGO**, powołanej po ustąpieniu prez. A. Ciołkosza, weszli: dr W. Czerwiński — przewodniczący, dr J. Starzewski, Z. Stypułkowski, K. Sabbat, K. Mochliński.

Rozpoczęły się rozmowy sygnatariuszy Aktu Zjednoczenia w sprawie rewizji Aktu.

✱

Do osiągnięć **SPUL-u (Stowarzyszenie Polskie na Uniwersytecie Londyńskim)** przybyło nowe. Dzięki staraniom energicznych leaderów Stowarzyszenia, na czele z prezesem A. Wrońskim i sekretarzem B. Watrasiewiczem, przy czynnej pomocy prezydenta SPUL-u, dr H. Sawistowskiego, koncert, ofiarowany przez **Witolda Małcużyńskiego** na rzecz pomocy studentom z Polski, stał się budującym przykładem współpracy polsko-brytyjskiej na terenie uniwersyteckim.

Polscy studenci uzyskali pełne poparcie swoich kolegów brytyjskich z University of London Union. Protektorat dał Uniwersytet Londyński; patronat objęli: wicekanclerz Charles F. Harris, „chairman of convocation" Percy Dunsheath i „principal" Sir Douglas Logan. Do komitetu organizacyjnego weszli: jako przewodniczący J. Berridge, prezes ULU, jako skarbnik D. J. Wenden, członkowie: ze strony brytyjskiej — Miss J. Cranston, B. Gomperts, D. Jaques, J. Pearson, ze strony polskiej — panie M. Badowicz i A. Kulczycka, dr H. Sawistowski i A. Wroński.

Dochód z koncertu daje początek funduszowi stypendialnemu dla studentów z Polski. Początek, bo inicjatorzy polscy i brytyjscy chcą akcję prowadzić dalej i zachęcić inne ośrodki uniwersyteckie do pójścia za ich przykładem. **John Berridge** jest drugim z kolei prezesem londyńskiego Union'u, który odwiedza Polskę (jak jego poprzednik Tom Dale). W ten sposób powstaje w brytyjskim świecie uniwersyteckim polskie „lobby" z zadaniem pomocy dla polskiej młodzieży akademickiej z Kraju. W konkretnej współpracy umacnia się przyjaźń wśród młodzieży obu krajów oraz wzajemna znajomość potrzeb i dążeń.

Żywą ilustracją ducha koleżeństwa i zrozumienia był doroczny bankiet SPUL-u, zorganizowany przez Imperial College Polish Society, gdzie mówcami byli: dr Sawistowski, amb. Raczyński, A. Wroński, B. Watrasiewicz, J. Berridge i znany satyryk George Mikes. Ciekawe sprawozdanie z tego spotkania zamieścił marcowy **„MERKURIUSZ POLSKI — ŻYCIE AKADEMICKIE"** w numerze specjalnym z okazji koncertu Małcużyńskiego. Na wstępie numeru dano dobry artykuł J. P. Mańkowskiej po angielsku o celach koncertu i o artyście, którego ofiarność umożliwiła tę nadzwyczaj pożyteczną akcję.

SPIS TREŚCI

LADY WINEFRIDE ELWES



Simon Elwes: portret matki

Polacy dzielą z katolikami brytyjskimi żałobę z powodu odejścia do chwały wiekuistej Lady Winefride Elwes. Była bardzo dobra, bardzo święta i bardzo kochana. Umarła w wieku lat 90.

Dla nas Lady Winefride to przede wszystkim honorowy prezes Angielsko - Polskiego Stowarzyszenia Katolickiego (APCA), oddana i wierna przyjaciółka Polski i Polaków, nieustraszony adwokat naszej sprawy, protektorka wszelkich akcji pomocy dla polskich uchodźców w Anglii. Pamiętała powstańczych emigrantów ub. stulecia. Pomimo podeszłego wieku, kalectwa, postępu ślepoty i głuchoty, jeszcze kilka lat temu na elektrycznym wózku spieszyła na każde polskie zebranie i zaganiała z niesłabnącą energią swoją rodzinę i szerokie koła znajomych do akcji na rzecz polskich potrzeb.

Lady Winefride Fielding, córka Lorda Denbigh, pochodziła z nieprzerwanie katolickiej rodziny. Jej mąż Gervase Elwes, śpiewak, sławny odtwórca newmanowskiego „Snu Gerontiusa" Elgara, zginął w kolejowym wypadku w Bostonie. Mieli ośmioro dzieci; licznemu „klanowi Elwesów", gdzie Polacy mają czynnych przyjaciół, przewodzi dziś pięciu synów Lady Winefride: Msgr. Val Elwes, kapelan katolicki Oksfordu; płk Guy Elwes, Bajlif-Prezydent Zakonu Maltańskiego w Wielkiej Brytanii; sędzia, Sir Richard Elwes; ks. Rudolph Elwes, b. płk; Simon Elwes, znany portrecista.

Niestrudzona w robocie społecznej, Lady Winefride, była przez długie lata prezydentką Katolickiej Ligi Kobiet w W. Brytanii i prezesem Stowarzyszenia N. M. Panny Dobrej Rady. Wydała biografię swego męża i tom wspomnień „The Fielding Album" (1951).

Cechowała ją żarliwa pobożność. Na swoim wózku co roku towarzyszyła pielgrzymom w pochodzie ku czci angielskich Męczenników (Tyburn Walk). Troszczyła się o potrzebujących i biedaków, rozumiejąc sercem niedolę bliźnich.

Będziemy pamiętać jej donośne okrzyki protestu przeciw zdradzie jałtańskiej na

wielkim wiecu katolickim w Londynie w obronie Polski w roku 1945. Jesteśmy wdzięczni za jej gotowość podawania pomocnej ręki polskim katolikom i katolickiej Polsce.

✱

APCA — Anglo-Polish Catholic Association — Angielsko-Polskie Stowarzyszenie Katolickie zawiadamia o zmianie adresu; **nowy adres: 26-28, Pont Street, London, S. W. 1.** (dom Polish Research Centre).

APCA nadal prowadzi ofiarną akcję pomocy przede wszystkim wysyłkę lekarstw do Polski (na podstawie zaświadczeń miejscowego proboszcza i lekarza). Fundusze czerpie ze składek i darów a także z zapisów testamentowych wiernych przyjaciół Polski wśród katolików brytyjskich.

Biuletyn marcowy Stowarzyszenia (redagowany przez sekretarzą gen. Miss M. R. Adamson) zawiera wspomnienie o ś. p. Lady Winefride Elwes.

✱

INSTYTUT HISTORYCZNY IM. GEN. SIKORSKIEGO w Londynie (20, Princes Gate, S. W. 7; prez. zarządu: gen. dr M. Kukiel; p.o. dyr. ppłk. M. Piekarczyk) potrzebuje poparcia społecznego. Zarząd Instytutu zabiega o rozszerzenie kręgu członków-przyjaciół wśród rodaków oraz polskich organizacji.

Sprawozdanie za lata ostatnie i broszura, wysyłane na żądanie, obrazują dorobek instytucji: akcję archiwalną (w szczególności akta II wojny), muzealną, naukową i wydawniczą („PSZ w II wojnie światowej", „Bellona", „Teki historyczne", „Akty i materiały do dziejów Polski w dobie II wojny światowej"), współpracę z instytucjami naukowymi w Kraju i zagranicą.

✱

FUNDUSZ SKARBÓW WAWELSKICH przy Fundacji Paderewskiego (Paderewski Foundation Inc., 55 West 42nd Street, New York 36, N.Y., USA; Polish Royal Treasures Chest) apeluje o poparcie akcji wydania ilustrowanej monografii skarbów z tekstami w języku angielskim. Fundusz informuje o dokonaniu kolorowych mikrofilmów zabytków, które powróciły do Polski.

Komitet FSW: F. Basista, B. Gerard, J. A. Głowacki, A. Janta, S. Lenartowicz, dr J. Lichten, ks. dr I. Olszewski, J. Pułaska, A. Radziejowska, S. Strzetelski, A. Styka, dr W. Wagner, J. Walczak, D. Wandycz, W. Zachariasiewicz. Komitet honorowy: gen. K. Sosnkowski, ks. prał. F. F. Burant, J. Dec, dr Haidasz, prof. O. Halecki, prof. W. Lednicki, F. X. Świetlik, M. S. Szymczak, ks. Biskup S. P. Woźnicki, J. Wittlin, K. Wierzyński.

✱

APEL OFIAR WOJNY Z U. J.

Senat Uniwersytetu Jagiellońskiego postanowił uczcić pamięć należących w roku akademickim 1938/9 oraz w okresie tajnego nauczania do U. J. wszystkich osób, które padły ofiarą wojny. W związku z tym Komisja senacka dla uczczenia ofiar drugiej wojny światowej zwraca się z gorącym apelem do wszystkich rodaków przebywających obecnie stale zagranicą o podanie nazwisk, profesorów, docentów, pomocniczych sił naukowych, pracowników administracyjnych a **przede wszystkim studentów U. J.**, którzy w czasie drugiej wojny światowej padli w walce o wolność ojczyzny lub w inny sposób stali się ofiarami wojennej zawieruchy. Komisja prosi rodziny, przyjaciół i znajomych o podawanie nazwisk oraz w miarę możliwości udokumentowanych okoliczności, wśród jakich nastąpiła śmierć pracowników naszej uczelni.

Nazwiska i dane dotyczące tych osób prosimy nadsyłać do końca roku 1959 na adres: Uniwersytet Jagielloński, Komisja dla uczczenia ofiar II-ej wojny światowej, Kraków, Gołębia 24.

ROZPOWSZECHNIAJ ŻYCIE

FUNDUSZ ŻYCIA

Kuratorzy i Kierownictwo K. O. W. „Veritas" oraz Zespół i Redakcja ŻYCIA — D Z I Ę K U J Ą tym wszystkim, którzy okazali troskę i zrozumienie dla sprawy ŻYCIA i przyszli z pomocą moralną i materialną, przez złożenie ofiary na **FUNDUSZ ŻYCIA** czy wcześniejsze nadesłanie prenumeraty, czy zdobycie nowej prenumeraty.

ZŁOŻYLI OFIARY NA FUNDUSZ «ŻYCIA»

(w porządku chronologicznym do 13. 4. 1959)

J. Tokarscy	£ 2. 0.0
S. G.	1. 0.0
Ks. kanonik S. Bełch	2. 0.0
Dyr. F. Pawlak	1. 0.0
Płk A. Kosiba	2. 0.0
Mgr M. Grabowski	10. 0.0
H. Tomanówna	1. 0.0
A. Malkiewicz	3. 0.0
Dr T. Felsztyn	5. 0.0
E. i J. Pomorscy (Belgia)	fr. b. 100.—
Dr J. Kułakowski (Belgia)	fr. b. 100.—
Gen. S. Kopański	£ 0.10.0
Z. E. Wałaszewski	1. 0.0
L. Czosnowski	1. 0.0
A. Szajek	1. 0.0
Kons. L. Śliwiński (Maroko)	10. 0.0
Ks. dziekan A. Głażewski	1. 0.0
Red. S. Łochtin	2.10.0
T. Szmitkowski (Szwajcaria)	1. 0.0
J. Skoryna-Lipski (Meksyk)	2. 0.0
Dr O. Czarliński	2. 0.0
S. Pierończyk	0.10.0
Prez. S. Jóźwiak	2. 0.0
A. Laskowicz	0.10.0
Red. A. Bregman	0.10.0
J. Krajewski	0. 5.0
S. Machel	0.11.0
Z. Kukla	1. 0.0
M. i Ch. Habichtowie (Szwajc.)	2. 0.0
A. Pośpieszalski	1.10.0
Dr J. Szułdrzyński (Etiopia)	5. 0.0
J. Grządziel (USA)	1.14.0
Ks. prałat A. Banaszak (Francja)	3. 0.0
J. Węgrzyńska-Kościałkowska	3. 0.0
Dr P. Wandycz (USA)	dol. 3.00
A. Sczaniecka	£ 1.0. 0
A. Kurnatowska	1. 0.0
J. E. Ks. Bp A. Kozłowiecki T.J., (Płn. Rodezja)	5. 0.0
Dr Z. Szyszkowski	1. 0.0
Prof. S. Gryziewicz (Etiopia)	5. 0.0

DZIĘKUJEMY! Dziękujemy także tym, których ofiary nadeszły po oddaniu numeru do druku, dziękujemy tym, którzy zechcą ofiarę nadesłać w odpowiedzi na apel.

Napłynęło sporo prenumerat i zapowiedzi prenumerat. Dostaliśmy obietnice zwiększenia sprzedaży. Otrzymaliśmy wiele listów i odezwań się z wyrazami życzliwej zachęty, dobrymi radami i praktycznymi wskazówkami. DZIĘKUJEMY!

Nie mogąc wymienić wszystkich życzliwych korespondentów, którzy możliwie najrychlej odpowiedzi dostaną, dziękujemy wszystkim na ręce tych, których odzew był szczególnie cenny. J. E. Ks. Biskupowi A. Kozłowieckiemu, Przewielebnym Księżom: Prał. A. Banaszakowi, Kan. A. Nosalowi, O. Red. S. Skudrzykowi, Ks. M. Poradowskiemu, Paniom: M. Małachowskiej i Z. Kukli, Gen. J. Hallerowi, Prof. T. Romerowi, Pp. M. Habichtom, Dr. E. Pomorskim, Prof. T. Domaradzkiemu, Prez. J. Skorynie-Lipskiemu.

WYNIKI...

Odzew w postaci już otrzymanych ofiar na **FUNDUSZ ŻYCIA**, prenumerat i zapowiedzi zakupów większej ilości numerów — stanowi **ZNACZNĄ POMOC.**

Jeżeli wszystkie obietnice zostaną spełnione, jeżeli spodziewana jeszcze ofiarność przyjaciół nie zawiedzie, jeżeli wszczęte starania dadzą wynik dobry, — **WYJDZIEMY Z TRUDNOŚCI.**

W NUMERZE MAJOWYM ZDAMY NASTĘPNE SPRAWOZDANIE.

Ażeby utrzymać pismo bez zawieszania, bez przerywania ciągłości, kierujemy do wszystkich czytelników, sympatyków i zainteresowanych, do obywateli zasłużonych w popieraniu polskich poczynań — **PROŚBĘ O POMOC w miarę Ich chęci i możliwości.**

Prosimy o DANIE PRZYKŁADU I ZACHĘTY szerszym kołom społeczeństwa do **ZASILENIA FUNDUSZU ŻYCIA i współdziałania w zwiększeniu prenumerat i sprzedaży, tak, by W CIĄGU ROKU PISMO OSIĄGNĘŁO SAMOWYSTARCZALNOŚĆ.**

(Ofiary prosimy wpłacać na „VERITAS FOUNDATION — FUNDUSZ ŻYCIA".

Prenumerata ŻYCIA:
kwart.: 9/-; dol. 1.50; fr. 620;
półrocz.: 18/-; dol. 3.00; fr. 1240;
rocznie: 36/-; dol. 6.00; fr. 2480.)

WYJAŚNIENIE...

W związku z nieporozumieniami, jakie tu i ówdzie wynikły, pragniemy wyjaśnić, że **W ŻADNYM RAZIE NIE BYŁO ZAMIERZONE ZAMKNIĘCIE ŻYCIA. Zawieszenie grozi jeszcze, CHOĆ UZYSKANA i PRZYOBIECANA POMOC POZWALA MIEĆ NADZIEJĘ, IŻ UDA SIĘ TEGO UNIKNĄĆ.** Starania trwają.

W każdym jednak razie, nawet w wypadku zawieszenia na z góry ustalony okres, nie ustaną starania, aby pomoc konieczną uzyskać i wydawanie ŻYCIA wznowić. Ofiary byłyby gromadzone na **FUNDUSZ ŻYCIA. Każda prenumerata wpłacona lub obiecana byłaby zobowiązaniem wykonywanym z chwilą wznowienia pisma.** Utrzymany byłby kontakt prenumeratorami.

A więc nie istnieją przeszkody w **ZDOBYWANIU PRENUMERAT** lub ich obietnic, nawet gdyby ŻYCIE na ustalony okres zostało zawieszone.

BÓG ZAPŁAĆ!

Redakcja

Wśród podpisów Zespołu ŻYCIA pod apelem „Idziemy dalej czy zawieszamy?" nie umieszczono przez żałosną pomyłkę nazwiska **JANA TOKARSKIEGO**, za co przepraszamy naszego przyjaciela i przepraszamy Czytelników. **Red.**

HALINA ZELEŃSKA

ZIARNKO GORCZYCZNE

Po dwudziestu wiekach istnienia Kościoła, chwila jego narodzin już nie zawsze jest odczuwana jako wciąż aktualna rzeczywistość. Skłonni jesteśmy zamykać ją w ramach przeszłości, jako fakt dokonany, którego skutki wprawdzie widzimy wokoło siebie, ale w formie tak odmiennej od pierwowzoru, że łączność między naszym dziś a owym odległym wczoraj, wydaje się tylko historyczna. Gąsienica pełzająca wśród liści nie dostrzega ukrytych korzeni, których sok barwi je młodą zielenią. My też, otoczeni bogactwem i różnorodnością przejawów życia Kościoła, zatracamy nieraz poczucie jego organicznego charakteru. Kształt zewnętrzny tego życia może ulegać zmianom, ale istota pozostaje zawsze ta sama.

A przecież wiemy, że: „Podobne jest Królestwo niebieskie ziarnu gorczycznemu, które wziąwszy człowiek posiał na roli swojej. Jest ono wprawdzie najmniejsze ze wszelkiego nasienia, ale kiedy urośnie, większe jest nad wszelkie jarzyny i staje się drzewem, tak że przychodzą ptaki niebieskie i mieszkają na gałęziach jego." (Mat. 13, 31-32). Mały gładki żołądź nosi w sobie całą bujną rosochatość dębu, a rozłożyste konary i plątanina gałęzi olbrzyma odnajdują się znów w prostej jednolitości żołędzia. Między nami a garstką pierwszych uczniów Chrystusa płynie nieprzerwany strumień życia jednego organizmu.

Kościół nie jest przez ludzi ustanowioną instytucją. Jego powstanie to doprawdy narodziny, twórczy akt Boży. Jak wszelkim przejawom jawnego i bezpośredniego działania Boga w dziejach ludzkości, towarzyszy mu napięcie dramatyczne cudu.

Epopeja Starego Przymierza pełna jest gwałtownych kataklizmów, skamieniałych fal morskich, słupów ognistych i gór wstrząsanych gromem głosu Stwórcy, które olbrzymim freskiem niezwykłości roztaczają się na kartach Mojżeszowej Księgi Wyjścia. W tej panoramie grozy i potęgi, pod ogromnym niebem pustyni, roją się wielotysięczne rzesze narodu o twardym karku, nieokiełznane jeszcze i swarliwe, podczas gdy jeden samotny człowiek pośredniczy między nimi a Bogiem i zmaga się z krnąbrnością opornych własnemu przeznaczeniu.

Chwila narodzin Kościoła ma inną wymowę. I tu nastąpić ma Exodus ludu Bożego, przejście z ciemności wygnania grzechu do promiennego łaską życia w wolności odkupionego świata. Moment ten o zasięgu kosmicznym, bo całość stworzenia wciągnięta jest za człowiekiem w wędrówkę ku nowemu niebu i nowej ziemi wieczności, nie posiada jednak gigantycznych rysów obrazu, który był jego zapowiedzią. Napięcie dramatyczne cudu wynika tu właśnie z kontrastu między zgrzebnym ubóstwem ludzkiej rzeczywistości a olśniewającą błyskawicą aktu Boga, który ten znikomy kształt wypełnia nagle płomieniem własnego ducha. Narodziny Kościoła mają na sobie znamię pokory Wcielenia.

Nowe Przymierze dokonuje się w czterech ścianach Wieczernika, gdzie mała garstka ludzi modli się, złączona w wewnętrznym skupieniu posłuszeństwa. Dom, taki jak wiele innych w Jerozolimie, był tego ranka wysepką ciszy w świątecznym rozgwarze miasta. Nadszedł dzień pięćdziesiątnicy i Jerozolima kipiała tłumem pielgrzymów z najodleglejszych zakątków diaspory. Okrzyki i nawoływania w greckiej i łacińskiej mowie, w różnych narzeczach Wschodu, dolatywały z zaułków, gdzie koczował lud wielojęzyczny, złączony jednak wspólną wiernością dla Prawa i Świątyni. Porykiwanie wielbłądów, bek zwierząt ofiarnych, wrzaski targujących handlarzy, przenikały przez mury Wieczernika. Ale dom milczał w oczekiwaniu. Nikt wewnątrz nie poruszył się, by jak co roku iść z całym Izraelem do Świątyni. Wszyscy mieli jeszcze w oczach bolesną jasność, która ukryła im odchodzącego do nieba Jezusa, a w uszach dźwięk Jego głosu, gdy wypowiadał ostatnie swe słowa na ziemi: „Kiedy zstąpi na was Duch Święty, otrzymacie jego moc i świadczyć będziecie o mnie w Jerozolimie, w całej Judei, w Samarii, a nawet aż po krańce świata." (Dz. Ap. 1, 8) Nie rozumieli jak tego mają dokonać. Nie wiedzieli nawet kiedy i w jaki sposób spełni się obietnica. Zgromadzeni razem w jednym miejscu trwali na modlitwie i posłusznie czekali.

Nagle ten cichy, skupiony w sobie dom rozpłomienił się i zahuczał oddechem wichru, tak gwałtownym, że zdusił gwar uliczny. Stanęli jak wryci przechodnie, inni nadbiegali zewsząd, przerażeni, ale ciekawi. Wówczas drzwi domu rozwarły się raptem i ku zgromadzonej gawiedzi wypadli ludzie jakby pijani uniesieniem.

Na pozór nic się w nich nie zmieniło. Mają te same co przedtem ręce rybaków, chropowate od szorstkości sieci, te same ciała i serca urobione życiem prostym jak samodział, który ich okrywa. Ale wewnątrz są przetworzeni. Przed chwilą niepewni i trwożliwi, teraz wychodzą ku tłumom. Jeszcze niewiele dni temu, już po rozświetlającej jasności Zmartwychwstania, zadawali Jezusowi wiecznie dręczące ich pytanie: Panie, czy w tym czasie powrócisz królestwo Izraelowi? — teraz, w ogromnej wizji proroczej obwieszczają wszystkimi językami ziemi nadejście ery mesjanicznej. Wszystko, czego byli świadkami przez ostatnie trzy lata, od chrztu Jezusa w Jordanie po Wniebowstąpienie, widzą nagle od nowa, na olbrzymim tle zamierzeń Bożych od początku aż do końca świata. Oczy ich dopiero w tej chwili otworzyły się naprawdę do życia. W każdym z nich obudził się nowy człowiek. Jednak w twórczym płomieniu Ducha narodziło się jeszcze coś więcej, Kościół, małe ziarno gorczyczne, w którego jądrze wszystkie poszczególne pędy złączone są jednością życiodajnego źródła.

Wybitny konwertyta niemiecki, Heinrich Schlier, opisując niedawno dzieje swego nawrócenia, twierdzi, iż głębokie, historyczne studium Nowego Testamentu zadecydowało o jego wejściu do Kościoła. „Wydaje mi się — mówi — że Nowy Testament ujawnił mi prawdę, której Kościół uczył niezawodnie od samego początku. Jest nią prosty fakt, że Kościół już stał się, zanim narodził się każdy poszczególny chrześcijanin... On jest ciałem Chrystusa w swoich członkach, a więc — w konsekwencji — jest zawsze czymś więcej niż sumą członków i zawsze 'przed' członkami. Jest doprawdy ciałem Głowy, którą jest Chrystus".

Poczucie organicznej wspólnoty widoczne jest od samego początku. Gdy św. Piotr przemawia do zbiegowiska, które w dziwnym uniesieniu gromadki z Wieczernika podejrzewa skutki pijaństwa, staje przed nimi nie sam, ale uroczyście, w otoczeniu apostołów, jako Namiestnik Chrystusa na czele hierarchii. Za nimi skupia się reszta uczniów. Cały Kościół przemawia jednym głosem Piotra. Toteż przez proste jego słowa przebija majestat wprost od Boga pochodzącego autorytetu. Przypomina dawne proroctwa, stwierdza Zmartwychwstanie i Wniebowstąpienie ukrzyżowanego Jezusa, zapowiada ostateczne Jego przyjście w mocy i chwale i kończy: „Niechże więc cały dom Izraela wie z całą pewnością, że tego właśnie Jezusa, którego wy ukrzyżowaliście, Bóg uczynił Panem i Mesjaszem" (Dz. Ap. 2, 36).

To było wstrząsające obwieszczenie. Królestwo, na które Izrael czekał od wieków z utęsknieniem, już miało jakoby być pośród nich, ale w jakże innej postaci od tej po ludzku wymarzonej. Zamiast wspaniałego króla, ukrzyżowany nędzarz, zamiast zbrojnych hufców, garstka galilejskich prostaków. Trudno było uwierzyć. Gęsta ciżba zafalowała w niepewności. Czują jednak, że tu, na ich oczach, dokonało sie coś niezwykłego. Tu i ówdzie odzywają się nieśmiałe głosy: co mamy czynić? Odpowiedź Piotra ujawnia duchowy, nadprzyrodzony charakter Królestwa i jego uniwersalność. Nawrócenie, wiara w Jezusa i chrzest w Jego imię sprowadzają odpuszczenie grzechów i dar Ducha Świętego, a obietnica ta odnosi się do wszystkich pokoleń i wszelkich narodów. Takie są owoce Odkupienia. Pobudzony tchnieniem Ducha Świętego, głosząc zwycięstwo Zmartwychwstania, w oczekiwaniu tryumfalnego powrotu Jezusa na końcu czasów, rozpoczyna Kościół swe życie na ziemi.

Do małej grupki z Wieczernika przybyło dnia tego dusz trzy tysiące. Ziarno gorczyczne kiełkuje. Jakiż był wówczas kształt jego życia? Nowonawróceni pozostali razem, skupieni wokół Apostołów, tworząc pierwszą gminę Jerozolimską. Dzieje Apostolskie mówią, że: „trwali mocno przy nauce

apostolskiej oraz w łączności braterskiej, łamali chleb po domach i modlili się... wszyscy, którzy przyjęli wiarę tworzyli jedną rodzinę i mieli wszystko wspólne. Sprzedawali swe posiadłości i mienie swoje, a co zebrali, rozdzielali między wszystkich, stosownie do potrzeb każdego. Codziennie przebywali jednomyślnie w świątyni i łamiąc chleb po domach spożywali pokarm z radością i w prostocie serca... A Pan pomnażał ich liczbę tymi, którzy zbawić się mieli". (Dz. Ap. 2, 42-47)

Ten opis pierwszych dni gminy Jerozolimskiej ma w sobie przejrzystość kryształu, przez który przenikają słowa Chrystusa: „Szukajcie najpierw Królestwa Bożego a wszystko inne będzie wam przydane". Nowonawróceni przeżywają do głębi przemianę, jaka w nich nastąpiła. Podziwiając ten przykład doskonałości, nie ośmielamy się w nim dostrzec niczego co by miało jakikolwiek związek z naszym dniem powszednim. Czasem życie pierwszych chrześcijan wydaje nam się utopią, czymś co istniało przez chwilę i mogło przetrwać w klasztorach, ale musiało zagubić się wśród świeckich, w labiryncie problemów, które stwarza coraz bardziej skomplikowana rzeczywistość. Niektórych uderza przede wszystkim strona materialna, w której widzą jakiś socjalny eksperyment. A przecież nie było w tym żadnego systemu ani ustanowionej z góry reguły. Jeżeli chrześcijanie jerozolimscy dzielili z innymi swe mienie, to dlatego, że żyli jak jedna rodzina, a byli pośród nich głodni i potrzebujący. Właśnie to co może wydawać się utopią było dowodem realizmu religii chrześcijańskiej. Obejmując całego człowieka, nie może pomijać jego działalności w świecie materialnym.

Komasacja dóbr była formą zewnętrzną wynikającą z potrzeby chwili. Istota życia leżała gdzie indziej: w nauce Apostołów, na której chrześcijanie opierali swą wiarę, w społeczności Kościoła, do której wcielał ich chrzest, w łamaniu chleba, ofierze Eucharystycznej, węźle łączności wiernych i znaku przynależności do Ciała, wreszcie we wspólnej modlitwie.

Obraz nauki Apostołów odnajdujemy w Ewangeliach, które powstały na podstawie ich słów. Apostołowie, z wyjątkiem św. Pawła, byli ludźmi prostymi, ale pamięć ich, urobiona judejskim sposobem śpiewnego powtarzania wersetów Pisma, przechowywała wiernie każdy czyn i słowo Chrystusa. Katecheza Apostołów nie polegała na systematycznym wykładzie doktryny, jak nasz dzisiejszy katechizm, nie było też w niej dociekań teologicznych, które przyszły później, na skutek zetknięcia z myślą filozoficzną Grecji. Była po prostu konstatowaniem faktów Bożych, objawionych w życiu, śmierci i zmartwychwstaniu Zbawiciela, a cała nauka z nich wypływała. Co więcej, fakty te rysowały się na tle dzieł Bożych w historii Izraela, które były ich przygotowaniem. Wyjście z Egiptu zapowiadało wyzwolenie z grzechu przez ofiarę Chrystusa, przejście Morza Czerwonego oznaczało chrzest, wędrówka po pustyni w obłoku była obrazem utwierdzenia przez moc Ducha Świętego, a manna znakiem Eucharystii. Ale w tym wszystkim kryło się dalsze znaczenie. Jak wypadki Starego Testamentu prowadziły do Nowego Przymierza, tak ono z kolei wykazywało nadejście nowego bytowania, nowego przeistoczonego wszechświata na końcu czasów. Nauka Apostołów wyrażała się w obrazach o potrójnym nawarstwieniu znaczenia. Mówiąc o życiu, śmierci, zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu Chrystusa, sięgali wstecz i naprzód, ogarniając całą tajemnicę Zbawienia. Znakami sakramentalnymi uprzytomniały ją chrzest, bierzmowanie i Eucharystia, trzy stopnie coraz ściślejszej łączności z Odkupicielem, która osiągnie swą pełnię dopiero na tamtym świecie. Nauka Apostołów nie przemawiała tylko do rozumu, ale pomagała przeżywać dzieło Zbawienia, tak jak to czyni liturgia.

A czym była społeczność Kościoła? Był to lud wybrany przez Boga, ażeby tajemnica życia łaski mogła się w nim ucieleśniać. Św. Piotr mówi, że jest to „plemię wybrane, królewskie kapłaństwo, naród święty, lud nabyty" (I Piotr, 2, 9) Życie chrześcijańskie jest życiem wspólnoty, istota jego polega na przynależności do społeczeństwa ludu wybranego. Charakter tej społeczności określają słowa św. Pawła: „Bóg powołał nas do ściślej łączności z Synem Swoim..." (I Kor. 1, 9), a św. Jan mówi: „łączność, jaką mamy, jest łącznością z Ojcem i Synem Jego Jezusem Chrystusem". (I Jan. 1, 3) Kościół jest to społeczność święta, której członkowie powołani są do uczestnictwa w życiu Bożym przez przybranie za synów w Chrystusie. To przybranie dokonuje się pod działaniem Ducha Świętego. „Otrzymaliście ducha przybrania, w którym wołamy Abba, Ojcze" — pisze św Paweł do Rzymian (Rz. 8, 15). Wspólne życie wiernych w Kościele nie jest więc niczym innym jak udziałem w wewnętrznym życiu Trójcy Świętej. Otrzymują je od Ojca, przez Syna, w Duchu Świętym, jest wciąż tym samym życiem, które napełniło swą mocą uczniów w Wieczerniku. W chwili chrztu, chrześcijanin rodzi się na nowo jako dziecko Boże przez dar Ducha Świętego.

Chociaż życie Kościoła jest w swojej istocie nadprzyrodzone, to jednak, ze względu na naturę człowieka, przenika głęboko w świat materialny i posługuje się znakami materii, jest sakramentalne. Człowiek rodzi się do niego przez chrzest, dochodzi do dojrzałości dzięki darom Ducha Świętego przy bierzmowaniu, a ciągle jest ono zasilane i karmione Eucharystią. W każdym z tych momentów dotyka planu przyrodzonego. Chrzest jest zanurzeniem się w wodzie, bierzmowanie namaszczeniem, a Eucharystia łamaniem chleba, posiłkiem.

Kiedy Jezus, zwykłym gestem gospodarza, rozdawał przełamany chleb apostołom przy ostatniej wieczerzy, to nie tylko zostawił siebie w świecie pod postacią hostii i wina, nie tylko spajał wiernych w jedno ciało przez uczestnictwo w Komunii św., ale także swoją ofiarą Odkupienia ogarniał całe stworzenie. Wszystkie rzeczy pochodzą od Stworzyciela i wszystkie mają do Niego powrócić, uświęcone. Pierwsi chrześcijanie przynosili ze sobą chleb i wino, z których oddzielano część dla konsekracji. My dziś rzucamy na tacę pieniążek. Ten namacalny dowód udziału w ofierze wskazuje, że w niej oddajemy Bogu także całą materialną stronę naszego życia. I tak uświęca się praca ludzka, nauka, sztuka, technika, wszystko co przetwarza świat na użytek człowieka. Przez udział w ofierze Odkupienia, bierzemy na siebie odpowiedzialność, by ten świat, który budujemy naszą cywilizacją, był Boży.

Ale ofiara Eucharystyczna jest także wspólnym, rodzinnym posiłkiem. We wczesnym Kościele Komunia wiernych towarzyszyła zawsze Ofierze. Pierwsi chrześcijanie „łamali chleb po domach i spożywali pokarm z radością i w prostocie serca". Przez tajemnicę Eucharystii, węzeł miłości, uświęcały się te wszystkie naturalne związki, które wynikają z obcowania przy jednym stole, z udziału we wspólnym dobru, a więc życie rodzinne i społeczne. A ten obowiązek miłości rozciąga się na całe społeczeństwo ludzkie. Eucharystia jest sakramentem, który przywraca utraconą jedność ludzkości.

Oparte na Eucharystii życie Kościoła nie może toczyć się z dala i w oderwaniu od spraw tego świata. Równocześnie jednak wybiega poza nie. Modlitwa Kościoła jest zawsze skierowana do Ojca — ad Patrem. W Ofierze Eucharystycznej i poprzez liturgię wierni włączeni są w działanie Ducha Świętego, przez które wszystkie rzeczy i wszyscy ludzie mają odnaleźć swoją jedność w Chrystusie. Ale ostateczny cel tego działania jest w Ojcu, źródle wszelkiego istnienia. Wszystko pochodzi od Ojca, przez Syna, w Duchu Świętym i wszystko ma powracać uświęcone w Duchu, przez Syna Odkupiciela, do Ojca. To jest kierunek zarówno życia Kościoła jak jego modlitwy. Tak więc przez cały sakramentalny porządek liturgii, przez wszystkie obowiązki, pracy, życia rodzinnego i społecznego, całość życia chrześcijańskiego zmierza wciąż ku planowi nadprzyrodzonemu, który całkowicie przerasta ten świat, ku wiecznemu Królestwu Bożemu. Wszystko na tym świecie ma o tyle tylko wartość, o ile przygotowuje i zbliża nadejście tego Królestwa.

„Szukajcie najpierw królestwa Bożego." Gmina jerozolimska tak silnie żyła tym nakazem, że czuła się jakby w pochodzie ku Ziemi Obiecanej. W tym nowym Exodzie, Izrael nie chciał jej towarzyszyć. Ci swoi i najbliżsi, pedagogią Bożą urabiani od wieków na tę chwilę, zawodzą. Aby podjąć dziedzictwo ludu wybranego i dopełnić misji wyznaczonej przez Boga, Kościół musiał odejść od Izraela jako narodu. I tu stajemy wobec rozdzierającego, wewnętrznego dramatu Apostołów. Wszystko to co się stało i czego byli świadkami, mogło być zrozumiane jedynie w związku z myślą religijną Izraela. Pojmując to, musieli równocześnie borykać się we własnym umyśle i sercu z zakorzenionymi pojęciami, z uczuciami i wyobrażeniami przekazywanymi przez tradycję od pokoleń, by wreszcie odróżnić treść istotną od przemijają-

cej formy i w pełni zrozumieć to, o czym w głębi duszy już wiedzieli, że Królestwo Kapłańskie Nowego Przymierza, to nie tylko żydzi, ale Izrael z ducha, w którym wszystkie ludy i wszystkie rasy mają uczestnictwo.

Aż wreszcie następuje wypadek, który powoduje, że łódź Piotrowa zrywa więzy trzymające ją jeszcze w przystani jerozolimskiej i wypływa na szerokie wody pogańskiego świata. Św. Szczepan staje twarzą w twarz przed Izraelem i zarzuca mu zdradę własnego przeznaczenia, zamknięcie się w ciasnym kręgu form i przepisów, niezrozumienie ducha Prawa, wyparcie się Mesjasza. Tym rozpętuje furię faryzeuszów. Rzucono się na niego, zaciągnięto za miasto, ukamienowano. Tego dnia rozgorzało wielkie prześladowanie Kościoła w Jerozolimie.

Rozproszyła się gmina. Prócz Apostołów większość wiernych opuściła miasto. Wędrowali z miejsca na miejsce, głosząc słowo Boże, tak jak polecił Chrystus: świadczyć będziecie o mnie w Jerozolimie, w całej Judei, Samarii, a nawet po krańce świata.

Ziarno gorczyczne w inspektach jerozolimskich mogło zakorzenić się krzepko i puścić młode pędy. Teraz, przesadzone na ugór pogaństwa krzewić się będzie coraz bujniej. A wszędzie, gdzie sięgną jego gałęzie, zakwitnie nowe życie, życie Kościoła, płynące z nieprzerwanej łączności z Chrystusem, oddychające tchnieniem Ducha Świętego, zasilane łaską sakramentów. Ono kształtować będzie nowego człowieka i jak kwas w trzech miarach mąki, twórczym fermentem przeobrażać zwolna postać świata.

W chwili, kiedy rodził się Kościół ani ludzie nie byli lepsi niż są teraz, ani świat bardziej skłonny do pójścia za Bogiem. Ułomność natury ludzkiej wczoraj czy dziś jest zawsze ta sama, ale równie niezmienna pozostaje nadprzyrodzona świętość Kościoła, a w nim bogactwo łaski dostępne każdemu. Od czasu pierwszych Zielonych Świątek, Duch Święty zstępuje wciąż w potężnym wichrze i szumie płomieni, rozżarza serca, rozjaśnia umysły, ożywia i umacnia. My dziś, czerpiemy życiodajne siły z tego samego źródła, które przed dwudziestu wiekami napoiło świętością Apostołów. Ziarno gorczyczne stało się drzewem ogromnym, owocującym bogactwem dogmatów, a w jego gałęziach mieszkają ptaki niebieskie, święci Pańscy. Ale istota jego zawarta jest już w zalążku, w korzeniu, którego soki karmią każdy z najdrobniejszych liści.

Kościół pierwszych chrześcijan jest takim, jakim go dziś znamy. Jest ciągłym wzrostem życia Królestwa Niebieskiego na ziemi, w oczekiwaniu obietnic Bożych przy skończeniu świata. Drzewo gorczyczne okryje kiedyś swymi konarami całą ziemię, koroną sięgnie nieba i w błyskawicy obwieszczającej powrót Chrystusa zajaśnieje blaskiem wieczności.

H. Żeleńska

De profundis

W ciemnościach
nie widząc nic
i nic nie wiedząc
poza tym że jesteśmy
błądzimy po omacku
jak ślepcy
jak ryby w matni
szukając na próżno wyjścia

W ciemnościach
na głowy nasze
spadają ciosy z bratnich rąk
Domy nasze
walą się w gruzy
Potykamy się o trumny
i o krzyże...

W ciemnościach
wyciągamy ręce po róże
aby splatać z nich wieńce
lecz napotykamy ciernie
które ranią nasze serca
i sączą w nie jad nienawiści

W ciemnościach
kłębi się wokół nas
horda braci-ślepców
nieprzeliczone mrowie obłąkanych
jak my
Ręce zaciśnięte w pięści
zadają razy na oślep
za mękę naszą
za to że nic nie wiemy
za to że jest nam tak źle

. . . .

A przecież
uczono nas
że gdy wywiódł ich z ziemi
[Egipskiej
widzieli Go
jako obłok jasny we dnie
jako słup ognisty w nocy
Uczono nas
o Majestacie Pańskim
co jaśniał na Synaju
wśród błyskawic i gromów
— Mojżeszu
zakryj oblicze twoje
bo ślepniemy —
Mówili gdy zstępował do nich z
[góry

Uczono nas
że się objawił
w krzaku gorejącym
Czytaliśmy
— Była Światłość Prawdziwa
która oświeca każdego człowieka —

. . . .

W ciemnościach
wyciągniesz ramiona
na krzyżu
który wyrósł na twojej drodze
wyciągniesz je do hordy ślepców
do nieprzeliczonego mrowia
[obłąkanych
podobnych tobie
I powiesz im jedno słowo
— Bracia —

Wówczas
zapłonie w tobie serce
jako krzew gorejący
Staniesz się
jako obłok jasny we dnie
i słup ognisty w nocy
I zaświeci Światłość Prawdziwa
tobie i braciom twoim

HGB.

O. ALBERT MIECZYSŁAW KRĄPIEC OP*)

O KULTURĘ FILOZOFICZNĄ

(PRZEDRUK)

Filozoficzna kultura społeczna wiąże się z dwoma zagadnieniami, które należy przemyśleć, a mianowicie z koniecznością pogłębienia myśli filozoficznej, oraz konkretnymi sposobami filozoficznego dokształcania.

SPECJALIZACJJA NAUK A FILOZOFIA

Był okres w historii nauki, w którym jeden człowiek mógł ogarnąć całokształt ludzkiej wiedzy. Był też taki człowiek (Arystoteles), który jedyny pośród ludzi znał tyle, ile nauka znać pozwalała... Nauka wówczas była jeszcze tylko filozofią i nie rozwinęła się w nauki szczegółowe... Dziś jesteśmy świadkami olbrzymiego rozrostu nauki... Dochodzi niekiedy do tego, że nawet naukowcy... z trudem orientują się w specyfice badań danej nauki, w jej stosunku do innych gałęzi nauk, a także do filozofii i światopoglądu w ogóle, wskutek czego występuje mieszanie takich pojęć, jak: światopogląd, filozofia, nauka.

...Inteligentowi a nawet naukowcowi... niełatwo jest ustrzec się zbyt szerokich i nieuzasadnionych uogólnień, gdy nie posiada minimalnej przynajmniej znajomości filozofii i metody jej uprawiania. A jednak „synteza" nauk, pewne ich uogólnienie, jest konieczne dla wykształcenia dzisiejszego człowieka. Dla dobra samej nauki jest potrzebne, a nawet konieczne, by naukowcy znali filozofię i specyfikę jej badań...

Zresztą inteligent a nawet naukowiec, zawsze (na szczęście) pozostaje człowiekiem, w którym nurtują tendencje poznawcze ogólne, bo ludzkie. Chce więc wiedzieć, czym jest on sam, jakie jest jego przeznaczenie, jakie pochodzenie. Spontanicznie zastanawia się nad światem i jego sensem, jego naczelnymi prawami: zasadą tożsamości, niesprzeczności i racji dostatecznej (bytu) a także nad swoim własnym poznaniem. I tu rodzą się, rosną i spiętrzają coraz to nowego rodzaju problemy, bardzo żywotne, na które nauka szczegółowa nie daje (bo dać nie może) odpowiedzi, gdyż nie mieszczą się one w obrębie jej przedmiotu i metody.

Najogólniejsze, pierwotne koncepcje filozoficzne czerpiemy z potocznego języka..., który jest zarazem bazą i bardzo czułym „narzędziem" filozoficznego myślenia... Wraz z językiem, którym człowiek się posługuje, dociera doń jakaś podstawowa życiowa mądrość, czyli zalążkowe ujęcia filozoficzne, które z biegiem czasu składają życiowy egzamin i zasadniczo wystarczają do normalnego rozwoju człowieka.

Przednaukowa jednak i domorosła filozofia nie stanowi ani zwartego systemu myślenia, ani też nie potrafi skutecznie sama siebie obronić wobec najrozmaitszego rodzaju zorganizowanych lecz niekiedy dowolnych, bo apriorycznych sposobów zorganizowanego myślenia. Dlatego też pojawia się konieczność uprawiania filozofii naukowej takiej, która z jednej strony jest metodycznym, bo uzasadnionym systemem myślenia, a z drugiej nie odrywa się od rzeczywistości...

Poznanie zagadnień filozoficznych daje... znacznie więcej niż tylko poszerzenie umysłowości o znajomość różnych podejść do rzeczywistości — ono kształci systematycznie samą myśl człowieka, wyrabia w nim najcenniejszą chyba rzecz, jaką jest mechanizm refleksji... Różnorodność bowiem rozwiązań najbardziej ludzkich problemów zmusza do myślenia i szukania odpowiedzi, które z tylu rozwiązań najbardziej zbliżają się do prawdy, do obiektywnego stanu rzeczy. Ponadto w samej metodzie filozofii jako nauki leży refleksja, która w innych dziedzinach nauk nie występuje tak jasno...

CELE UPRAWIANIA FILOZOFII

Celowość nauczania filozofii i jej metody stały się przedmiotem zainteresowania nie tylko samych specjalistów — filozofów, ale również międzynarodowych organizacji oświatowych. W latach 1951-1952 UNESCO przeprowadziło w 21 krajach ankietę w sprawie nauczania filozofii w szkołach średnich i wyższych oraz poza nimi...

Komitet Ekspertów doszedł do przekonania, że samą filozofię należy uważać za wiedzę ogólnoludzką i osobistą zarazem, a więc taką, która dotyczy zagadnień pojawiających się nie tylko przed specjalistą, ale przed każdym człowiekiem...

Dlatego też celem nauczania filozofii winno być realizowanie następujących zasadniczych wartości:

1. Nauczanie człowieka samodzielnego, ścisłego i krytycznego myślenia...

2. Pogłębienie autonomii osoby ludzkiej, która ma się ustrzec skrajności, indyferentyzmu z jednej, a dogmatyzmu z drugiej strony;

3. Wyrobienie poczucia rzeczywistych wartości ogólnoludzkich i upowszechnianie ich;

4. Przyczynienie się do urobienia jedności kultury ludzkiej;

5. Przyzwyczajanie do okazywania szacunku dla ludzkiej wolnej refleksji, do pogłębienia wyrozumienia i tolerancji;

6. Wpojenie w obywatela, przez nauczanie myślenia, poszanowania swobód demokratycznych w skali państwowej i międzynarodowej.

Tak ogólnie naszkicowane konkretne cele wykształcenia filozoficznego są możliwe do osiągnięcia przy spełnianiu niezbędnych warunków, jakimi są:

1. Pełna wolność człowieka w korzystaniu z uprawnień przysługujących mu z natury i uznanych przez społeczność narodową i międzynarodową (libertas academica) uniwersytetów, profesorów i studentów;

2. Wolność od wszelkiej ingerencji ideologicznej, politycznej i religijnej;

3. Intelektualne przygotowanie studenta...

Korzystając z tradycyjnych środków nauczania Komitet Ekspertów UNESCO zwraca również uwagę na sposób i charakter nauczania filozofii. Nie powinno ono być suche, akademickie, oderwane od życia, ale przeciwnie wyrastające z życia...

...Należy się wystrzegać zarówno sceptycyzmu, jak i dogmatyzmu; unikać wszelkiej propagandy ideologicznej, politycznej i religijnej; wykładowca winien swe wykłady przeprowadzać systematycznie i porównawczo, uwzględniając myśl filozoficzną dawniejszą i nowszą, zachodnią i wschodnią. Nauczanie filozofii winno uwzględniać najnowsze zjawiska życia filozoficznego, ale nie w oderwaniu od innych dziedzin wiedzy....

SPOSOBY FILOZOFICZNEGO DOKSZTAŁCANIA

...Mając na uwadze potrzebę i cele filozofii, należy się z kolei zastanowić nad ustaleniem konkretnych sposobów realizacji wykształcenia filozoficznego... Można tu przedstawić w najogólniejszym tylko zarysie konkretne sposoby wychowania w filozofii.

1. Szkoła podstawowa. Wykształcenie filozoficzne trzeba zaczynać nie od uniwersytetu, ani nawet od propedeutyki filozofii w liceum, ale od pierwszych lat używania rozumu przez człowieka, konkretnie od pierwszych klas szkoły podstawowej... To właśnie dziecko od pierwszej chwili, gdy zaczyna budzić się jego intelekt, stawia otoczeniu najbardziej filozoficzne pytania: co to jest? skąd to? po co to?

...Istnieje dziedzina, która szczególnie nadaje się dla umysłowości dziecka; jest nią etyka... Można i trzeba zasadnicze przekonania etyczne poruszać przy okazji, np. nauki języka ojczystego. Szczególną uwagę należałoby zwrócić na przysłowia ludowe i utarte powiedzenia... powiastki i bajki ludowe...

2. W szkołach średnich nauczanie filozofii należy posunąć dalej i złączyć je z różnymi przedmiotami. W tym okresie należy umysł ucznia formować do ścisłego odpowiedzialnego myślenia. Najlepszym chyba do tego środkiem będzie położenie mocniejszego nacisku na naukę gramatyki... Sama budowa języka

---

*) **Artykuł „O kulturę filozoficzną" oraz następny „Naczelne zadanie" wzięto z wydawnictwa: „Katolicki Uniwersytet w oczach wychowanków". Patrz wstęp do artyk. „Myśli o uniwersytecie" — ŻYCIE N 3(564), str. 5. Przedruku dokonano bez porozumienia z autorami i wydawnictwem.**

jest logiczna: stąd zwrócenie uwagi na gramatykę, na jej dobre przyswojenie, może stać się bardzo cenną pomocą dla wyrobienia poczucia odpowiedzialnego używania języka oraz szkołą uzasadnionego myślenia. Jest niewątpliwą szkodą dla młodego pokolenia, że w naszym średnim szkolnictwie tak małą uwagę zwrócono na nauczanie języka łacińskiego i greckiego. Gramatyka tych języków poważnie kształci umysł w ścisłym myśleniu...

...Należałoby położyć nacisk na to, by do programu różnych przedmiotów wprowadzić wypisy z literatury filozoficznej, zarówno europejskiej jak i wschodniej... Czytanie np. dialogów Platona a nawet Etyki Nikomachejskiej, czy poszczególnych traktatów Kartezjusza, Locka, Bacona, Tomasza z Akwinu i innych, może bardzo wiele pomóc w wyrobieniu myślenia u młodzieży szkół średnich...

Osobną sprawą, którą należałoby przemyśleć jest propedeutyka filozofii. Obecnie w szkołach tego przedmiotu nie ma... W propedeutyce należałoby więcej miejsca poświęcić na problemy filozoficzne i to kosztem wykładów samej logiki... Tak logiczne, jak i systematyczno-filozoficzne zarysy problemów, winny być przedstawione w rozwoju historycznym... Więcej miejsca należy poświęcić zagadnieniom metafizycznym i etycznym, albowiem te dwie dziedziny filozofii łączą się najbardziej z życiem ludzkim... Propedeutyka filozofii powinna usystematyzować najogólniej te wszystkie wiadomości, jakie młody umysł zdobył... w toku nauki w szkole podstawowej średniej.

3. ...Uniwersytety, a nawet wyższe szkoły o charakterze technicznym, nie mogą na żadnym wydziale rezygnować z dokształcenia filozoficznego. Dokształcenie to powinno iść w dwojakim kierunku: przede wszystkim w systemie kolokwiów z czytania pełnych lektur klasyków filozofii...

Drugi kierunek, równorzędny, to znajomość historii filozofii, też na wszystkich wydziałach szkół wyższych... Historię filozofii trzeba napisać pod kątem historii problemów filozoficznych... Niestety, takie opracowanie historii filozofii jeszcze nie istnieje. Dlatego też napisanie takich podręczników jest palącą koniecznością i nasze instytucje naukowe, uniwersyteckie jak KUL a zwłaszcza Wydział Filozoficzny P. A. N. winny przedyskutować te sprawy... Chodzi o podniesienie filozoficznej kultury społeczeństwa, o ukrytycznienie myśli, o wychowanie człowieka.

...Konkretne opracowania tego zespołu zagadnień nie mogą jednak być dokonane na konferencjach i zjazdach, ...ale w drodze powołania pewnych grup naukowców i pedagogów; oni to... ustaliliby ogólny charakter dokształcenia filozoficznego.

O. Albert Mieczysław Krąpiec OP

IRENA SŁAWIŃSKA*)

NACZELNE ZADANIE

(PRZEDRUK)

...Jakie zadanie wynika z najpilniejszych potrzeb naszej rzeczywistości? Nie doznaję tu żadnych wyhań: za największą klęskę uważam niedorozwój sprawności myślowej młodzieży. Toteż naczelnym zadaniem wykładowców jest praca nad wyrobieniem tej sprawności, nad odbudowaniem czy rozbudzeniem samodzielności myślenia wśród studentów.

...Sytuacja jest niewątpliwie groźna. Na wyższe uczelnie przychodzi młodzież do myślenia najczęściej nie przygotowana, przyzwyczajona do łatwych ogólników, które uważa za syntezy...

Zaprawa do samodzielnego myślenia n a u k a myślenia — jednym z głównych zadań uczelni. Jak do tego doprowadzić? Jak wzbudzić w młodzieży potrzebę myślenia?... Wypada podjąć długofalową pracę i to podwójną: negatywną i pozytywną. Negatywną: rozbić gotowe slogany, rozłożyć na czynniki pierwsze i poddać samodzielnemu oglądowi. Oczywiście ten proces zakłada już przynajmniej mobilizację woli myślenia i musi odbywać się stopniowo.

...Równie ważną sprawą jest rewizja terminologii. Młodzież przychodząca na studia wcale nie rozumie, że terminologia jest wykładnikiem z góry założonego systemu, że przyjmując pewne terminy akceptujemy tym samym system, który je stworzył...

Wypadnie też dotknąć takiego tabu w zakresie terminologii jak p o s t ę p i r e a l i z m. Słowa całkowicie zaanektowane na rzecz jednego systemu, tak zaczęto faszerować różnorodnymi dodatkami, tak rozdymać, że na skutek zwiększenia zakresu straciły własną treść. Analiza wyrazów, ich życia na przestrzeni ostatnich lat to pasjonujący rozdział w dziejach kultury polskiej.

...Podstawowym ćwiczeniem uczciwości myślenia w zakresie naszej pracy na uniwersytecie jest naturalnie poddanie sie faktom... na terenie nauk indukcyjnych. Uważna analiza faktu jako podstawa zbudowania problematyki, jako droga do wszelkich wniosków. I tu na tę uczciwość intelektualną czyhają pułapki i pokusy, pokusy naszej epoki, naszej rzeczywistości: pokusa łatwych uogólnień... Uczciwość myślowa powstrzyma od wypowiadania sądów nie dość podbudowanych, nie dość sprawdzonych — nauczy najpierw znaleźć pokrycie dla tych sądów w badanym materiale. Nauczy przede wszystkim tak bezinteresownej postawy badawczej, by zbliżając się do materiału nie szukać w nim dowodu na tezę, lecz pozwolić wnioskom wyrastać wprost — spontanicznie niejako — z badanego terenu.

...Trzeba dać odpór nawykom całych lat, naciskowi z góry ustalonych tez. Na terenie naszej uczelni walczyć nam nieraz wypada — imię bezinteresowności badania — z tą skłonnością (naciągającą materiał do apriorycznych tez), gdy np. młodzi badacze usiłują stwierdzić obecność problematyki religijnej tam, gdzie jej nie ma.

...Odpowiedzialność! Ileż okazji w pracy naukowej i dydaktycznej do przypominania sobie o tym, że każdym wypowiedzianym sądem angażujemy się, zobowiązujemy do pokazania, jakie dowody za naszym sądem stoją, jakie przesłanki poprzedzają nasz wniosek.

Każde w ogóle słowo, które znajdzie się w naszych ustach, zobowiązuje przynajmniej do wyjaśnienia, dlaczego tego słowa użyliśmy. Pewnie, że uświadomienie sobie tej odpowiedzialności wywołuje dreszcz grozy: po prostu „straszno wziąć słowo do ust", nie tylko „straszno wziąć pióro do ręki". Nie sądzę jednak, by ten dreszcz grozy był dziś zbyt powszechny. Tak przywykliśmy — od wielu, wielu lat — do bezkarnego użycia słowa! Wyższe uczelnie muszą te zaniedbania przeszłości odrobić.

Uczciwość w stosunku do cudzej pracy, innych, dalekich od nas stanowisk i poglądów — to także sprawa niezmiernie aktualna i niezmiernie ważna. Jak daleko wciąż jesteśmy od ideału Norwida, jego wezwania, by nauczyć się wreszcie „pięknie i mocno różnić". Sądzę, że w tej „pięknej różnicy" zdań wyćwiczyć może i powinien przede wszystkim uniwersytet.

...Chodzi tu nie tylko o lojalność w wypowiedzianych zdaniach, ale o kształtowanie takiego myślenia, by dojrzewający umysł przyswoił sobie dyscyplinę, konieczny rygor, który stanie się podłożem do uformułowania dobrych nawyków myślowych...

Uniwersytet ma wreszcie rozbudzać potrzeby intelektualne wychowanków... Jakże ten głód rozniecać? Jakże sprawić, by pięknie dojrzewał? By był to głód selekcjonujący i wymagający?... Niechże wśród potrzeb intelektualnych nie zabraknie obcowania ze sztuką!...

I jeszcze jeden obowiązek... największej mobilizacji władz umysłowych. Na pewno i nas dotyczy przypowieść o talentach... Żyjemy przecież w kulcie pośpiechu, szybkiej, niedokładnej roboty, ilościowych rezultatów. Młodzież mamy zaś pociągnąć ku spokojnemu, długotrwałemu, na razie pozornie bezpłodnemu (bo nie przynoszącemu doraźnych efektów) oglądaniu każdej rzeczy. Niechże padnie tu słowo: kontemplacja. Tylko poprzez kontemplację naukową, cierpliwe, pokorne wpatrzenie się w problem — droga do owego owocu, który musi być „owocem czasu swego"... także do owego m a x i m u m, najwyższego osiągnięcia... Rozgryźć sprawę do końca, przedrzeć się aż do najgłębszego jądra, odważyć na najczulszej wadze!...

...Obowiązek myślenia... jest warunkiem dobrego spełnienia każdej pracy, nawet fizycznej i pozornie mechanicznej.

***) Patrz odnośnik na str. 7-mej ŻYCIA.**

...Odbudowanie uczciwego myślenia — to na pewno najgorętsza potrzeba współczesności... Nie tylko u nas: na całym świecie.

Dlaczego uważamy to za naczelne zadanie także i katolickiego Uniwersytetu? Dlaczego nie mówiło się tu o kształtowaniu poglądu na świat, o ideale kultury chrześcijańskiej? Z pewnością niejeden z czytelników w tym raczej upatrywałby główne powołanie katolickiej uczelni.

K a t o l i c k i znaczy p o w s z e c h n y, u n i w e r s a l n y. Uniwersytet nasz służył przez wiele lat nie tylko młodzieży katolickiej... Po roku 1949 ściągali tu młodzi ludzie z całej Polski... cenili tu przede wszystkim atmosferę swobodnego, rzetelnego myślenia, bezinteresownego dochodzenia prawdy. Chciałabym, aby taka właśnie opinia o naszym uniwersytecie utrwalała się coraz bardziej, by miała pełne pokrycie w rzeczywistości, w naszych wysiłkach i świadomej czujności, byśmy skutecznie ochraniali i rozwijali tę wielką i powszechną wartość — sztukę myślenia.

...Niebezpieczeństwem dla sztuki myślenia może stać się wszelki totalizm, wszelki system zamknięty w sobie, pretendujący do wyjaśnienia całości świata i historii, naturalnie wszelka propaganda. Czy także i doktryna katolicka? Oczywiście — ilekroć oddziałuje za pośrednictwem sztywnych interpretatorów, ilekroć nie zostanie właściwie odsłonięta jej szerokość, wolność, jaką zostawia, szacunek, jaki okazuje myśli ludzkiej. Myśl tę często paraliżował „wielki strach" la grande peur des bien pensants. Ten strach trzeba przezwyciężyć w kręgu wolności, uzyskanej przez prawdę, ku której wiedzie myślenie. „Ulubionym tworem Bożym jest rozum".

Irena Sławińska

ION RATIU

KATOLICY W RUMUNII

25 grudnia świat chrześcijański obchodzi święto Bożego Narodzenia. Nawet w niechrześcijańskich krajach to święto jest szanowane. Ale nie w komunistycznej Rumunii. 25 grudnia 1958 r. cała komunistyczna prasa rumuńska wystąpiła z pełnym ohydnych szczegółów sprawozdaniem z procesu pokazowego rzymskokatolickiego księdza, Antal Santha, Węgra, proboszcza parafii Santdominic w szeklerskim okręgu na Siedmiogrodzie. Ks. Santha został oskarżony o gwałcenie dwunastoletnich i trzynastoletnich dziewczynek i o bezwstydne postępowanie w stosunku do innych dzieci powierzonych jego opiece

Dziwne są okoliczności tej sprawy. Prasa nie podała ani daty procesu, ani nazwisk świadków, a jedynie przedmiot oskarżenia i fakt skazania ks. Santha na dwadzieścia lat więzienia za... utrzymywanie „łączności z uchodźcami i katolickimi kołami na Zachodzie, z wrogami Rumuńskiej Republiki Ludowej; za odbieranie i rozgłaszanie oszczerczych wiadomości przeciwko ustalonemu porządkowi publicznemu w Rumuńskiej Republice Ludowej". Gazety informują, że oskarżony został skazany na podstawie ustawy-dekretu N 318 z lipca 1957 r. Nie ma w wyroku żadnej wzmianki o rzekomym gwałceniu nieletnich!?

Te pozornie mało znaczące doniesienia prasowe charakteryzują położenie Kościoła katolickiego w Rumunii. Wskazują one pośrednio, że Kościół cieszy się powszechnym szacunkiem w kraju, bo dlaczegóżby inaczej władze podejmowały tak usilne starania w celu szkalowania reputacji katolickiego duchowieństwa. W istocie miarodajne obserwacje mówią o tym, że nigdy Kościół nie cieszył się lepszą opinią. Ten zaś atak świadczy o tym, że chrześcijańska ludność obchodzi święta, bo inaczej nie obranoby dnia Bożego Narodzenia dla rozgłaszania procesu, który może w ogóle się nie odbył, a na pewno się nie odbył na parę dni przed świętami. Wskazuje wreszcie na fakt, że antyreligijna, a w szczególności antykatolicka propaganda poczyniła małe albo nie poczyniła żadnych postępów w Rumunii, bo inaczej świadkowie w procesie nie kryliby swoich nazwisk, uczestnicząc z dumą w demaskowaniu „ohydy Kościoła katolickiego".

Nie ulega wątpliwości, że Kościół w Rumunii wykazuje ogromną żywotność, pomimo dziesięciolecia nieprzerwanych, brutalnych prześladowań. Kilka miesięcy temu unicki biskup Alexander Rusu został skazany na 25 lat ciężkich robót za usiłowania zmierzające do przywrócenia obrządku unickiego. Gdy się zważy, że rumuński Kościół unicki został formalnie zniesiony 1 grudnia 1948 roku, oraz że biskup Rusu, dzisiaj człowiek stary i schorowany, pozostawał w areszcie od października 1948 r., najprzód w klasztorach w Neamtu i Caldarusani a potem w więzieniu w Sighet, to fakt, iż nadal jest traktowany przez prześladowców jako przywódca oporu symbolizuje tężyznę moralną i wytrzymałość wyznawców.



Ion Ratiu, ur. 6.6.1917 w Turda; członek unickiej rodziny z Siedmiogrodu, zasłużonej w historii rumuńskiej (Dr Ion Ratiu był przywódcą Narodowej Partii Rumuńskiej w monarchii austro-węgierskiej); mgr. prawa i ekonomii (Cluj i Cambridge); dziennikarz (m.in. Tablet, Eastern Churches Quarterly, Times, Manchester Guardian), współpracownik radia (BBC) i pisarz („Policy for the West", Harvill Press, London, 1957); członek Narodowego Komitetu Rumuńskiego w Londynie (1940); członek Stronnictwa Chłopskiego (Maniu); czynny na polu współpracy narodów Europy Środkowo-Wschodniej; prezes Międzynarodowej Federacji Wolnych Dziennikarzy (oddział europejski; organizator wystawy „The Great Challenge", 1958); założyciel i redaktor rumuńskiej agencji prasowej „Free Rumanian Press"; założyciel i dyrektor firmy „I. R. Shipping Co., Ltd." w Londynie.

Większość Rumunów jest wyznania prawosławnego. Wśród ludności obliczanej w roku 1938 na 20 milionów było 73 proc. prawosławnych i 15 proc. katolików; na resztę składali się żydzi, kalwini, luteranie i unitarianie.

Katolicy rumuńscy dzielą się na dwie grupy według obrządku. Katolicy obrządku bizantyjskiego, unici, etnicznie czysto rumuńskiego pochodzenia, niemal wszyscy zamieszkiwali Siedmiogród. W roku 1948 było 1.561.000 wiernych, 5 diecezyj, 1807 parafii i 1906 duchownych. Katolicy łacińskiego obrządku, których większość stanowili Węgrzy i Szeklerzy, chociaż spora społeczność rumuńska rzymsko-katolicka znajduje się w diecezji Jassy w południowej Mołdawii, liczyli 1.182.000 wiernych i mieli 5 diecezji, 683 parafie i 1.107 księży.

Według historyków rumuńskich, mieszkańcy starożytnej Dacji zetknęli się z chrześcijaństwem w wyniku podboju przez Rzymian. Św. Nicetas z Remezjany (Illiria), który żył w IV wieku, jest uważany za apostoła praojców Rumunii. Paulinus z Noli powiadał, że dzięki niemu dzicy Trakowie i Besowie chwalili Chrystusa rzymskim sercem — „...facit resonare Christum corde Romano". Te wywody są poparte przez badania filologiczne; wszystkie podstawowe terminy w języku rumuńskim odnoszące się do wiary, mają źródłosłów łaciński.

Później, gdy Słowianie otoczyli rumuńską i latyńską wyspę, życie religijne Rumunii podległo nowym wpływom. Bezpośrednie związki z Rzymem zostały przecięte, zapanował obrządek bizantyjski i terminologia rumuńska, dotycząca zewnętrznej ekspresji kultu, wywodzi się z języka staro-słowiańskiego.

Tak więc naród rumuński zjawił się w historii XIII wieku jako prawosławny i pozostaje wyłącznie w tym obrządku do XVII wieku, kiedy to luteranie i inne protestanckie wyznania rozpoczynają działalność misyjną w trzech rumuńskich prowincjach, w Wołoszczyźnie, Mołdawii

i Siedmiogrodzie. Wysiłki protestantów dają nikłe wyniki. Natomiast głównie w obronie wobec ich działalności, oraz na skutek zbiegu okoliczności politycznych, biskup siedmiogradzki Teophilus rozpoczął w r. 1697 negocjacje w sprawie unii z Rzymem, zakończone przez jego następcę Atanazego Anghela 24 października 1698 r. Akt unii wyraźnie stwierdzał, że obrządek bizantyjski ma być utrzymany wśród Rumunów oraz że Kościół unicki winien być wolny od bezpośredniego wtrącania się dygnitarzy kościelnych obrządku łacińskiego. Było to w istocie dzieło unijne, dokonane według zasad wcześniej już ustalonych w polsko-ruskiej unii z Rzymem, zawartej w Brześciu Litewskim w roku 1596.

Pierwsze odruchy nowoczesnej rumuńskiej świadomości narodowej były bezpośrednim wynikiem unii siedmiogrodzkich Rumunów z Rzymem. Zdolni młodzi Rumuni bywali wysyłani do Instytutu „De-Propaganda Fide" w Rzymie i do Paznańskiego Instytutu w Wiedniu. Wkrótce uświadomili sobie z dumą swoje rzymskie pochodzenie, Micu, Sincai i Maior, żeby wymienić tylko trzech najważniejszych spośród założycieli tzw. „latynistycznej szkoły", dali początek rosnącemu entuzjazmowi dla odkrywania genezy rumuńskiej historii i przyczynili się do narodzin rumuńskiej historycznej literatury, ideologicznie „narodowej". Z pomocą Watykanu zostały założone sławne szkoły w Blaj. prawdziwie żyzny grunt narodowych rumuńskich dążeń. Z biegiem lat, gdy rozwinęła się zorganizowana akcja polityczna rumuńska w Siedmiogrodzie, ośrodek w Blaj i rumuński Kościół unicki nabierały znaczenia, a przywódcy tam wyrośli stawali odważnie przeciw węgierskim dzierżycielom latyfundiów, domagając się równych praw dla narodu rumuńskiego.

Jasno wynika z powyższych wywodów, że Kościół unicki w Rumunii jest podporą latyńskiej tradycji, orientacji zachodnio-europejskiej; związków z Zachodem i nacjonalizmu, ale nacjonalizmu głęboko lewicowego i radykalnego. Stąd też komuniści musieli dążyć do zniszczenia rumuńskiego Kościoła obrządku bizantyjskiego. Wszystko, co Kościół ten przedstawiał, było całkowicie przeciwne wyznaniom i dążeniom komunistycznego ustroju, a przy tym rumuński Kościół unicki, w przeciwieństwie do Kościoła łacińskiego w sąsiednich krajach, niejednokrotnie sprzymierzonego z klasami uprzywilejowanymi, tradycyjnie dawał poparcie dążeniom reformatorskim upośledzonych — przeciw ustalonemu porządkowi rzeczy.

Historia gwałtownego zniszczenia Kościoła unickiego w Rumunii jest znana.*) Siła moralna całej unickiej hierarchii zarysowała się wyraziście wobec prześladowań. Ojciec św. Pius XII wielokrotnie wyrażał uznanie postawie wierności Chrystusowi, jaka cechowała wszystkich rumuńskich biskupów bez wyjątku. Z sześciu biskupów, jakich Kościół unicki miał w 1948 roku, trzech zmarło w torturach lub na skutek tortur. Trzej pozostali są dzisiaj więźniami, wśród nich ślepy biskup Balan. W kwietniu 1956 roku podpisali oni memoriał skierowany do komunistycznego rządu Rumuńskiej Republiki Ludowej, żądając wolności wyznania dla unitów.

Dekret z 1. 12. 1948 nakazał likwidację Kościoła unickiego w Rumunii, a jego własność została przekazana rumuńskiej Cerkwi prawosławnej lub bezpośrednio państwu. Dzisiaj na świecie istnieje tylko 17 parafii unickich normalnie zorganizowanych i otwarcie działających, a wszystkie znajdują się w Stanach Zjednoczonych. Ale jest dosyć dowodów wskazujących na nieugiętą wierność Rzymowi ze strony unitów w Rumunii. Wiarogodne informacje podają, że unici chodzą na nabożeństwa wyłącznie do niegdyś unickich kościołów, chociaż nabożeństwa odprawiają popi prawosławni. Wiadomo, że wielu księży unickich potajemnie wykonuje obowiązki kapłańskie.

Wszyscy biskupi obrządku łacińskiego byli zaaresztowani. Biskup Aaron Marton był wypuszczony i miał pozwolenie na odprawianie Mszy św. w kaplicy swojej prywatnej siedziby w Bukareszcie, ale obecnie jest pod aresztem domowym. Jak w Czechosłowacji, na Węgrzech i w Polsce ruch na rzecz powstania „narodowego katolickiego kościoła" został zorganizowany już w roku 1950 w postaci „Związku Katolickich Rumuńskich Demokratycznych Kapłanów". Przywódca tego ruchu Andrej Agotha został ekskomunikowany 5 maja 1950 roku. On i jego grupka podpisali inspirowany przez komunistów pokojowy apel sztokholmski i podejmowali różne akcje pod batutą komunistyczną. Ale w istocie ruch ten jest bez znaczenia. Niektórzy z tych, którzy podpisywali odezwę w sprawie „zgodnej współpracy między państwem i Kościołem", wycofali się, opuszczając Agothę.

Napór ruchu komunistycznego na Kościół katolicki trwa nadal.

Ion Ratiu

tłum. z ang. S. G.

---

*) „L'Ame Roumaine Ecartelée" — ks. Pierre Gherman, Cedre, Paris, 1950; „The Communist Attack on the Catholic and Orthodox Churches in Rumania" Ion Ratiu, „Eastern Churches Quarterly", VII-IX, 1949.

KOŚCIÓŁ W NRD

Walka z Kościołem na obszarze komunistycznej Niemieckiej Republiki Demokratycznej przybiera coraz ostrzejsze i brutalniejsze formy. W roku ubiegłym komunistyczne organy partyjne i rządowe rozwinęły natarczywą propagandę za występowaniem z Kościoła, szerzeniem ateizmu i udziałem w pogańskich obrzędach, mających zastąpić sakramenty i obrzędy religijne. Na miejsce pierwszej Komunii św. czy konfirmacji w Kościołach protestanckich wprowadza się tzw. „Jugendweihe".

Propaganda i nacisk przybrały takie rozmiary, że Kości:ł katolicki czuł się zmuszony do podjęcia kontrakcji. List pasterski biskupów wschodnich Niemiec z 8 marca ub. roku wzywał katolików do trwania odważnie przy wierze. Wystąpienia z Kościoła są wyparciem się Boga także wtedy, kiedy wystąpienie jest spowodowane groźbą dokuczliwych konsekwencji materialnych i traktowane przez wiernego jako czysto formalne. „Pomiędzy wiarą w Boga a bezbożnictwem nie może być kompromisu" — brzmią końcowe słowa listu, podpisanego na pierwszym miejscu przez kardynała Doepfnera, biskupa Berlina.

Katolicy ze wschodnich Niemiec żyją przeważnie w diasporze. Zaledwie 10% obecnej ludności NRD jest wyznania rzymsko - katolickiego; przygniatająca większość należy do różnych odłamów Kościoła ewangelickiego. Najliczniejszy z nich jest Kościół unijny, zorganizowany w sześciu prowincjach kościelnych, obejmujących obszar byłych Prus: Berlin - Brandenburgia, Saksonia, Pomorze i Śląsk (części pozostałe przy Niemczech) oraz dwie prowincje zachodnich Niemiec: Nadrenię i Westfalię. Jest on najbardziej prześladowany.

Uchwały Synodu Kościoła Unijnego w Szpandawie (8-13. 2. 59) stwierdzają m. in., że obecny stan zagrożenia jest rezultatem niemieckich przewinień. Dlatego naród niemiecki winien przeciwstawić się nacjonalizmowi jako źródłu klęsk i szukać pojednania z innymi narodami. Niemcy winny oprzeć się pokusom polityki siły i pogodzić się z ograniczeniem potencjału militarnego. Synod wzywa naród niemiecki ponownie do zrezygnowania z atomowego uzbrojenia. Oba rządy niemieckie winny okazać tolerancję w stosunku do różnych ustrojów społeczno-gospodarczych, a naród niemiecki winien wycofać się z toczącej się od lat „zimnej wojny" pomiędzy Wschodem i Zachodem. Ani pokój ani zjednoczenie nie mogą być osiągnięte bez wielkich ofiar ze strony Niemiec. Synod apeluje do wielkich mocarstw, by zaprzestały używania ziemi niemieckiej jako przedpola rozgrywek politycznych i militarnych, oraz żeby pomogły do zjednoczenia Niemiec i zapewnienia prawdziwego pokoju.

Trzeźwe spojrzenie na własną przeszłość — to ważny krok na drodze moralnego odrodzenia. Z przykrością stwierdzić trzeba, że Kościół katolicki w Niemczech nie zdobył się dotychczas na tego rodzaju akt pokory i pojednania. Nie można się jednak oprzeć wrażeniu, że uchwały w sprawie odrzucania broni atomowych, uznania obu systemów, we wschodnich i zachodnich Niemczech, oraz odmowa udziału w „zimnej wojnie" — są także wynikiem nacisku reżymu w NRD, aby torować drogę dla realizacji celów politycznych bloku wschodniego. Rezolucja przyjęta została większością 83 głosów. Przeciwko niej głosowało 5 członków Synodu, 8 wstrzymało się od głosu. W uroczystości otwarcia Synodu uczestniczył przedstawiciel Kościoła prawosławnego, rezydujący w Karlshorst, siedzibie władz sowieckich we wschodnim Berlinie.

Synod poświęcił sporo uwagi reformie liturgii Kościoła unijnego, przywracając w znacznym stopniu obrządek wprowadzony w swoim czasie przez Lutra.

St. Cz.

SEN O ZEBRZE

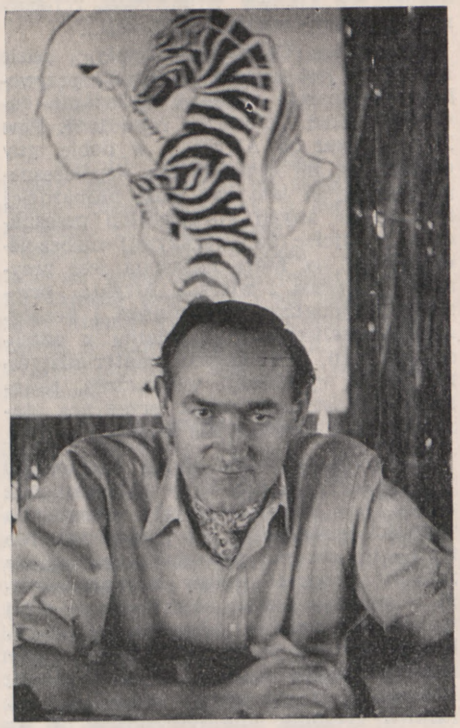
„Stowarzyszenie Afryki Zwrotnika Koziorożca" — „Capricorn Africa Society" (CAS) wzięło sobie za znak zebrę, wrysowaną w kontur czarnego lądu. Bo zebra ma pasy czarne, białe i żółte, a CAS chce zgodnej współpracy ras czarnej, białej i żółtej (brązowej), „wrysowanej" w ramy afrykańskiego patriotyzmu pod hasłem wspólnego udziału — „partnership". CAS chce budować wielorasowe społeczeństwo (interracial society) we wschodniej i środkowej, i południowej Afryce. Ulotka propagandowa Capricorn Africa Society mówi: „...zebra ma pasy, ale jest żywym organizmem i ma jedno serce. Jeżeli się ją w serce ugodzi, to zginie, wszystko jedno przez który pas ranę się zada... Afryka cierpi dzisiaj od ran zadanych przez strach i nieufność między rasami i plemionami... Trzeba nowego ducha, patriotyzmu silniejszego niż rasowa czy plemienna lojalność, i trzeba polityki odpowiadającej prawdziwym potrzebom ludności..."

Stowarzyszenie powstało w r. 1949 w brytyjskiej Afryce wschodniej i środkowej. Powstało od razu jako akcja „Europejczyków" (tak się nazwali, żeby nie mówić „biali", ale wszyscy są patriotami afrykańskimi), Afrykańczyków (Murzynów) i Azjatów (Arabów i Hindusów w Afryce osiadłych i chcących tam pozostać). Ruch zaczął się rozrastać w Południowej i Północnej Rodezji, w Nyasalandzie i w Kenii. Siedziba główna znajduje się w Salisbury w Południowej Rodezji; stałe biura w Luanshya (Płn. Rodezja), w Nairobi (Kenia) i w Londynie (43 Cheval Place, S.W.7, KEN 0852). W Tanganice działa bratnia organizacja: Tanganyika National Society.

Dążenia Stowarzyszenia: powstanie społeczności związanej wspólnym patriotyzmem, w której nie istniałaby dyskryminacja rasowa, w której status jednostki i jej udział w sprawach publicznych byłyby określane przez jej osobiste zalety, niezależnie od koloru skóry; rozwój zasobów kraju na użytek całej ludności; utrzymanie i rozwój moralności, kultury i dobrobytu, upowszechnienie oświaty; wprowadzenie jednego wspólnego spisu wyborczego (nie głosowanie grupami rasowymi) przy zastosowaniu systemu kwalifikacji (obowiązujących wszystkich) dających prawo głosowania (zanim powszechne prawo wyborcze stanie się możliwe); niepodległość w ramach Commonwealthu (w miarę realizacji poprzednich dążeń).

W roku 1955 CAS wydał interesujący podręcznik dla swoich „aktywistów" pt. „The Capricorn Africa Society Handbook", ułożony metodą pytań i odpowiedzi, z alfabetycznym indeksem problemów — od politycznej filozofii do praktycznych zagadnień współżycia. To wydawnictwo miało ogromne powodzenie, także wśród przeciwników ruchu, jako praktyczny podręcznik szkolenia politycznego.

CAS określał się w swoim własnym podręczniku jako organizacja niepolityczna o celach politycznych. W walce o



Płk David Stirling, D. S. O., założyciel Capricorn Africa Society.

wspólne obywatelstwo, o wspólny system wyborczy, w walce przeciwko dyskryminacji rasowej — wykuwa założenia i przygotowuje kadry, które gdzie indziej, już na arenie politycznej, powinny wcielać w życie dążenia wypracowane w Capricorn Africa Society. Takie ustawienie, które dzisiaj jest jeszcze mocniej zaznaczane, było celowe w okolicznościach skomplikowanych, gdzie chodziło o uzyskanie poparcia osobistości i instytucji z różnych terenów i środowisk objętych tarciami politycznymi i rasowymi. Od początku zresztą przede wszystkim chodziło założycielom o wypracowanie idei, które by wywierały wpływ na stosunki między ludźmi; lansowane przez organizację szerszą niż określona partia polityczna, mogły łatwiej przenikać, nawet poza granice brytyjskiej Afryki.

W manifeście z roku 1954 CAS „wyrażał przekonanie, iż Afryka najbardziej potrzebuje... bliższego zrozumienia wzajemnego na płaszczyźnie ludzkiej między różnymi rasami...", aby stało się rzeczywistością to co pisali we wstępie do swojej konstytucji: „Założyciele wierzą, że wszyscy ludzie, pomimo ich różnych uzdolnień, rodzą się równi w ich godności przed Bogiem i mają wzajemne obowiązki wobec siebie, a różnice czy wyznaniowe czy rasowe, są różnicami godnymi wzajemnego szacunku..."

Charakterystyczną metodą działania było powoływanie tzw. Komitetów Obywatelskich (Capricorn Citizenship Committees), gdzie przeważali Murzyni i Azjaci, dla wspólnego dyskutowania tez programowych, z których po paru latach powstał dokument będący podstawą działalności ruchu i wyznania wiary — „The Capricorn Contract". Omawiany podręcznik, rozszerzany w miarę postępu prac, służył Komitetom w ich naradach i był zarazem sprawdzianem wyników dyskusji w sprawach żywotnych najróżniejszych, np.: czy założenia chrześcijańskiej zachodniej cywilizacji wykluczają wkład pozytywny innych wierzeń? (nie); czy należy organizować masową imigrację Europejczyków? (nie zaraz, bo wywoła reakcje negatywne, a dopiero po znacznym postępie akcji równouprawnienia); czy winny być wspólne związki zawodowe? (tak); wspólne pływalnie? (w zasadzie tak, ale zależy to od postępów higieny); upowszechnienie prawa kupna ziemi? (tak, ale realizowane stopniowo), itp. itp., wszędzie ze szczegółowym objaśnieniem stanowiska. Było to istotnie „przeorywanie ugoru", zgodnie z założeniem strategicznym ruchu, iż „budować trzeba na nowo, na nowych fundamentach"...

Założycielem Capricorn Africa Society jest płk David Stirling osiadły po wojnie w Afryce, sławny „major widmo" z walk w Afryce w II wojnie światowej, twórca SAS — lotnych oddziałów, które jak Lisowczycy grasowały wewnątrz linii nieprzyjacielskich, a nieraz na głębokich tyłach. Stirling jest katolikiem; sam o sobie mówi „niebezpieczny papista". Do nowego zadania w wojnie idei i społecznego apostolstwa podszedł z tym samym ogniem, inwencją oraz wrogością wobec rutyny i formalnej dyscypliny, które cechowały „majora widmo". Przy braterskiej tolerancji wobec rzetelnych wyznawców innych religii, katolicki humanizm wycisnął głębokie piętno na założeniach CAS-u i na mentalności ofiarnych działaczy-woluntariuszy, którzy się o te założenia biją.

W roku ubiegłym stan zdrowia nakazał płk. Stirlingowi ograniczenie działalności. Przekazał więc przewodnictwo akcji, ale pozostał czynny i pozostał „założycielem" — „The Founder".

Obecnie prezesem Capricorn Africa Society jest dr Michael Wood, znany chirurg z Kenii; wiceprezesami: Murzyn z Rodezji, Tihis Hlazo, farmer; Hindus, Hon. A. B. Patel, członek rządu Kenii, i Sir Frank Wilson; prezesem londyńskiego komitetu jest marsz. lotn. Sir John Slessor; kierownikiem biura w Londynie — J. T. S. Lewis; doradcą CAS — dr J. H. Oldham.

CAS ma lat dziesięć. Historia galopuje w Afryce, ale nie galopem zebry tylko raczej czarnego dzikiego gnu... Niektóre projekty i nadzieje twórców ruchu przekreśliły wypadki, na niektóre jest za późno i zarazem za wcześnie wobec pogłębionych zadrażnień. Nieprzemijającą wartość ma jednak samo zjawisko świadomej zbiorowej dobrej woli, uparcie wyrastającej na trzęsawisku egoizmu i nienawiści, oportunizmu i demagogii. Warto studiować dorobek myślowy Stowarzyszenia, które włożyło solidną i metodyczną pracę, teoretyczną i praktyczną, w niezwykle skomplikowane zagadnienia, jakie wyrastają na tych terenach afry-

kańskich, gdzie obok prawnych dziedziców Afryki osiadły liczne rasy napływowe. Dziwnym może się to wydać, ale wiele z przemyśleń i spostrzeżeń CAS-u przyda się na pewno „per analogiam" do rozwiązywania problemów wielonarodowego współżycia, zwłaszcza na terenach spornych, z ludnością mieszaną. Skorzystać mogą koncepcje federalne chociażby w odniesieniu do najtrudniejszych okolic naszego kąta Europy.

Przykładem trwałego dorobku jest książka „New Hope in Africa" („Nowa nadzieja w Afryce"), wydana w 1955 (Longmans, Green & Co., London), napisana przez „doradcę" Stowarzyszenia w Anglii, dr. J. H. Oldhama, jako wynik jego narad z założycielem i leaderami Stowarzyszenia. Wyjaśnia tło, powody powstania i filozofię Capricorn Africa Society; stanowi uzasadnienie polityki rasowej integracji, ale nie niwelacji, w dążeniu do stworzenia w Afryce pojęcia wspólnego obywatelstwa i nowego patriotyzmu. Daje szczegółową analizę problematyki współżycia ras w świetle wskazań religii, socjologii i ekonomii, na tle miejscowych warunków. Jest trzeźwym, wypranym z demagogii, dokumentem walki o godność każdego człowieka w Afryce, o jego prawa i obowiązki, o jego świadome współdziałanie w zbiorowości; uwzględnia trudności, zwłaszcza wiążące się z nierównym poziomem kulturalnym i cywilizacyjnym. Autor uważa, że dziś hamulcem rozwiązań harmonijnych, jest — bardziej niż przedziały rasowe — przedział cywilizacyjny, w rozumieniu przede wszystkim moralnym i ideowym. Z jednej strony stawia rzetelnych wyznawców chrześcijaństwa i innych religii, gdzie stosunek człowieka do Boga i do bliźniego oparty jest na miłości i sprawiedliwości, po drugiej — przeciwników tych założeń, włącznie z wiarołomnymi chrześcijanami.

Chociaż niektóre praktyczne wskazania nie mogą dziś wystarczyć, to jednak całość z naciskiem na wychowanie człowieka (czarnego czy białego) i dostosowania postępów nauki i techniki do wymogów moralnych i społecznych — pozostaje w pełni aktualna. Tym bardziej, że uznane są w pełni aspiracje autochtonów. Autor odcina się stanowczo od rozwiązań paternalistycznych, widzi pozytywne i usprawiedliwione aspekty nacjonalizmu afrykańskiego, a potępia tylko jego negatywne wychylenia.

„Personalizm" chrześcijański jest cechą podstawowego dokumentu Stowarzyszenia — „The Capricorn Contract". Ta „karta wolnego afrykańskiego człowieka" została uroczyście uchwalona i podpisana przez zjazd 140 delegatów Capricorn Africa Society w Salima na brzegach jeziora Nyasa 18. 6. 1956 roku. Ujęto w „kontrakcie" wyniki debat 350 posiedzeń Komitetów Obywatelskich, w pracy międzyrasowej których — po raz pierwszy w Afryce weszło w życie słowo „my": my obywatele Kenii czy Rodezji, my obywatele Afryki...

O „kontrakcie" mówi David Stirling: wstęp wyraża „chwałę idei CAS-u — patriotyzm afrykański pojednanych ras"; sześć zasad o ogólnoludzkim trwałym znaczeniu, „których zdrada przez rządzących zawsze przynosiła nieszczęścia rządzonym", określa prawa i obowiązki człowieka i obywatela wobec Boga, bliźnich i państwa; zalecenia konkretne, wynikające z zasad, dotyczą spraw szczególnie aktualnych: prawa wyborczego, reformy rolnej, pracy, oświaty, imigracji...

Działalność Capricorn Society, gdzie katolików jest maleńka garstka, przywołuje nieodparcie na myśl wskazania encykliki „Fidei Donum" z roku 1957. Pius XII spojrzał na Afrykę „w dobie, gdy otwiera się ku życiu świata współczesnego i przeżywa lata być może najbardziej brzemienne swych tysiącletnich przeznaczeń..." Ojciec św. wskazywał niebezpieczeństwa, na które narażona jest przyszłość doczesna i wieczna Afryki: przerosty nacjonalizmu, komunizm i bezbożny materializm, walka Islamu z chrześcijaństwem, sekciarstwo, materialistyczne pokusy cywilizacji technicznej, rewolucja nihilistyczna, która przewraca stary porządek nowego nie budując.

Encyklika wskazuje drogę harmonii i współpracy: „...mówimy jednym: nie trzeba, aby ludom (Afryki) odmawiano wolności sprawiedliwej i postępowej, nie trzeba im stawiać przeszkód; ostrzegamy innych: przyznać należy Europie zasługi w rozwoju ludów (Afryki), a bez jej wpływu we wszelkich dziedzinach mogłyby te ludy być pociągnięte poprzez ślepy nacjonalizm ku chaosowi i niewolnictwu. Ponawiając to podwójne zalecenie, wyrażamy życzenie, aby postępowało w Afryce dzieło współpracy konstruktywnej, wolnej od przesądów i zadrażnień wzajemnych, ustrzeżone od pokus i napięć fałszywego nacjonalizmu, zdolne zapewnić ludom, bogatym w zasoby i nadzieję, prawdziwe wartości cywilizacji chrześcijańskiej, która wydała już tyle dobrych owoców na innych kontynentach..." Papież wzywa i zachęca chrześcijan-Europejczyków do bratniej pomocy i udziału, ale przestrzega przed paternalizmem, chce szkolenia kadr miejscowych do dzieła apostolstwa.

Kościół rozumie Afrykę. Jan XXIII mówił do delegatów Światowej Konwencji Murzyńskich Pisarzy i Artystów: „...Kościół docenia, szanuje i zachęca rozważania i badania, zmierzające do wydobycia oryginalnych skarbów waszej własnej kultury, do szukania korzeni jej w historii, do wykazania podstawowych zgodności tkwiących pod różnorodnością ekspresji... Gdziekolwiek autentyczne wartości myśli i sztuki mogą wzbogacić rodzinę ludzką, Kościół jest gotów popierać wysiłki ducha. Jak wiecie, Kościół nie identyfikuje się z żadną z wielu kultur, ani nawet z kulturą zachodnią, choć historia jego jest tak ściśle z nią związana. Bo misja jego leży w innej dziedzinie — religijnego zbawienia człowieka..."

Na froncie walki o międzyrasowe współdziałanie CAS natrafia na coraz mocniejsze opory. Nic dziwnego, bo jest atakowany z dwóch stron. Z jednej atakuje nie tylko „biała reakcja", ale i te partie polityczne, które ze względów bardziej lub mniej oportunistycznych chcą stopniowego postępu w równouprawnieniu Murzynów i dopuszczaniu ich do „partnerstwa"; z drugiej — „kongresy afrykańskie", murzyńskie ugrupowania nacjonalistyczne, które chcą zaraz całkowitej niepodległości, nie godzą się na „afrykanizm międzyrasowy", a szczera obrona praw Murzyna psuje im demagogiczną taktykę; naturalnie zwalczają ich komuniści.

Tym bardziej więc CAS akcentuje swoją postawę pozapolityczną i koncentruje się na długofalowej akcji wychowawczej. Przykładem tego rodzaju przedsięwzięć są „Kolegia Obywatelskie" (Colleges of Citizenship) w Rodezji i w Kenii.

Wylansowano je na konferencji pt. „Wychowanie i idea narodu", zorganizowanej przez CAS w Nairobi w kwietniu 1958 r. Płk Stirling przedstawiał statut kolegiów i uzasadniał cel, ten sam, na którym od początku pracuje: jak z obecnego fermentu w Afryce doprowadzić w poszczególnych krajach do współdziałania ras i wierzeń. Charakterystyczne było m. in. orzeczenie konferencji, że naczelne wskazania chrześcijańskiej zachodniej kultury i cywilizacji powinny zostać przyjęte, ale wyklęto: zachodni materializm, zachodnie zaniedbania duchowych wartości, skrzywienia zachodniego industrializmu i komunizm (uznany za zachodnie „dobrodziejstwo")...

Chodzi o wytwarzanie ducha współpracy, wspólnego patriotyzmu i współobywatelstwa, jako przeciwstawienie rasowemu nacjonalizmowi. Kolegia winny przyczynić się do budowania zaufania przez kontakt wzajemny, przez zrozumienie współzależności między stosunkami ludzkimi a rozwojem społecznym i ekonomicznym kraju, przez uczenie, jak działać można i trzeba w sprawach publicznych na wszystkich szczeblach — od rady gminnej do parlamentu federalnego.

W lipcu ub. roku ruszyło pierwsze Rodezyjskie Kolegium Obywatelskie w Salisbury, w zaimprowizowanych pomieszczeniach. Na czele komitetu wykonawczego akcji stanął prof. B. A. Fletcher, wicerektor Uniwersytetu Rodezji i Nyasalandu; we władzach znaleźli się wybitni przedstawiciele społeczeństw: europejskiego, murzyńskiego i hinduskiego; wśród patronów jest nasz biskup A. Kozłowiecki, T. J., Wikariusz Apostolski w Lusaka.

CAS zakłada w Londynie hostel dla studentów afrykańskich wszystkich ras. „Zebra House" — „Dom pod zebrą" (3. Marloes Road, Kensington) będzie londyńską placówką akcji braterstwa wśród młodzieży.

Dzieło takich ludzi jak Stirling i towarzysze, osiągnięcia Capricorn Africa Society, nawet jeżeli nie odwrócą toku bieżących wydarzeń, zostawiają trwałe ślady w sercach, umysłach i duszach ludzkich.

Przemiana charakteru jednostek, a tym bardziej społeczeństw, to sprawa długa i żmudna. Koniecznym elementem jest zaufanie wzajemne, a tutaj — przede wszystkim zaufanie czarnych braci do białych.

W liście do „Timesa" z 17. 2. 59 pisał dr Wood: „...Łamanie w praktyce zasad głoszonych w imię hasła „partnership" będzie dalej prowadziło do ogólnego chaosu i do najbardziej haniebnych gwałtów..." — W londyńskiej kolejce podziemnej Murzyn zobaczył w rękach białego książkę Oldhama: na okładce skóra zebry i tytuł „New hope..."; nastąpiła krótka wymiana zdań; wiedział co znaczy „zebra"; odchodząc mruknął: „Gdyby tylko można było im wierzyć..."

S. G.

JANINA WĘGRZYŃSKA-KOŚCIAŁKOWSKA

Firma Durand i Syn

— To nie było we wrześniu, ale w październiku. Dziewiętnastego października przeszłego roku...

Stary Durand spojrzał na syna trochę szorstko i przestał na chwilę wertować księgę kwitów. Potem znów machinalnie wyrównywał brzegi kartek nie dość dokładnie pokrywające się z niebieską kalką. Potem nagle zamknął książkę i rzucił na półkę biurka. Strzepnął marmurowy pył z kolan i sięgnął po inny zeszyt w twardej oprawie.

— Ty byłeś wtedy w Pau, pamiętam dobrze — dodał.

Tego marmurowego pyłu było w powietrzu pełno. Wszystkie sprzęty i przedmioty były zaćmione cieniutkim i gęstym osadem. Stosy marmurowych płytek różnej wielkości wznosiły się na wysokość przeszło metra we wszystkich kątach biura i wyglądało to jak kwadratowe kolumny wyrastające z ziemi. Tutaj widocznie składano gotowe wyroby albo może stary Durand kontrolował każdą sztukę, co jednak wobec ich mnogości wydawało się nam nieprawdopodobne.

A jednak tak. Nie ruszając się z krzesła jął brać z najbliższego stosu obok biurka jedną płytkę po drugiej, poświęcając każdej jedno tylko spojrzenie, ale zapewne wystarczyło ono do odkrycia jakiegoś niedociągnięcia roboty. Marmurowe prostokąty, mniejsze i większe, przesuwały się w jego rękach jak kamienna taśma, ten sam powtarzający się na każdej płycie napis zlewał się w rodzaj złocistego zygzaka: Merci, Marie... merci, Marie... merci, Marie... Te, które nosiły jeden tylko wyraz „merci" Durand odkładał na bok i po chwili już wyrósł nowy słupek od podłogi. Robił to bez pośpiechu, ale z wprawą mówiącą wyraźnie o długich latach pracy w swoim zawodzie.

Nie był jeszcze bardzo starym człowiekiem, raczej wyglądał zużyty niż sędziwy. Jak wszyscy kamieniarze, miał całą sieć zmarszczek rysujących się biało na ciemnej skórze. Najgrubsze z nich karbowały mu czoło głębokimi plisami, oczy miał lekko przekrwione, ręce popielate.

— Październik to był, bośmy już mieli ostrygi po siedemdziesiąt franków tuzin. Nie pamiętasz, Jean? Z hoteli pracowały jeszcze prawie wszystkie, i tylko ten „Pod złotym szkaplerzem" zamknięto na dwa tygodnie, bo im wsadzili przymusowy zarząd z kontrybucji. Zresztą, słusznie...

Młody Durand uśmiechnął się i rozłożył ręce gestem bezkompromisowej porażki.

— Ojciec ma rację, to było dziewiętnastego października. Ale to nie ma przecież najmniejszego znaczenia. Gdybyśmy jednak takich klientów mieli więcej, to możecie sobie wyobrazić, że musielibyśmy budować składy tak wielkie jak pół bazyliki...

Roześmialiśmy się wszyscy. Tadeusz, który był kolegą Jeana Duranda z Ecole Commerciale i po dwóch latach praktyki w Paryżu wracał do Lourdes jako specjalista reklam neonowych, chciał się wtrącić do rozmowy, ale stary Durand go ubiegł.

— Był to bardzo piękny dzień słoneczny, jak zawsze o tej porze w Pirenejach. Ciepło było jak w maju. I pamiętam... Co tam znowu?

Wszedł robotnik i podał patronowi szkic na przezroczystym papierze, któremu Durand przypatrzył się uważnie, po czym kiwnął głową i człowiek wyszedł. Razem z nim wyszedł Jean i zniknęli w głębi pracowni leżącej za oszklonymi drzwiami.

— ...był już prawie wieczór — ciągnął Durand — kiedy przyszedł ten klient. Nasz sklep zamyka się zwykle o dziewiątej wieczór, jak wszystkie magazyny w Lourdes, ale pracownię zamykamy o siódmej. Tutaj też przyjmujemy zamówienia, nieraz się trafi, że przechodzący boczną ulicą wstąpi i zamówi płytę wotywną, choć na pewno przechodzi koło naszego sklepu na głównej ulicy parę razy na dzień. Francuzi robią to zresztą celowo — im się zawsze wydaje, że jak da zamówienie wprost do pracowni, a nie do sklepu, to mniej zapłaci, He, he, znam ja ich — od dwudziestu lat prowadzę ten interes. Ale turysta i do tego cudzoziemiec, rzadko zachodzi do pracowni. Więc zdziwiłem się zobaczywszy tutaj tego klienta. Elegancko ubrany, ale nie tak jak inni turyści... nic się na nim w oczy nie rzucało. Chyba to, że nosił kapelusz i rękawiczki. Kto z turystów nosi w Lourdes regularny kapelusz?... Mówił po francusku bardzo poprawnie, ale oczywiście zaraz poznałem, że to nie był Francuz. Nie mogłem jednak zmiarkować skąd był — akcent trochę podobny do belgijskiego, a przecież nie belgijski — Belgów tutaj przewija się co rok tylu, że wiem prawie zawsze z którego kto miasta. Nie Holender, nie Anglik. Tu w Lourdes mamy już tak wprawne ucho na wszystkie możliwe akcenty, że rozpoznajemy kto skąd bez omyłki. W naszym sklepie sprzedawczyni mówi czterema językami, ja sam znam holenderski i angielski. Oczywiście i hiszpański, ale to się rozumie samo przez się. Ot, niby z uprzejmości zagadnąłem tego pana po angielsku, ale mi odpowiedział po francusku a pytać wprost nie wypada. Zresztą dlaczegóż bym miał się nim interesować bardziej niż innymi klientami? Zacząłem o nim myśleć i przypominać sobie, jaki był i jak wyglądał dopiero potem, później... Był to klient lakoniczny i małomówny. Powiedział, że życzy sobie mieć płytę wotywną z napisem i tyle. Na moje pytanie, czy ma być to napis złocony czy tylko ryty i jakich rozmiarów płyta, odpowiedział, że to mu jest obojętne i że zostawia mi zupełnie wolną rękę. I wtedy właśnie, w tym momencie rozmowy, wezwano mnie do telefonu. Dochodziła godzina siódma, a o tej godzinie miał telefonować do mnie jeden kanonik argentyński, kierownik pielgrzymek, który parę dni temu był u mnie w sklepie. Sprawa była dla mnie poważna. Argentyńczycy są, jak państwo pewnie wiecie, najlepszymi klientami w ogóle. Ci, którzy tutaj przyjeżdżają, to są miliarderzy. Co za futra, jaka biżuteria, jakie samochody... trudno zobaczyć bogatszy ekwipunek podróżny. A ten ksiądz argentyński zwrócił się do naszej firmy o kosztorys nie jednej czy dziesięciu płytek wotywnych, jak to zwyczajnie bywa, ale o kosztorys całej ściany sześciometrowej na półtora metra wysokiej utworzonej z kilkudziesięciu poszczególnych płyt noszących nazwiska ofiarodawców. Taka ściana miałaby — według ich życzenia — być wmurowana w zbocze Kalwarii pomiędzy ostatnią a przedostatnią stacją, już na samym wzgórzu. Rzecz wymagała zezwolenia zarządu groty, ale ten kanonik argentyński brał to wszystko na siebie. Takie zamówienie to bardzo wielki interes. Naturalnie więc, że...

Przerwał, bo drzwi się uchyliły i młoda dziewczyna wsunęła się do połowy z dyskretnym szeptem jakiegoś zapytania. Durand skrzywił się nie rad, że mu przeszkadzają, ale skupił się natychmiast.

— Tego modelu aC 48 nie będziemy więcej potrzebować. W każdym razie nie po tej samej cenie. Powiedz, że mamy lepsze oferty. Czekaj... powiedz, że jestem nieobecny i żeby złożyli ofertę pisemną... zobaczymy. Jeżeli nie dadzą pięciu procent zniżki na tym modelu, to kupimy u Fourcada. Jean ma wykaz cen... Czekaj... Przypomnij Jeanowi, że w ostatniej dostawie dostarczyli dwa ostrza nienumerowane w ich katalogu. Niech Jean to z tym reprezentantem załatwi.

Dziewczyna znikła w zamykających się drzwiach i Durand wrócił do swojej historii.

—...Więc, jak mówiłem, szło o rzecz poważną. Musiałem przeprosić tego klienta i skierowałem go do sekretarki, aby z nim załatwiła to jego zamówienie. Przyjąłem telefon, rozmowa z tym księdzem trwała sporo czasu, wywiązały się trudności natury technicznej... Musiałem być w zarządzie miasta, bo akurat na tym terenie przebiegają rury wodociągowe, zajęty byłem rozmowami to tu, to tam, i dopiero wieczorem na drugi dzień mogłem wrócić do spraw bieżących. Wśród zamówień ostatnich rzuciło mi się w oczy właśnie to... To...

Otworzył przed nami wąski czarny zeszyt w sztywnej oprawie, gdzie do jednej z kartek był przypięty spinaczem kawałek papieru z wyraźnie nakreślonym napisem:

„Donne-moi l'âme immortelle ou faites que j'y erois!"

Durand zamknął zeszyt i złożył go na biurku.

— Zrobiło mi się — ciągnął dalej — jakoś niesamowicie, kiedy to zobaczyłem. „Daj mi duszę nieśmiertelną albo spraw, abym w nią uwierzył"... Uważacie państwo, ten ktoś prosił o jedno z dwóch: albo o duszę nieśmiertelną, w istnienie której widocznie musiał wąt-

pić, albo o uwierzenie w nią, nawet jeśli naprawdę nie istnieje. Poza tym... nie tylko że nikt nigdy niczego podobnego nie każe ryć na płytach, bo te zawierają tylko podziękowania, albo niekiedy prośby, ale takiego napisu nie zgodziłby się umieścić żaden ksiądz ani w Lourdes, ani chyba gdzie indziej, żaden kościół by czegoś takiego nie przyjął, żadna kaplica...

Zaległa chwila milczenia. Nikt z nas nie rzekł ani słowa.

— Oczywiście zapytałem zaraz sekretarkę o tego dziwnego klienta. Sekretarka — jak wszystkie młode osoby obecnie — to stworzenie, które znakomicie pracuje i niczemu się nie dziwi. Najspokojniej więc przyjęła to ekstraordynaryjne zamówienie, obliczyła ilość liter, powiedziała cenę — była to płyta droższa ze względu na długość napisu — naznaczyła datę, kiedy to ma być gotowe i zainkasowała pieniądze. Szczegół ciekawy — ten człowiek zapłacił całą należność z góry. Zwyczajnie bierzemy à conto przyjmując zamówienie, resztę płaci klient przy odbiorze. Ten ktoś zapłacił w całości, nie było więc potrzeby wpisywać jego nazwiska do książki zamówień. Rzecz ta miała być gotowa za trzy dni w godzinach poobiednich. To się może wyda państwu śmieszne, ale ja tego poobiedzia nie wyszedłem z pracowni. Nie umiałem sobie jasno powiedzieć, dlaczego, ale chciałem tę płytę wręczyć temu klientowi osobiście.

Znowu przerwał opowiadanie, tym razem, aby zapalić papierosa. Zadusił zapałkę ciężkim butem, też popielatym od pyłu.

— Ani tego dnia nikt się po to nie zgłosił, ani następnego. Zdarza się. Ale po tygodniu to zaczęło mnie dziwić, nawet drażnić. A potem minęły dwa tygodnie, miesiąc, dwa miesiące... Nikt tej płytki nie odbierał, nikt się o nią nie zapytał. Straty materialnej nie miałem żadnej — była, jak rzekłem, zapłacona z góry. Ale, jakby to powiedzieć... nie samym chlebem człowiek żyje, prawda?...

Znowu nikt z nas nic nie odpowiedział.

— Po dwóch tygodniach oczekiwania nawet już sam zacząłem przyglądać się turystom na ulicach, czy przypadkiem nie spotkam tego mego klienta. Oczywiście bezskutecznie — mało kto zostaje kiedy dłużej nad dziesięć dni. Dopiero tego roku, a więc w rok później, zgłosiła się jakaś pani i odebrała tę płytkę — Jean ją jej wydał — miała kwit, bez nazwiska, ale z tym napisem, więc nie było wątpliwości, że...

Wszedł Jean, a równocześnie zadźwięczał telefon. Durand zdjął aparat i po chwili czoło jego pokryło się grą zmarszczek.

— Widocznie zaszło jakieś nieporozumienie — mówił do słuchawki — najmocniej przepraszamy. Natychmiast sprawdzę osobiście. Oczywiście — będzie gotowe na czas — oczywiście. Dorzucić tę datę, to drobiazg. Merci. Au revoir...

— Sacrebleu! — rzucił zły — jak czegoś nie przypilnuję osobiście...

Wyszedł z krótkim „pardon“ w naszym kierunku, niosąc w sobie chmurę reprymendy.

— Nie dostaliście niczego do picia? — zdziwił się Jean — cóż to znowu! Ojciec — jak się zagada — nigdy o tym nie pamięta. Odile! — zawołał uchylając drzwi — niech nam pani każe przynieść Jurançon i ciastka. Spróbujecie doskonałego wina, „Vin Fou“ od Henri Maire z Montfort. Wyrabiają to w Jura, to jest moje największe odkrycie, jakie zrobiłem w życiu — to właśnie wino, które sprowadziłem, ot przez czystą ciekawość... Grand prix de la qualité française. Oczywiście ojciec zagadał się i nie pomyślał o gościach.

Roześmiał się.

— Rzeczywiście zdawał się bardzo przejęty tą historią — powiedział Tadeusz.

— "Przejęty"?... — Jean spoważniał — oh, teraz to już jest wszystko w porządku. Ale wy nawet nie przypuszczacie, co to z nim było w związku z tym jegomościem. Nie wiem, czy ojciec był z wami zupełnie szczery i co wam powiedział, a co zataił. Ale on po prostu dostał istnej obsesji na punkcie tego nieszczęsnego zamówienia. Ojciec nie zaprzątał sobie nigdy głowy jakimiś problemami a już na pewno nie religijnymi... No cóż, żył tak jak my wszyscy... pracował, zarabiał, postawił naszą firmę pierwszorzędnie, jest to dziś jedna z najpoważniejszych firm w mieście. Ja też nie zastanawiałem się nigdy, czy ojciec mój był wierzący czy niewierzący, przypuszczałem, że był neutralny... Tymczasem po wizycie tego cudzoziemca zaczął rozmawiać na dziwne tematy, praca go nudziła, stał się niemożliwie niespokojny, nerwowy, niecierpliwy... Do pracowni przychodził nieregularnie, sprawy załatwiał niedbale, słowem zmienił się bardzo. Co prawda miał w tym właśnie czasie pierwszy atak serca, bardzo lekki na szczęście, ale lekarz kazał mu się szanować. Przypisywaliśmy razem z matką ten stan jego zdrowiu... Ale wiem, że sprawa tego klienta dręczyła go po cichu i stale — nie wiem co on takiego sobie w tym wszystkim upatrzył (zresztą, rzeczywiście przyznaję, że ten napis brzmi jakoś rozpaczliwie, prawda?...) dość, że zdarzały się dziwne rzeczy. Pewnego razu znalazłem w miejscowej gazecie ogłoszenie tej treści: „Firma François Durand poszukuje klienta, który dnia (tego a tego) zamówił płytę wotywną opłaconą w wysokości franków (tylu a tylu) i prosi o jej odebranie lub wiadomość w tej sprawie“. Jednym słowem rzecz niebywała. Mój ojciec troszczyłby się kiedykolwiek o jedno nieodebrane zamówienie zapłacone w całości?... Przecież to ogłoszenie przeczytało całe miasto i pytano się powszechnie co się Durandowi stało? Innym znów razem, dowiedziałem się okrężną drogą, że Ojciec zamówił Mszę św. za dusze ludzi niewierzących... Powiedział mi o tym jeden z tutejszych księży, który bardzo dyskretnie i delikatnie zapytał mnie, czy ojciec nie potrzebuje jakiejś pociechy religijnej, czy opieki duchownej. Wtedy zrozumiałem jak głęboko musiała zapaść w duszę ojca mego ta fatalna płyta i jej autor. Ojciec jest człowiekiem prostym, a tacy ludzie nie przechodzą łatwo do porządku dziennego nad swoją „idée fixe“... Przypuszczam, że poczęły go trapić zagadnienia metafizyczne, ale nie pytałem go o to wprost, nie chcąc dolewać oliwy do ognia. Do tego stopnia się zmienił, że kiedy się rozbiły widoki na bardzo wielki dla nas interes, ojciec...



— Ta ściana argentyńska? — wtrącił Tadeusz.

— Ah, powiedział wam o tym?... Tak, ta ściana argentyńska. Otóż projekt ten nie doszedł do skutku z różnych przyczyn i został w zawieszeniu. Ojciec ani się nie zmartwił, ani nawet nie zaklął — było mu to obojętne, no, rozumiecie, obojętne! A w ogóle zaczął się coraz mniej zajmować interesami i coraz więcej spraw mnie powierzał. Ja mam pod sobą całą kamieniarnię, a więc łomy i całą księgowość — za dużo na jednego człowieka. I czułem, instynktownie czułem, gdzie było żądło — w tej głupiej nieodebranej płycie, w tym jakimś niezrozumiałym niepokoju, który ojca ogarnął, można by rzec, że niepokój tego dziwaka-klienta udzielił się ojcu. Dość, że zaczęliśmy mieć straty finansowe w rezultacie. Musiałem wreszcie położyć temu koniec i dlatego aby tym stratom zapobiec i ażeby ojciec nie gubił się w jakichś rozważaniach nie z tego świata. Powiedziałem więc ojcu, że zgłosiła się do nas — tu do pracowni — jakaś cudzoziemska dama po odbiór tej płytki, że wdałem się z nią w rozmowę, z której okazało się, że była to siostra owego naszego klienta, a że on sam jest człowiekiem nerwowo chorym, płytę tę zaś zamówił do swojej kaplicy cmentarnej w swej posiadłości w Kanadzie. I wiecie — nie omyliłem się! — ojciec od tego czasu jakby odżył. Zabrał się z powrotem do pracy i jak widzicie sam jest znowu w pełni swojej aktywności....

Tadeusz aż zakręcił się na krześle.

— Jakto — zawołał głośno — więc w rzeczywistości nikt tej płyty nie odebrał?...

— Nikt. Ten rzekomy odbiór tego nieszczęsnego zamówienia ja sam zaaranżowałem, tylko na miły Bóg, nie wygadajcie się z tym przed ojcem. Kwit zwrócony przez ową rzekomą damę niby przypadkowo wyrzuciłem przez omyłkę. Przyznasz mi, że jestem dobrym psychologiem.

— A płyta?

— Oczywiście, że nie zostawiłem jej w pracowni. Ale, przyznaję, zamiast ją rozbić, jak powinienem był właściwie zrobić, nie rozbiłem jej tylko zakopałem w ogrodzie.

— Ah, jakiś ty delikatny, ty... ty, barbarzyńco!

Tadeusz wstał nagle z miejsca. A Jean podnosił w górę kieliszek napełniony znakomitym „Vin Fou“ z winnicy Henri Maire z Montfort.

— Wasze zdrowie!

Janina Węgrzyńska-Kościałkowska

ZDZISŁAW E. WAŁASZEWSKI

LEON BLOY — KATOLIK GORLIWY...

W czterdzieści lat po śmierci Leona Bloy pozostaje on dla wielu wciąż jeszcze zagadką. Nikt mu dzisiaj nie odmawia talentu, nikt nie kwestionuje pozycji literackiej, nikt nie zaprzecza zasług w kilku określonych dziedzinach pisarskich. Niespostrzeżenie podbił również długo mu niechętną Sorbonę. Prysło sprzysiężenie milczenia, uprawiane wobec jego twórczości przez zawistnych lub sponiewieranych przez niego dzierżców pióra. Nie potrzebował czekać na wnuków, jak nasz Norwid, aby mu oddali hołd; uczynili to już wcześniej synowie. Hołd ten nie jest jednak jednomyślny, i chociaż coraz bardziej zdajemy się zbliżać do należytego poznania i sprawiedliwej oceny całej twórczości tego zdumiewającego pisarza, proces ten idzie nie bez oporów i zgorszenia. Mimo pewnego osłabienia efektu, który wywoływały jego gwałtowne wypowiedzi sprzed przeszło półwiecza, Bloy może wciąż jeszcze gorszyć i wzburzać krew czytelnika. Przypominają mi się tutaj cierpkie epitety, którymi upstrzył jakiś niecierpliwy czytelnik marginesy tomu dziennika Leona Bloy, wypożyczonego z biblioteki: „Ten idiota, ten kretyn!" W uczonych tezach, tudzież w poważnych studiach nad myślą Bloy, zdarzają się także bardziej zróżnicowane, choć nie mniej ostre akcenty niechęci i o wiele poważniejsze zarzuty. Tak było i jest po dzień dzisiejszy. Problem Leona Bloy nie przestał istnieć; czytelnicy wciąż dzielą się na dwie ściśle zdefiniowane grupy — przyjaciół lub nieprzyjaciół.

Nie dziw więc, że nawet jeszcze rok 1957 mógł przynieść dwie książki poświęcone Leonowi Bloy, które pod względem treści stoją na dwóch przeciwnych biegunach. I tak, z jednej strony, Juin Hubert, w książce „Leon Bloy — prophète", (La Colombe) daje świadectwo budującemu, misjonarskiemu wpływowi dzieł Bloy, a z drugiej, Kanadyjczyk E. Barbeau — w dziele „Un prophète luciférien — Léon Bloy" (Aubier) stara się udowodnić tezę, że ten sam Bloy był „prorokiem szatańskim". Trudno rzeczywiście o bardziej kontrastowe przeciwstawienie. Jak zwykle, prawda jest gdzieś w połowie drogi. Mylili się i mylą ci, którzy są gotowi przysięgać na Leona Bloy, (co zresztą doprowadzało go zawsze do wściekłości), jak również i ci, którzy poważnie zastanawiają się nad jego rzekomym satanizmem. Prawdziwe oblicze tej osobliwej postaci wielkiego grzesznika , a zarazem człowieka rozkochanego w Bogu, nie łatwo daje się określić. O wiele łatwiej przeczuć je intuicyjnie, poddając się ogólnemu wrażeniu, o ile umiemy być wyrozumiali i współczujący. Jeżeli kogo zdziwi ten ostatni przymiotnik, warto mu przypomnieć, że Bloy żył w straszliwej nędzy i niedostatku. Świadomość, że cierpienie towarzyszyło mu przez całe prawie życie i było ową kanwą, na której autor tworzył dzieło jak żadne inne, ułatwi nam sprawiedliwą ocenę jego twórczości. Wszelka bowiem gwałtowność, wszelkie wybuchy nienawiści i pogardy, wypływające ze zbolałej natury, znajdą wówczas swoje, uzasadnienie, nie przekreślając szans mniej drażliwie sformułowanych myśli, w których odzwierciedla się dusza Leona Bloy o wiele prawdziwiej, niż w jego inwektywach. Wszystkie jego szyderstwa i drwiny, to piana na warzącej się strawie dla ducha. Nie powinny one przysłonić faktu, że Leon Bloy używał tej broni nie po to, aby się mścić na swych wrogach, ale by uzyskać posłuch dla spraw Bożych, którym służył z całego serca.

Kim więc był Leon Bloy? Jak go czytać? Jak go rozumieć? Przebrnąwszy przez przeszło trzydziestotomowy dorobek Bloy, jestem więcej niż pewien, iż teza Barbeau jest nie do utrzymania. Miłość Boga przenikała życie Leona Bloy w stopniu o wiele wyższym niż to się zdarza u przeciętnego chrześcijanina, stąd też świadomość istnienia szatana i jego dzieł, występowała u niego o wiele silniej, ale o satanizmie naprawdę nie może być mowy. Wielotomowy Dziennik pokazuje nam wiarogodną sylwetkę pisarza w całej jego skomplikowanej strukturze. Zbyt dużo i zbyt szczerze pisał w nim o sobie, zbyt pokornie oskarżał swoje wady, zbyt bezlitośnie wskazywał na swe niedoskonałości i braki, aby można wnosić, że jest to tylko sztucznie skostruowany parawan pokory, osłaniający wielką pychę. W dodatku łatwo odróżnić u Bloy prawdziwe akcenty pychy, z której nie zdawał sobie sprawy. Wreszcie elementy biograficzne, dziś już prawie w zupełności znane, dowodzą prawdziwości jego samooskarżeń. Jeżeli nie ma przeto wątpliwości, że autor jest prawdomówny, spójrzmy na jego psyche, która wyjaśni nam niejedną stronę charakterystyczną jego wystąpień.

Leon Bloy był człowiekiem nieprzystosowanym do życia. Niezmiernie nieśmiały i superwrażliwy, z wyraźnym kompleksem niższości, znajdywał kompensatę w przesadnej gwałtowności. Nerwowy, nieopanowany, łatwo przerzucał się od nadziei do rozpaczy, od nienawiści do miłości, od surowości do słodyczy, od gniewu do łez. Był to w jednej osobie sensualista i mistyk, grzesznik i prorok, ale przede wszystkim trubadur Boży. Obok wad natury psychicznej, Leon Bloy miał braki w wykształceniu. Wyrzucony z czwartej klasy gimnazjalnej, zdobył swą dużą, ale nieuporządkowaną wiedzę jako samouk. Sam nauczył się łaciny i to tak, że umiał się nią biegle posługiwać w mowie i piśmie. Brak mu było szerszego otarcia się o środowiska intelektualistyczne i literackie, brak znajomości języków biblijnych, brak poważniejszego przygotowania do dociekań teologicznych lub historycznych, brak zmysłu krytycznego, a jednak z takim bilansem ujemnym, Bloy nie stał się pismakiem piątej kategorii, ale autorem o wielkiej głębi i ogromnym bogactwie myśli. Jeżeli nie był może stuprocentowym mistykiem, należał jednak do tej rodziny duchów z racji swego niewątpliwego daru poetyckiego, bo mistyk i poeta czerpią z tego samego źródła intuicji. Bloy był bowiem poetą, który pragnął całe życie być mistykiem i świętym! Dlatego, czytając jego dzieła, nie wolno zapominać, że mamy raczej do czynienia z poetą wysokiej klasy, niż z teologiem, historykiem czy erudytą. Wiele kart nabierze wówczas innego znaczenia. To co w prozie będzie niedopuszczalną butadą lub przesadną emfazą, w poezji odegra rolę przenośni, hiperboli, analogii.

Kluczem do zrozumienia Leona Bloy jest jego pragnienie służenia Bogu. I chociaż służbę Bożą nie zawsze spełniał jak najlepiej, Bóg nie skąpił mu łask. Jego myśl religijna, często niesłychanie śmiała, a czasem na pierwszy rzut oka heretycka, nie wykracza nigdy poza ortodoksję. „Świętość jest bezbrzeżną ufnością w Bogu", pisał Bloy. Ta ufność w Bogu uchroniła go od błędów teologicznych i skierowała jego myśl w kierunku życia duchowego, w kierunku tajemnic wiary, mistycznego poszukiwania Boga, co w jego twórczości bardziej przemawia do czytelników niż jego wojowniczość. Czas więc pochylić się nad depozytem myśli religijnej Leona Bloy i poznać choć kilka jej aspektów.

Misjonarska gorliwość Leona Bloy objawiała się przez ciągłe wołanie na alarm, przez brutalne zrywanie katolików ze snu przy pomocy wizji końca świata, kataklizmów natury i katastrof wszelkiego rodzaju. Jego pozycja wobec współczesnych przypomina Mojżesza na chwilę przed rzuceniem tablic z Dziesięciorgiem Przykazań na głowy bałwochwalczego ludu żydowskiego. Biblijnym sposobem wyrażania się, smagającym jak bicz językiem starał się wywołać wewnętrzny popłoch i przerażenie, lub zburzyć przynajmniej uczucie wygodnego spokoju. Pragnął wyrugować błogostan, w jakim żyli katolicy z końca **XIX** i początku **XX** wieku. Dopiero po obudzeniu przynosił im chleb żywej nauki Chrystusowej. Najboleśniejsze razy dostawały się nie innowiercom, niewierzącym lub spoganiałym chrześcijanom, ale wiernym, dla których kult stał się rutyną, nauka Chrystusowa usypiającą kantyleną, przynależność do Kościoła tylko formą tradycji. Jego napaści na zurzędniczały kler, zamknięty w swych plebaniach i nieczuły na nędzę dusz powierzonych swej pieczy, były niesłychanym skandalem w owym czasie, ale stopniowo wpłynęły ogromnie na polepszenie sytuacji w tej dziedzinie, przez odpowiedni dobór młodzieży do stanu kapłańskiego.

Program odnowy życia religijnego, który w swych pismach podaje Bloy, nie ma nic w sobie uderzająco nowego. Jest on w tradycji Kościoła i ściśle wypływa z Pisma Świętego. Bloy umie jednak tak go ożywić, że wielokrotnie słyszane słowa Pana Jezusa pobudzają na nowo umysł do myślenia, a sumienie do wznowienia życia wewnętrznego. Na samym początku tego programu stoi modlitwa, „najwyższa czynność człowieka", mówi Bloy.

Ktoś powiedział, że całe dzieło Bloy było egzaltacją modlitwy, a jego dar nawracania dusz sprowadzał się do zachęty do modlitwy. W oparciu o słowa Pana Jezusa, a o te w szczególności: „Prze-

to wam powiadam, wszystko, o cokolwiek modląc się prosicie, wierzcie, że otrzymacie i stanie się wam" (św. Marek, XI, 24), Bloy stara się rozbudzić ducha prawdziwej modlitwy u siebie, a potem u drugich. Z początku rozumiał te słowa Chrystusa zbyt jednostronnie, sądząc, że każda modlitwa musi być wysłuchana, bo Bóg jakoby się zobowiązał, że da ludziom to o co proszą, że wystarczy tylko prosić wytrwale i gorąco, ażeby uprosić, a nawet wymusić łaskę od Boga. Nie zdawał sobie również dostatecznie sprawy, że pewne prośby mogą być szkodliwe dla duszy i ich spełnienie przez Boga niemożliwe. Nadużywał przeto niekiedy modlitw proszalnych. Z biegiem czasu doszedł jednak do wniosku, że prawdziwą modlitwą jest modlitwa za innych. Napisał kiedyś w Dzienniku: „Czy ci ktoś kiedy powiedział, że prawdziwa modlitwa musi być nadprzyrodzona, to znaczy w duchu ofiary i całopalenia z siebie? Pewna osoba prosiła mnie o modlitwę za nią, którą jej przyrzekłem, ale wiem nader dobrze, że istnieje tylko jeden sposób uczynienia tego. Jest nim ofiara własna; w innym razie nic dla niej nie zrobię i nic absolutnie dla niej nie zdobędę". A więc modlitwa musi być także płaceniem za bliźniego, gdy ten nie może lub nie umie się za siebie modlić. Dotyczy to szczególnie dusz w czyśćcu, o których Bloy nieprzerwanie pamiętał. Jedną z jego praktyk nabożnych było zrywanie się w głębi nocy z łóżka i odmawianie z rozkrzyżowanymi rękoma Różańca lub Godzinek za zmarłych. Bloy modlił się także gorąco za żywych, gdy chciał ich nawrócić lub nawróconych utrzymać w wierze. Ażeby tym pewniej osiągnąć łaskę ich nawrócenia, prosił nieraz Boga o cierpienia. Jego modlitwie towarzyszył często płacz, miał bowiem rzadki u mężczyzn dar łez. Starając się wczuć w cierpienia Chrystusa, powtarzał za tekstem z księgi Machabeuszów: „Modlitwa nie jest po to, aby coś otrzymać, ale ażeby pocieszyć Boga". Wśród licznych nabożeństw, które praktykował Bloy wymienić trzeba Różaniec, czytanie Pisma Świętego, a w szczególności Psałterza, odmawianie brewiarza, czytanie żywotów Świętych. Poza tym miał specjalne nabożeństwo do św. Józefa, św. Barnaby, św. Filomeny i Najświętszej Panny z La Salette.

Modlitwy nie można odłączyć od Sakramentów świętych, a przede wszystkim od spowiedzi i Komunii świętej. Pominąwszy jedną dłuższą przerwę, Bloy praktykował Komunię św. codzienną a spowiedź tygodniową, i to jeszcze w czasie, kiedy częste przyjmowanie Sakramentów świętych nie było polecane. Trzeba było bowiem czekać jeszcze przeszło 30 lat na słynny dekret Ojca św. Piusa X, papieża Eucharystii, z roku 1910, który ten stan rzeczy zmienił. Bloy był tutaj, jak zresztą w kilku innych sprawach, prekursorem odnowy sakramentalnej. Największym grzechem, grzechem przeciwko Duchowi Świętemu, była dla niego obojętność względem Ciała i Krwi Pana Jezusa, które On sam nam nakazał przyjmować. W roku 1903 tak reasumuje swą myśl na ten temat w Dzienniku: „Jeśli chodzi o mnie, jest tylko jeden sposób pojmowania grzechu przeciw Duchowi Świętemu, grzechu nie do odpuszczenia. Jest nim brak miłości, straszliwa zbrodnia, bardzo dokładnie określona przez św. Pawła, 1 Kor., XIII.

Równą miłością pałał Bloy do Mszy świętej i liturgii kościelnej. Starał się włączyć w cykl życia Kościoła przez codzienną medytację tekstów Mszy św. i kontemplację obrzędów liturgicznych. Widział w nich symbole, a przez nie życie w Bogu, które one sugerują. Lubił ceremonie kościelne i nie mógł ścierpieć księży, którzy odprawiali swą Mszę św. „galopem". Liturgia Wielkiego Tygodnia wstrząsała nim i pobudzała do wzmożonych nabożeństw i umartwień, aby uczestniczyć w wielkiej tajemnicy Odkupienia. W częściach zmiennych Mszy św. doszukiwał się niekiedy wskazówek osobistych i niejednokrotnie był przekonany, że one je rzeczywiście zawierały. Bloy nie miał fałszywego wstydu w pokazywaniu na zewnątrz, że był katolikiem praktykującym. Opinia ludzka była mu obojętna. Czuł się o wiele lepiej z członkami Kościoła niewidzialnego, zaś członkami widzialnymi często pogardzał, iż swą wiarę pojmowali w zbyt wygodny sposób. Dogmat Świętych Obcowanie natchnął Leona Bloy do napisania najpiękniejszych kart w jego dziele. Często też rozmyślał na temat tajemnicy Ciała Mistycznego, tych miliardów dusz złączonych w jedno z Chrystusem Panem. Pisał: „Jest to coś nieskończenie pięknego, a zarazem poza zakresem naszego pojęcia, ten koncert wszystkich dusz od stworzenia świata, koncert tak cudownie dokładny, że nie można się od niego uchylić".

Nikt też od czasu Pascala nie pisał z tak wstrząsającym uczuciem o niemocy Boga względem swego stworzenia, jak Bloy. Wyobrażał sobie Boga najczęściej w postaci tego, który nie przestaje zapraszać ludzi do swego Królestwa i błaga o ludzką miłość, jak żebrak, a przede wszystkim czeka, czeka cierpliwie ze smutkiem w oczach, jak Syn Marnotrawny, na ochłapy naszej wdzięczności. Cóż otrzymała Trójca Święta od ludzi, którym dała wolną wolę, dar najdroższy, ale również najniebezpieczniejszy? Bóg Ojciec stworzył dla nich Raj, ale już pierwsi z nich woleli pustynię poza jego obrębem; Syn Boży przyszedł im wskazać drogę powrotu, ale wnet się rzucili na niego jak na zbójcę i ukrzyżowali; a Duch Święty? Od dwóch tysięcy lat daje im do dyspozycji arsenał łask, a ich świat nie zmienił się ani o jotę i trwa w złem i grzechu. Potrójna boleść, potrójny zawód! Mała to pociecha, że od czasu do czasu przyjdzie do Boga jedna mała owieczka; a gdzie dziewięćdziesiąt i dziewięć? Czy Syn Boży nie przyszedł. aby zbawić wszystkich bez różnicy?

Skąd przyjdzie więc ratunek? Bloy uważał, że ostateczne zbawienie świata zależy od narodu żydowskiego, od Izraela, którego imię znaczy „silny przeciw Bogu". Sądził bowiem, że warunkiem przyjścia Królestwa Bożego jest nagłe, głośne nawrócenie się narodu wybranego. Jeżeli zatem nie dochodzi do tego, winny jest Izrael. Jedynie zatwardziałość tego ludu opóźnia decydująco godzinę końca świata i przyjścia Jezusa w chwale na obłokach niebieskich. Jakże więc dostojne musi być przeznaczenie tego narodu, jeżeli Bóg zechciał niegdyś zdeponować w jego rękach klucze życia i śmierci. „Bo z żydów jest zbawienie" (Jan IV, 22), powtarza wielokrotnie Bloy słowa Pana Jezusa do Samarytanki; jakże więc mogą katolicy być antysemitami? Twierdził także, że samo istnienie Izraela, gdy tyle innych ludów zniknęło z powierzchni ziemi, jest tajemnicą wiary, oraz że nikt nie może tknąć ludu wybranego, narodu zarezerwowanego, bez świętego drżenia. Powtarzał bez znużenia, że Pan Jezus, Matka Boska, św. Józef, Apostołowie byli Żydami, że Krew Pana Jezusa, wylana na krzyżu, była w ścisłym sensie krwią żydowską, i spodziewał się, że największą rolę w ostatecznym nawróceniu grzesznego świata odegra Żydówka par excellence, Najświętsza Maryja Panna. Przypomnijmy, że 50 lat później, papież Pius XI podkreślił tę samą prawdę, powtarzając, że katolicy duchowo wywodzą się z pnia żydowskiego. Chociaż Bloy odbiega od św. Pawła i św. Tomasza, którzy, przypuszczając, że Żydzi nawrócą się dopiero po poganach, nie czynili przyjścia Królestwa Bożego tak wyłącznie zależnym od nawrócenia się Żydów, chociaż jego myśl idzie w tej sprawie za daleko, zasługa Bloy jest ogromna. Otworzył on bowiem nowy widnokrąg, który nawet jeżeli nie był całkowicie do przyjęcia, pobudził teologów do nowych dociekań. Przede wszystkim jednak odrzucał roztrząsanie problemu żydowskiego na płaszczyźnie powiązań finansowych, tylko od strony lichwy i wyzysku, czego zresztą nie umniejszał, ale zajął się niesłychanie śmiało drugą, ważniejszą i bardziej tajemniczą stroną medalu.

Jeżeli wysiłki Leona Bloy w dziedzinie egzegezy biblijnej nie zawsze są godne zaufania, bo jak wiemy brak mu było wyposażenia naukowego i wytrwałości do jego zdobycia, (Bloy pragnął właściwie tylko wiedzy zdobytej przez przeżycia mistyczne i bezpośrednie oświecenie), to jednak odnajdujemy w jego dziełach katolika gorliwego, który za swe powołanie uważał uwielbienie Boga i składanie Mu z siebie ofiary. Dlatego też łatwiej trafia do czytelnika przez codzienne notatki z Dziennika, gdzie zapisywał swe wzloty ku Bogu, wyniki rozmyślań lub praktyki religijne, niż przez niektóre inne dzieła, pełne zawiłych marzeń eschatologicznych. Z kart Dziennika wyłania się postać człowieka, który sobie za cel postawił czynić wielkie rzeczy dla Boga. Niestety, nie był on człowiekiem czynu. Świętość pociągała go jako jedyna rzecz warta zachodu, ale — jak sam dobrze wiedział — nie przychodziła mu ona łatwo. Pozostawała mu przeto tęsknota: „Jest tylko jeden powód do smutku, a mianowicie że nie jest się świętym", kończy swą wzruszającą powieść „La femme pauvre". Tęsknota za Rajem, tęsknota za niebem, wieczyste pragnienie połączenia się z Bogiem, stworzenia unii ze swym Stwórcą, te stare jak świat tematy, przewijające się przez dzieła umysłu i rąk ludzkich wszystkich wieków, kultur i religii, wypływają na karty Leona Bloy z niesłychaną siłą i halucynacyjną wprost mocą. Od wielu wieków nikt ze świeckich pisarzy nie uczynił Boga tak wyłącznie jedynym centrum całego swego dzieła. A sprawy marginesowe, swoją pasję gnębiciela miernoty i swoją gwałtowność, sam nazwał „effervescence de sa piété (pianą na swej pobożności).

Tłumaczył Zdzisław E. Wałaszewski

TADEUSZ ROMER

NA POSTERUNKU



Ś.P. AMBASADOR JÓZEF LIPSKI

„Gdyby mnie wypytywano, dlaczego go kochałem, czuję, że nie mógłbym wyrazić tego inaczej jak odpowiadając: Bo to był on, bo to byłem ja."

(Montaigne: „O przyjaźni")

Podczas pierwszej wojny światowej spore grono młodzieży polskiej znalazło się na wyższych uczelniach szwajcarskich. Przeważali wśród niej przybysze spod zaborów pruskiego i rosyjskiego, którzy pod pretekstem niedomagań na zdrowiu woleli uniknąć służby w wojsku zaborczym. W zamęcie politycznym, który dominował w pierwszej fazie konfliktu, mało kto nawet kwapił się do udziału w polskich formacjach zbrojnych, samorzutnie powstających po jednej i po drugiej stronie frontu. Jednostki tylko podążyły z Szwajcarii bądź to do legionów, bądź do Bajończyków. Ogromna większość, zachęcana do tego przez rodziny, trzymała się tego kraju i studiów, skupiając się z czasem przy nowopowstałych ośrodkach polskiej pracy społecznej i politycznej, jak Komitet Pomocy Ofiarom Wojny w Polsce, osiadły w Vevey pod przewodnictwem Henryka Sienkiewicza, lub jak Polska Agencja Prasowa w Lozannie pod kierownictwem Mariana Seydy, bądź też jak redakcja małej Encyklopedii polskiej pod egidą Erazma Piltza i — nieco później — wielkiej Encyklopedii z Janem Modzelewskim jako sekretarzem generalnym. W odróżnieniu od czynnych już wówczas działaczy w życiu publicznym, młodzież nie dzieliła się tak wyraźnie na orientacje polityczne. Ale że Wielkopolanie byli wśród niej liczni, przeważały nastroje antyniemieckie, które wzmogły się jeszcze po bitwie nad Marną. Wielu pochodziło z rodzin ziemiańskich. Ci, drogą częstego u młodzieży prawa kontrastu, uchylali się od tak rozpowszechnionych u starszego pokolenia wpływów najpierw socjalistycznych, a później narodowo-demokratycznych i ulegali nieraz, rzecz szczególna, słabej skądinąd atrakcji konserwatystów poznańskich lub tzw. realistów spod zaboru rosyjskiego.

Pierwsze dwa lata wojny spędziłem we Fryburgu. Ale że byłem już wówczas czynny społecznie na marginesie moich studiów filozoficznych, przeto, zwłaszcza na terenie zrzeszenia Bratniej Pomocy, stykałem się z kolegami z innych ośrodków. Gdy Roman Dmowski po przybyciu z Rosji do Londynu potrzebował sekretarza osobistego, wywarto na mnie nacisk, bym poniechał studiów i podjął się bez zwłoki tych obowiązków. Zdołałem odroczyć to pochlebne zaproszenie o rok i przeniosłem się do Lozanny, by czas ten poświęcić dla zdobycia dyplomu uniwersyteckiego. Z tego okresu datuje się moja znajomość z Józefem Lipskim, która wkrótce przerodziła się w serdeczną przyjaźń.

Nasze ściślejsze grono w Lozannie składało się z kilkunastu młodych ludzi o niewielkiej rozpiętości wieku. Nie łączyły nas żadne więzy organizacyjne, a przyjazna solidarność na zewnątrz, zbliżenie zainteresowań i poglądów, wyrażały się w określeniu „my". W gronie tym Lipski, mój równolatek, zajmował poczesne miejsce. Mam przed oczami zbiorową fotografię z tych czasów, na której figuruje w starannym jak zawsze stroju, zapowiadającym niejako przyszłego dyplomatę: ciemny krawat, czarna marynarka i spodnie w paski. Duże czoło, powiększone jeszcze przez głębokie zatoki w rzadkich, jasnych włosach. Usta o kącikach zachylonych ku dołowi nadawałyby twarzy odcień smutku, gdyby nie lekko przymrużone, myślące oczy, w których tliły się żartobliwe iskierki. W całości, jego wygląd i zachowanie się, nie pozbawione nieśmiałości, robiły wrażenie jakiejś wielkiej subtelności.

Bardziej złożonym i uderzającym był jego intelekt. Staranne wychowanie wyniósł ze starej rodziny ziemiańskiej, osiadłej w zabytkowej rezydencji, Lewkowie, pod Ostrowiem Wielkopolskim. Stoi mi w oczach, odzyskany przez niego dziwnym trafem, już na dalekiej tułaczce, portret Prymasa Lipskiego z epoki saskiej, który do tejże należał rodziny. Wiele uroku dodawała umysłowości Józefa Lipskiego nierzadka wówczas mieszanka krwi wielkopolskiej po ojcu i północno-kresowej z moich stron rodzinnych, po matce. Do cennych u Polaka zalet solidności, pracowitości i planowej rzeczowości, które wyrobiła u Wielkopolan twarda szkoła walki z pruską zaborczością, dochodziły tak krańcowo różne elementy fantazji, szerokiego gestu i romantyzmu, rozkwitające w duszy Polaka z Litwy. Tym misternie zlanym właściwościom zawdzięczał Lipski od młodości wyjątkowy urok osobisty i bezcenny dar u dyplomaty: szczęście do ludzi. Pamiętam z tych młodych lat dyskusje, w których on głos zabierał. Jego argumentacja, z reguły starannie przemyślana, nie wyróżniała się ani krasomówstwem ani szczególnym żarem. Ale nie było w niej tak u nas częstego jadu polemicznego i ten życzliwy stosunek mówcy do drugich bardziej bywał w wyniku skuteczny od perswazji.

Pod koniec 1917 roku udałem się do Paryża dla objęcia służby w Komitecie Narodowym Polskim. Losy wojny ważyły się wciąż jeszcze i rozstawałem się z kolegami lozańskimi, jak sądziliśmy, na czas dłuższy, ponieważ Wielkopolanie z Lipskim na czele mieli wyraźny zakaz od rodzin wyjazdu na zachód zanim wojska francuskie nie staną nad Renem. Nie było w tym wyrachowania politycznego, ale głęboko w duszy zakorzeniona troska o ziemię rodzinną, która narażona być mogła na konfiskatę w razie ujawnienia przed władzą pruską, że syn domu zbiegł w czasie wojny do wroga. Rozwój wypadków skrócił nasze oczekiwania. W lipcu 1918 roku powróciłem do Szwajcarii w misji werbowania młodych współpracowników do szybko rozwijających się agend politycznych i opiekuńczych Komitetu Narodowego. Dzięki interwencji amerykańskiej położenie na froncie wyjaśniało się tak przekonywująco, że na pierwszym spotkaniu z przyjaciółmi upewnić ich mogłem bez trudu o bliskim już i niewątpliwym spełnieniu warunku ich rodzin. Po wysłuchaniu mego apelu nikt nie próbował odwołać się do argumentów zaczerpniętych z Mickiewiczowskiego Buchmana, a rozważny i chłodny zazwyczaj Lipski nie ukrywał wzruszenia mówiąc, że stoimy przed chwilą historyczną, w której wszyscy Polacy znowu służyć będą mogli własnemu krajowi. Tak miała rozpocząć się wkrótce jego długa i świetna kariera dyplomatyczna.

Czterdzieści lat służby Józefa Lipskiego podzielić można na cztery mniej więcej równe okresy: 1. **zaprawa** na placówkach w Londynie, Paryżu i Berlinie oraz w centrali Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Warszawie (1919-1928); 2. **samodzielne role** o wielkiej odpowiedzialności w tejże centrali a następnie w Berlinie (1928-1939); 3. **służba wojskowa** i wojskowo-politycz-

na we Francji i w Anglii (1939-1951); 4. **nieoficjalna misja** w Stanach Zjednoczonych (1951-1959).

W okresie pierwszym losy moje coraz to krzyżowały się z losami Lipskiego. Odwiedzałem go w Londynie i podziwiałem jego zdolność przystosowania się do nowego otoczenia, pracowitość, z jaką opanował obcy język i zapał, z jakim wdrożył się w niełatwe obowiązki młodego dyplomaty pod czterema kolejno szefami, którzy, nie zapominajmy o tym, również byli nowicjuszami w tej służbie. Gdy w 1921 roku opuściłem Paryż, zastąpiony na stanowisku pierwszego sekretarza Poselstwa przez późniejszego ambasadora Juliusza Łukasiewicza, Lipski przybył tam na trzy lata jako drugi sekretarz Poselstwa a później Ambasady, by następnie udać się na rok w charakterze pierwszego sekretarza Poselstwa do Berlina. I tu i tam bardzo intesywna szkoła praktyczna została przezeń świetnie wykorzystana. Trudno byłoby wyliczyć wszystkie znane mi przykłady zadzierzgniętych przez niego cennych przyjaźni wśród dyplomacji i w miejscowych społeczeństwach, które potem takie w pracy oddają usługi. Rzecz szczególna wśród tych osób, z którymi nasz młody dyplomata podówczas się zliżył, wiele było niewspółmiernie od niego starszych i bardziej doświadczonych. Okoliczność ta dowodzi, jak poważnie podchodził od zarania kariery do nawiązywania stosunków zawodowych, a także ile uroku przedstawiał swą umysłowością dla innych.

Przeniesiony do centrali Ministerstwa Spraw Zagranicznych w 1925 roku, objął kierownictwo referatu niemieckiego, a potem był moim zastępcą jako naczelnik wydziału zachodniego. Razem przeżywaliśmy w Warszawie tragiczne dni majowe 1926 roku. Obserwowany przeze mnie z bliska, wykazał Lipski na tych posterunkach zalety fachowe i osobiste, które zjednały mu wkrótce uznanie zwierzchników i popularność u podwładnych. Po moim wyjeździe do Rzymu w końcu 1927 roku, Lipski objął kierownictwo wydziału zachodniego i niebawem został jego naczelnikiem. W tym charakterze obowiązki jego rozciągały się na sprawy polityczne i gospodarcze w stosunkach z mocarstwami zachodnimi i Ameryką, z Niemcami i krajami Europy centralnej. W tym czasie z wielu powodów zadanie to stawało się coraz trudniejsze, coraz bardziej odpowiedzialne i dające coraz częstszą sposobność do bezpośredniego współdziałania z czołowymi osobistościami w naszej hierarchii państwowej. Przyglądałem się już z daleka tej fazie pracy mego następcy i rychło przekonać się mogłem, że jego wybitne kwalifikacje — jako zręcznego i pełnego inicjatywy negocjatora — zwróciły na niego uwagę nie tylko ministra Becka, ale także Prezydenta Mościckiego i Marszałka Piłsudskiego, zwłaszcza że ewolucja stosunków ustrojowo-politycznych w Niemczech coraz większe budziła u nas obawy.

Taką była geneza nominacji Józefa Lipskiego w jego 39 roku życia na Posła polskiego w Berlinie, a w 16 miesięcy później na Ambasadora tamże, z okazji podniesienia rangi przedstawicielstw dyplomatycznych Polski i Niemiec. Wielka rozgrywka Piłsudskiego z Hitlerem, której Lipski był na przełomie 1933/34 wykonawcą, należy dziś do historii dość powszechnie znanej w ogólnych zarysach, ale niedostatecznie wyjaśnionej w szczegółach. Wiele światła rzucą na nie zapewne, z chwilą ogłoszenia, dokumenty i notatki pozostawione przez Ambasadora. Nie byłem tych chwil świadkiem i nie miałbym nic wartościowego do dorzucenia na temat jego misji w Berlinie. Ograniczę się więc w tym punkcie do kilku uwag o charakterze ogólnym, a także do spostrzeżeń osobistych z mych parokrotnych odwiedzin u niego w przejazdach, związanych z mymi własnymi przesunięciami służbowymi.

We wspomnieniach o Lipskim podkreślano słusznie, że przypisywana mu z różnych stron już w czasie wojny współodpowiedzialność za bankructwo polityki polskiej względem Niemiec polega na nieporozumieniu. Nie był on bowiem tej polityki twórcą, lecz, jako dyplomata, jej świetnym wykonawcą. Dotychczasowe badania historyczne wydają mi się zresztą prowadzić do wniosku, że w założeniu polityka ta była należycie uzasadniona i co najmniej w pierwszej fazie wcale skuteczna, a że jej epilog zależał w dużym, przemożnym nawet zapewne stopniu, od czynników nie pozostających w związku ze stosunkami polsko-niemieckimi.

Zachowałem w pamięci parodniowy pobyt u Lipskiego w Berlinie w 1935 roku przed moim wyjazdem jako poseł do Lizbony. Widziałem go wówczas w pełnym rozkwicie talentu, aktywności i powodzenia, dzięki któremu zajmował bezsprzecznie jedno z czołowych miejsc wśród ambasadorów państw obcych nad Sprewą. Podziwiałem swobodę, wdzięk i zręczność, z jakimi obracał się w trudnym, najeżonym intrygami, tak charakterystycznymi dla każdej dyktatury, ośrodku berlińskim, gdy na gruncie towarzyskim zetknął mnie z czołowymi postaciami Trzeciej Rzeszy. Nie trudno było mi dostrzec, ile pracy, jakie ofiary własnego zdrowia i majątku kryły się u Lipskiego za tym pozornie łatwym życiem i zawrotnym powodzeniem. Dobrze przezeń zdaną próbą charakteru człowieka i wartości dyplomaty okazał się fakt, że blichtr życia na świeczniku nie przysłonił mu, jak to często się zdarza, właściwego celu, dobra sprawy, której się służy. Z rozmów moich z Lipskim odniosłem wówczas wrażenie, że mimo załagodzenia napięć w stosunkach polsko-niemieckich, niepokojem przejmował go wzrost siły i pewności Niemiec w zestawieniu z bezwładną pasywnością Zachodu. Uderzyło mnie zwlaszcza zwierzenie Lipskiego, że w zgiełku i wrzawie wielkiej stolicy czuje się nieraz straszliwie osamotniony pod ciężarem głęboko skrytych przed ludzkim okiem trosk i odpowiedzialności. Prawdę psychologiczną tego doznania sam stwierdzić miałem dopiero siedem lat potem w Moskwie.

Katastrofa wrześniowa zastała mnie w dalekiej Japonii. Z prasy dowiedziałem się bez zdziwienia, że Lipski z godnością wypełnił do końca swą rolę w Berlinie. W większym może jeszcze stopniu niż dla wielu innych wojna odbiła się na jego osobistych losach, kładąc kres dyplomatycznej karierze, na zawsze odrywając od rodzinnego gniazda i rodziny i rujnując materialnie, gdyż Niemcy z pogwałceniem norm prawa międzynarodowego zagarnęli nawet prywatny dobytek i pamiątki ambasadora na placówce berlińskiej. Do trosk ogólnych i prywatnych doszła jeszcze cała gorycz klęski, która zwłaszcza w pierwszym okresie tułaczki rodziła, jak już wspomniałem, waśnie i swary. Lipski udziału w nich nie brał i, jak mnie potem zapewniano, nikt nie słyszał z ust jego słów skargi lub usprawiedliwiania. Bezbłędnie wybrał jedynie właściwą drogę, zamykając usta krytykom i jednając uznanie wszystkich. A nie była to decyzja najłatwiejsza dla człowieka lat 45, o zdrowiu już osłabionym, który do niedawna sprawował wielkiej wagi funkcje. Jako ochotnik-szeregowiec zgłosił się do wojska polskiego we Francji i w randze podchorążego wziął udział w kampanii I Dywizji, a po kapitulacji Francji przedarł się z narażeniem życia do Hiszpanii i dotarł do Londynu, zdobywając sobie Krzyż Walecznych i Croix de Guerre oraz awans na podporucznika.

Tu rozpoczęła się dla Lipskiego niełatwa praca polityczno-wojskowa w postaci przydziału do gabinetu Naczelnego Wodza, z której wywiązał się z wielką skromnością a zarazem godnością, towarzysząc w 1942 roku gen. Sikorskiemu w podróży do Stanów Zjednoczonych, gen. Sosnkowskiemu w podróżach na Bliski Wschód w 1943 i do Włoch w 1944, a gen. Andersowi w podróżach do Francji, Niemiec i Stanów Zjednoczonych. Wyrazem oceny tej jego pracy był fakt, że ją ukończył w randze majora czasu wojny i odegrał poważną rolę w międzyalianckich kontaktach sztabowych. Poczynając od 1943 roku spotykałem Lipskiego w Londynie i jako Minister Spraw Zagranicznych konsultowałem go nieraz zwłaszcza w sprawach dotyczących Niemiec. Nieco później zasiadaliśmy razem w gronie rzeczoznawców, które studiowało te sprawy, a w szczególności zagadnienie granic polsko-niemieckich.

Wykładałem już od trzech lat na uniwersytecie w Kanadzie, gdy Lipski przybył w końcu listopada 1951 roku do Waszyngtonu, jako nieoficjalny przedstawiciel Rządu R. P., a później Zjednoczenia w Stanach Zjednoczonych. Była to misja szczególnie trudna, bez wyraźnego statutu, bez stałego i wystarczającego zaopatrzenia, bez pomocy technicznej, a o zasięgu znacznie szerszym od normalnej dyplomatycznej, gdyż poza kontaktami z rządem i parlamentem oraz społeczeństwem amerykańskim, polegała na koordynacji wszechstronnych działań olbrzymiej Polonii. Ustawiczne rozjazdy, przemówienia w różnych językach, delikatne inspiracje i pośrednictwa w częstych trudnościach, tarciach i zatargach, formułowanie planów, wprowadzanie ich w życie, podtrzymywanie nastrojów i linii w przeżywanych kryzysach, wszystko to było niemożliwym do unormowania z góry dodatkiem do absorbującej samej przez się negocjacji i pracy sprawozdawczej. Widując się z Lipskim dość często w Waszyngtonie, Nowym Jorku lub w Montrealu, a korespondując jeszcze częściej w nastroju pogłębionej, jeśli to być może, przyjaźni, po dziś dzień zrozumieć nie potrafię, jak on mógł w tych warunkach dać sobie radę z takim zadaniem, a zarazem zaskarbić sobie wśród swoich i obcych tyle autorytetu, szacunku, uznania i sympatii.

Dzieło, którego w tym okresie dokonał i okoliczności, w jakich je spełnił, świadczą, zdaniem moim, najwymowniej o jego charakterze. Z natury rzeczy bowiem praca ta obfitować musiała dużo bardziej w przykrości, troski, kłopoty, rozczarowania i upokorzenia, aniżeli w sukcesy i zadowolenie. A przecież nie zdarzyło mi się widzieć Lipskiego zniechęconym, rozgoryczonym, wytrąconym z równowagi .Ze spokojem, pokorą i niezrównaną cierpliwością wiązał wciąż rwące się nici swych planów i poczynań, nie słyszałem nigdy z ust jego słowa skargi, ba, wyrzutu pod adresem innych, których potępienie w danej chwili wydawało się tak usprawiedliwione. Wielkim podtrzymaniem, a nawet i jedyną techniczną pomocą była dlań niewątpliwie ukochana i kochająca żona. Ale tajemnica zwycięstwa Lipskiego nad przeciwnościami i nad sobą samym w tym najtrudniejszym w jego życiu okresie kryje się głębiej jeszcze, w jego żywej wierze i praktykach religijnych. Wiem dobrze, że nie było niemal dnia, mimo jego trybu pracy, w którym nie pospieszyłby wczesnym rankiem do kościoła, by wysłuchać Mszy św. i zbliżyć się do Stołu Pańskiego.

Gdy w październiku 1958 roku dowiedziałem się o chorobie Lipskiego, zaniepokojony, napisałem do niego z prośbą o bliższe wiadomości. W długim, odręcznym liście z 30 października doniósł mi, że po przejściu ciężkiego zapalenia płuc z komplikacjami, szczęśliwie powrócił do zdrowia i od tygodnia zaczął już znowu przemawiać publicznie. Czytając list ten pogodny i serdeczny, nie zdałem sobie sprawy z tego, że były to słowa pożegnania. W tej samej niemal chwili odchodził z posterunku kolega, ambasador, żołnierz i oficer, a nade wszystko dobry człowiek i przyjaciel. Wielu, zbyt wielu, niestety, bliskich przyszło mi żegnać ostatnimi czasy. O żadnym innym z nich chyba nie myślę z takim spokojem, rozważając jaką po rozstaniu poszedł zaciągnąć wieczną wartę.

Tadeusz Romer

TYMON TERLECKI

TEATR DWUDZIESTOLECIA NIEPODLEGŁOŚCI

W dwudziestolecie drugiej niepodległości teatr wszedł w blasku, jaki nie był udziałem chyba żadnego innego teatru na świecie i z zupełnie wyjątkowymi obciążeniami.

Od końca XVIII wieku przez cały wiek XIX-y teatr nasz spełniał rolę instrumentu walki, jednego ze środków zachowania odrębności narodowej, kazalnicy i trybuny. Wystarczy przypomnieć, że w zaborze rosyjskim scena stanowiła poza kościołem jedyne miejsce, z którego język polski rozbrzmiewał swobodnie w całej swojej urodzie i czystości.

Ale też za tym stanem rzeczy ciągnęły się głębokie cienie. Ciemiężyciele rosyjscy dopuściwszy do teatru mowę skazaną na zagładę, ograniczali repertuar, uciskali go bezwzględną cenzurą, dochodzącą nieraz do groteskowej śmieszności. W zaborze pruskim teatr nie mógł w ogóle działać, lub działał dorywczo i ułamkowo. Największą względną swobodą cieszył się teatr w Galicji, w Krakowie i we Lwowie. Dokonały się tam dwa wydarzenia, które miały zaważyć na rozwoju teatru w latach 1919 — 1939.

Jedno z nich to pierwsze, częściowe, jeszcze kalekie próby wprowadzenia na scenę polskiego dramatu romantycznego, który wstał na emigracji polistopadowej. Drugi fakt to Wyspiański i jego dzieło, potężne pchnięcie w kierunku nowości i europejskości. Nie darmo Edward Gordon Craig, ojciec nowoczesnej reformy teatralnej, wskazywał w Wyspiańskim jej prekursora, jednego z jej duchów przewodnich.

Teatr drugiej niepodległości rozprzestrzeni walory dodatnie na cały obszar zjednoczonej Polski, rozwinie je i podniesie na najwyższy poziom, ale nie uniknie także pewnych słabości, o których będzie mowa. Okoliczność znamienną i z oddalenia czasu przejmującą stanowi to, że proces unifikacji zaczął się na kilka lat przed odzyskaniem niepodległości, jakby w jej przeczuciu i przygotowaniu. Pierwszym wyrazem tego procesu było założenie przez Arnolda Szyfmana w r. 1913 Teatru Polskiego w Warszawie. Ta scena połączyła warszawskie tradycje wielkiego aktorstwa z krakowskimi tradycjami wielkiego repertuaru i z europejską ambicją nowoczesnej formy teatralnej. Otworzyła ona podwoje słynną inscenizacją „Irydiona“ Krasińskiego.

To jest ton, który w okresie dwudziestolecia będzie przybierał na sile i stanie się jego dominantą, jego nutą główną i przeważającą. Ale nim się to stanie, muszą dojść do głosu nowe elementy: nowe metody i nowe siły twórcze.

Wprzód zjawia się w polu widzenia scenograf, twórca, organizator przestrzeni scenicznej. Jeszcze za czasów Wyspiańskiego posługiwano się dekoracjami szablonowymi, fabrycznymi, przeważnie sprowadzanymi z Austrii i Niemiec, które służyły do wystawiania sztuk bardzo różniących się od siebie. Dopiero twórca „Bolesława Śmiałego“ teoretycznie i praktycznie postawił zasadę, że każda sztuka teatrealna wymaga odrębnego, wynikającego z niej organicznie kształtu plastycznego.

Tę zasadę w bardziej sprzyjających warunkach wprowadzili dwaj wielkiej miary artyści-scenografowie, związani z Krakowem i Wyspiańskim: przedwcześnie zmarły Wincenty Drabik i żyjący do dziś Karol Frycz, współinscenizator wspomnianego „Irydiona“ z 1913 r. W ślad za nimi przyszli i inni, młodsi, jak Józef Śliwiński reprezentant dekoracji architektonicznej, trójwymiarowej, jak Andrzej Pronaszko, który przeniósł do teatru i szczęśliwie w nim zastosował nowe dążenia plastyczne, jak Władysław Daszewski.

Drugi nowy element wniosła „Reduta“, scena doświadczalna, założona przez Juliusza Osterwę w Warszawie na początku niepodległości. Wprowadziła ona nową, pogłębioną, uszlachetnioną, unowocześnioną metodę pracy z aktorem i nad aktorem. Ta metoda wiązała się z tzw. systemem Stanisławskiego, ale stworzyła odrębny, polski obyczaj teatralny, urobiła wielu aktorów, natchnęła wielu reżyserów.

Trzecim czynnikiem rozwoju stał się inscenizator-reżyser w nowoczesnym rozumieniu słowa, wszechstronny i wszechwładny „artysta teatru“. To pojęcie stworzone przez cytowanego już Craiga wcielił u nas najpełniej jego uczeń i przyjaciel Leon Schiller. Jak większość ludzi ważących na drogach sceny polskiej w dobie niepodległoci, jak Szyfman i Osterwa, wyszedł i Schiller z Krakowa Wyspiańskiego. Pracował w pierwszych latach w warszawskim „Teatrze Polskim“. Przez jakiś czas był blisko związany z „Redutą“. Wystawił w niej swoje głośne widowiska: „Pastorałkę“ i „Misterium Wielkanocne“, odtwarzające z resztek, z zapomnianych śladów, dawny teatr religijny, rdzennie polski.

Wszystkie wyliczone dotąd składniki skupiły się i zogniskowały w głównym osiągnięciu teatru niepodległości, w kongenialnym uscenicznieniu dramatyki romantycznej: Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i dramatyki poromantycznej: Wyspiańskiego, Żeromskiego, Micińskiego. Jest to bodaj jedyny taki przypadek w historii, że dramat jednej epoki znajduje pełny, doskonały wyraz w teatrze innej, późniejszej epoki. Ale też to co pisali romantycy polscy na wygnaniu miało znamiona ideowego i artystycznego proroctwa. Mickiewicz z katedry paryskiego „Collège de France“ mówił o „słowiańskim teatrze przyszłości“, kreślił jego główne rysy, postulował jego charakter.

Do tego wyobrażenia nawiązał Wyspiański, gdy marzył o „teatrze ogromnym“, gdy na scenie krakowskiej inscenizował „Dziady“ i pisał swoje dramaty. To wyobrażenie Schiller przyoblekł w ciało inscenizacjami „Nieboskiej komedii“, „Kniazia Patiomkina“, „Achilleis“ i „Róży“ w wielkiej pamięci Teatrze imienia Bogusławskiego, który działał w Warszawie w latach

1924 — 1926, w „Samuelu Zborowskim" po raz pierwszy wprowadzonym na deski Teatru Polskiego w chwili, gdy Słowacki wracał do kraju, „Kordianem", „Snem srebrnym Salomei" i „Dziadami" wystawionymi we Lwowie.

Całe to wydarzenie utarło się nazywać polskim teatrem monumentalnym. Nazwa: teatr monumentalny sugeruje wielkie proporcje dramatu. Dotyka ona także istoty stylu scenicznego, zresztą bardzo zróżnicowanego, który nie fotografował rzeczywistości, ale ją podnosił do wymiarów wizji i symbolu. Coś rzeczywiście symbolicznego w najszerszym znaczeniu, coś co streszcza i odbija w sobie całą naszą niepodległość, jest w fakcie, że wolna Polska swoją dominantą uczyniła dramat, który walczył o wolność.

Ta symboliczna wymowa przybiera jeszcze na sile, gdy się zważy, że teatr monumentalny był jednocześnie teatrem na wskroś polskim i najnowocześniej europejskim. Aby się mógł urzeczywistnić, trzeba było wszystkich warunków, które pokrótce scharakteryzowałem, trzeba było zbiegu dwu okoliczności z różnych wymiarów: odzyskania niepodległości przez Polskę i zwycięstwa reformy teatralnej w Europie.

Gdy się patrzy na dwudziestolecie 1919 — 1939 z oddalenia dalszych tragicznych lat dwudziestu widzi się coś co z bliska nie narzucało się z taką oczywistością. Obok dramatu romantycznego i poromantycznego, który wszedł triumfalnie na scenę polską powstawał dramat nie tak wielki, ale przecież zwarty i cenny. Warto tu wspomnieć „Redutę" grającą tylko sztuki autorów polskich. Wystarcza wymienić Rostworowskiego i Żeromskiego, Szaniawskiego i Morstina. Obok nich działała „warszawska szkoła komediopisarzy": Grubiński, Krzywoszewski, Kiedrzyński. Stawiali pierwsze kroki młodzi jak Zawieyski. Samotnie eksperymentował „Witkacy" wyprzedzając o ćwierć wieku Becketta i Ionesco.

Ten dramat przeważnie wymagał innego wyrazu scenicznego niż forma monumentalna. Niedługo przed wojną zaczął się zaznaczać prąd neorealistyczny. Nawracał on do odtwarzania rzeczywistości życia, do prawdy przedmiotowej, ale ujmował ją w obraz złożony tylko z szczegółów wybranych i uporządkowanych według ich ważności. Te próby, niestety stłumione przez wojnę i nieszczęsny soc-realizm, zapoczątkował twórca teatru monumentalnego Leon Schiller. Obok niego zaznaczał się w tym zakresie Aleksander Węgierko, tragicznie zmarły w czasie wojny.

Obok tych dwu należy choćby dla przykładu wymienić kilku twórczych inscenizatorów-reżyserów, jak najwybitniejszy wychowanek „Reduty", organizacja może najbardziej pokrewna Schillerowi, nieżyjący już Edmund Wierciński, jak dwaj działający na emigracji artyści młodszego pokolenia: Wacław Radulski i Leopold Kielanowski. Pierwszy przez czas dłuższy przebywał w Krakowie i zabłysnął inscenizacją utworu Chestertona „Człowiek, który był czwartkiem". Drugi, czynny w kilku ośrodkach prowincjonalnych: Toruń, Katowice i Wilno, dał się poznać zwłaszcza w wielkim widowisku plenerowym pióra Morstina „Mikołaj Kopernik".

Przy tym wszystkim co uderza w nim niebywałą nowością teatr Polski niepodległej był także teatrem wielkich aktorów. Nie odgrywali oni tej wyłącznej roli, jaka była ich udziałem do pierwszej wojny, zwłaszcza w t.zw. teatrach rządowych w Warszawie. Przy narzuconej z góry błahości repertuaru, zacofaniu technicznym, nacisku położonym na język i słowo aktor-solista wysuwał się naprzód, zagarniał dla siebie całą scenę i wypełniał całą uwagę widza. W latach 1919 — 1939 stanął on wobec licznych konkurentów. Przez pierwsze lata był to scenograf, który swoją pomysłowością plastyczną i kolorystyczną przytłaczał wszystko i często zbierał pierwsze oklaski. Później był to inscenizator-reżyser sięgający po władzę na scenie.

Ale niebawem między tymi wszystkimi czynnikami ustaliła się szczęśliwa równowaga. Wprowadzona przez „Redutę" zasada gry zespołowej nie gasiła wielkich indywidualności, mniejsze zaś podciągała do ich poziomu głosząc, że celem pracy teatralnej jest nie popis jednostki, ale sharmonizowanie całości.

Dwudziestolecie oglądało niepowtarzalne talenty aktorskie: Stanisławy Wysockiej, zmarłej w czasie wojny, Dulębianki, Przybyłko-Potockiej, Ćwiklińskiej, Modzelewskiej, Romanówny, Eichlerówny, Solskiego, Osterwy, Junoszy-Stępowskiego, Zelwerowicza i Jaracza, którzy obaj przeszli przez „Redutę", zamordowanego przez hitlerowców Maszyńskiego, Stanisławskiego, Adwentowicza, który grał Samuela Zborowskiego w inscenizacji Schillera.

Teatr polski drugiej niepodległości stanowi dziś zjawisko zamknięte, brutalnie przerwane przez wojnę, sztucznie zepchnięte w cień przez układ rzeczy powstały po wojnie. Jest to zjawisko, któremu, w całych dziejach naszej sceny nie potrafimy wskazać równego — zjawisko bogate w osobowości twórcze, bogate w jedyne dokonania. Jak każde dzieło ludzkie miało ono też swoje słabe strony. Zdradzały się one bardziej w zakresie organizacyjnym niż w zakresie artystycznym.

Zaczynał teatr swoje działanie w kraju do niedawna podzielonym na trzy części, zniszczonym przez wielką wojnę, za którą w ślad poszła wojna polsko-bolszewicka, w państwie borykającym się z pilnymi, trudnymi zagadnieniami. Jeśli się to weźmie pod uwagę, osiągnięcia artystyczne są czymś godnym podziwu. Jeśli się uwzględni tło wojennych okoliczności, bardziej zrozumiałe są cienie towarzyszące temu okresowi.

Poszukując dominanty artystycznej, ujmowałem dwudziestolecie 1919 — 1939 jako jedną całość, chociaż zaczynało się w nim pewne następstwo faktów i można by w nim oczywiście wytyczyć linię lub linie rozwojowe. Podejmując teraz próbę scharakteryzowania strony organizacyjnej życia teatralnego w tym czasie, zacznę od stwierdzenia, że ten stosunkowo krótki okres dzieli się na kilka części.

Pierwsze lata między końcem wielkiej wojny i końcem wojny polsko-bolszewickiej mają charakter przejściowy. Potem przychodzi siedem — osiem lat pomyślnego rozwoju, który trwał do r. 1930. Po nim aż do r. 1936 kryzys gospodarczy dał się dotkliwie odczuć również w teatrze. I wreszcie kilka ostatnich lat przed drugą wojną, w których z roku na rok zaznaczała się poprawa w położeniu teatrów. Te wahania koniunktury ilustrują dwie liczby: w r. 1924 było w Polsce 38 stałych scen, w r. 1931 — 33. Wśród warsztatów, ofiar kryzysu, znajdował się Teatr im. Bogusławskiego w Warszawie, w którym Schiller pokazał swoje pierwsze wielkie inscenizacje polskiego dramatu poetyckiego, dając początek stylowi monumentalnemu. Warunki ekonomiczne najmocniej uderzały w sceny operowe: w r. 1930 było ich jeszcze cztery, w r. 1939 ostały się tylko opery w Warszawie i Poznaniu.

Teraz trochę liczb charakteryzujących życie teatralne niepodległej Polski. W r. 1936 działało w niej 67 teatrów z polskim językiem scenicznym, w tym 36 stałych i 31 wędrownych. Wśród nich było: 26 scen dramatycznych, 6 muzycznych, 14 rewiowych, 21 mieszanych. Prócz teatrów polskich istniało 15 teatrów żydowskich, 14 ukraińskich, 2 niemieckie, co najlepiej świadczy o tym, że Polska była krajem tolerancji językowej i kulturalnej. W sumie zaś rok 1936 widział 103 teatry na ziemiach polskich, tuż przed wojną, dzięki poprawie gospodarczej, było ich jeszcze trochę więcej.

Ilu widzów przechodziło przez te widownie? Oto odpowiedź w liczbach z 1937 r.: w samej Warszawie sprzedano blisko dwa miliony biletów, w Wilnie ponad 600 tysięcy, w Krakowie 270 tysięcy — w całej Polsce z górą pięć i pół miliona biletów.

Teatry drugiej niepodległości były w pierwszym zwłaszcza dziesięcioleciu teatrami utrzymywanymi przez miasta. Warszawa przyjęła pod swój zarząd dawne sceny rządowe, opromienione glorią wielkiego aktorstwa. Lwów, Kraków, Wilno miały teatry miejskie sięgające swoją zaszczytną przeszłością w okres dawniejszy sprzed 1918 r. W okresie międzywojennym powstały nowe sceny w Królewskiej Hucie, Kaliszu, Częstochowie i Białymstoku. Autonomiczna dzielnica śląska utrzymywała swój własny teatr w Katowicach. Warszawski Teatr Polski był przez wiele lat imprezą prywatną, ale korzystał z opieki społecznej. Kryzys w latach 1931 — 1936 spowodował, że gminy miejskie zrzekały się bezpośredniej administracji teatrami i, udzielając często dużej subwencji, puszczały je w dzierżawę. W pewnej chwili tylko teatr krakowski pozostał w bezpośrednim zarządzie miasta.

W drugim dziesięcioleciu podjęto próbę częściowego, po-

średniego upaństwowienia niektórych scen za pośrednictwem „Towarzystwa Krzewienia Kultury Teatralnej". W r. 1933 wzięło ono pod swoje skrzydła Teatr Polski w Warszawie i później nabyło go na własność. W następnym roku objęło ono warszawskie sceny miejskie. Tuż przed wojną miało wziąć w zarząd także operę stołeczną. Ta próba etatyzacji nie była we wszystkim szczęśliwa, wzbudzała wiele zastrzeżeń i głosów krytycznych. Z odległości czasu trzeba stwierdzić dwa fakty. Po pierwsze nie mogła się ona w pełni rozwinąć. Po drugie, była czymś niewinnym w porównaniu z masową etatyzacją i biurokratyzacją teatrów, przeprowadzoną po wojnie.

Warto dodać, że obok 5 teatrów znajdujących się w rękach „Towarzystwa Krzewienia Kultury Teatralnej" istniało w Warszawie 13 teatrów prywatnych. Były wśród nich sceny prowadzone przez wybitnych aktorów: niezapomniane „Ateneum" pod kierownictwem Stefana Jaracza, „Teatr Kameralny", którego duszą był Karol Adwentowicz, „Instytut Reduty" prowadzony przez Juliusza Osterwę, „Teatr Malickiej". Te sceny dawały schronienie indywidualnej niezależności, równoważyły zapędy reglamentacyjne i centralistyczne. Teatr Jaracza był dzięki swemu kierownikowi i swemu położeniu sceną popularną o bardzo wysokim poziomie artystycznym. „Instytut Reduty" działał jako laboratorium doświadczalne.

Bardziej ujemnym zjawiskiem niż nieśmiałe próby upaństwowiania była centralizacja życia teatralnego w Warszawie, słabe zainteresowanie tym co się działo poza nią. Ale i to nie da się uogólnić na całość okresu. Adwentowicz działał dłuższy czas w Łodzi, pobyt Schillera we Lwowie zapisał się epokową inscenizacją „Dziadów", w pewnych chwilach zaznaczały się tak nowe lub odległe ośrodki jak Toruń czy Wilno.

Przez całą niepodległość narastał wysiłek upowszechnienia teatru, udostępnienia go warstwom dotąd nie korzystającym z tego dobra kulturalnego. „Reduta", po okresie laboratoryjnym w Warszawie wczesnych lat niepodległości, przeniosła się w r. 1924 do Wilna, jakby przeistaczając się z klasztoru kontemplacyjnego w klasztor misyjny. Objeżdżała miasta, miasteczka i wsi, dawała pod gołym niebem takie widowiska, jak „Pastorałka" czy „Książę niezłomny". W ostatnich latach przed drugą wojną istniały cztery teatry objazdowe: w Toruniu dla Pomorza, w Katowicach dla Śląska, w Łucku dla Wołynia, w Stanisławowie dla Podola i Podkarpacia. W Warszawie działał t.zw. „teatr peryferyjny", który każdego dnia w tygodniu grał na innym przedmieściu.

Można twierdzić, że te imprezy nie upowszechniały sztuki teatralnej na wszystkich, nie nasycały całego obszaru państwa w jednaki sposób. To prawda, ale i to prawda, że był to prąd przybierający na sile i przyspieszeniu.

Zresztą wysiłek popularnego teatru zawodowego uzupełniał teatr samorodny, „teatr ludowy", choć słowo „ludowy" w okresie niepodległości znaczyło coś innego niż dzisiaj i coś prawdziwszego. W r. 1938 istniało z górą tysiąc grup teatralnych zorganizowanych w dziesięć stowarzyszeń z siedzibami w Warszawie, Krakowie, Lublinie, Lwowie, Równem, Brześciu nad Bugiem, Wilnie, Poznaniu i Toruniu. Te zrzeszenia miały swoje biblioteki, własne magazyny dekoracji i kostiumów, wysyłały instruktorów do miejscowych zespołów amatorskich. Na rok przed wojną ich księgozbiory liczyły 14 tysięcy tomów, ilość kostiumów dosięgała 28 tysięcy. Na czele tego całego ruchu stał Instytut Teatrów Ludowych w Warszawie, w którym działał wielkiej pamięci działacz, pisarz, animator Jędrzej Cierniak.

Naszkicowany tutaj obraz nie byłby pełny bez kilku słów o zawodowej organizacji aktorskiej i o specjalnym szkolnictwie teatralnym.

W dobie zaborów aktor zdobył sobie u nas zupełnie wyjątkowe stanowisko. W Polsce niepodległej znalazło ono wyraz w potężnym ruchu solidarności, w syndykacie zawodowym pod nazwą Związku Artystów Scen Polskich, który przetrwał do dzisiaj na emigracji. Ten Związek, założony w r. 1919, odgrywał ważną rolę w życiu teatralnym. Tylko jego członkowie mieli prawo do występowania na scenie, dyrektorzy zaś mogli z nimi wchodzić w styczność dopiero po podpisaniu t.zw. „konwencji". Dzięki temu nie było aktorów i reżyserów nie zrzeszonych, teatrów nie związanych umową zbiorową, która regulowała warunki pracy, wynagrodzenie, opiekę lekarską, opiekę nad kobietami ciężarnymi i t.d. Tę rolę ZASPu odzwierciadla cyfra 9 milionów złotych, stanowiąca wartość umów zawartych w teatrach polskich na sezon 1939/40. Ale ambicje tego syndykatu nie ograniczały się tylko do spraw materialnych. W r. 1926 zwołał on nadzwyczajny zjazd poświęcony wyłącznie sprawom i zagadnieniom artystycznym. Zapewnił opiekę finansową kwartalnikowi naukowemu „Scena Polska", który do wojny wychodził pod moją redakcją.

Tradycja szkolnictwa teatralnego sięga w Polsce czasów ojca sceny narodowej Wojciecha Bogusławskiego. W r. 1934 dawną szkołę przeistoczono w Instytut Sztuki Teatralnej. Miał on dwa wydziały: aktorski, przez lata prowadzony przez jednego z najwybitniejszych i najbardziej wszechstronnych aktorów Aleksandra Zelwerowicza, i reżyserski — założony przez największego naszego reżysera Leona Schillera. Zwłaszcza ten drugi wydział powstał bez żadnych wzorów, był jeszcze w fazie prób i udoskonaleń. Instytut Sztuki Teatralnej roztaczał kontrolę nad prywatnymi szkołami teatralnymi i wyłaniał komisję egzaminacyjną dla t.zw. eksternistów. Planował stworzenie wydziału sztuki filmowej i wydziału teatrologicznego. Był instytucją o wielkim, dobrze zasłużonym autorytecie.

Cały teatr dwudziestolecia niepodległości przedstawia dorobek wielostronny i cenny. A przecież, jeśli odrzucić pierwsze lata przejściowe, uwzględnić czas kryzysu, był to okres właściwie bardzo krótki. Miał on swoje cienie. Poza powolnym rozprzestrzenianiem się na masy, o czym była już mowa, jego największą słabość stanowiło to, że w zbyt nikłej mierze przenikał przez granice Polski. Poza wystawą polskiej dekoracji teatralnej, która w r. 1931 wywołała wielkie wrażenie w Paryżu, Schillerowskimi „Dziadami" pokazanymi w Sofii, „Kopernikiem" opracowanym przez Kielanowskiego i wystawionym w kilku krajach słowiańskich — niewiele co wiedziano na świecie o tym teatrze.

Ale my nie mamy powodów go się wstydzić. Możemy i powinniśmy być z niego dumni. Powinniśmy pamiętać, że w nim polski geniusz teatralny znalazł najwyższy, jak dotąd, wyraz — wyraz najbardziej własny i najbardziej europejski.

Tymon Terlecki



ZYGMUNT ŁAWRYNOWICZ

Anakreont w spódnicy

Gdybym miał do wyboru wiersze pisane przez mężczyzn i wiersze pisane przez kobiety, bez wahania wybrałbym poetów, zostawiłbym wszystkie poetki. Mam wielu ulubionych poetów, których czytam, z którymi łączy mnie głębsze pokrewieństwo w myśleniu i odczuwaniu, ale na mojej poetyckiej półeczce nie ma ani jednego przedstawiciela tej „drugiej płci", o której tak wnikliwie i ciekawie pisze pani Simone de Beauvoir. Zapoznanie się, niezbyt gruntowne co prawda, z twórczością pisujących w Kraju młodych Polek nie zmieniło mego ustosunkowania. Z pewnością zostanę zaliczony do antyfeministów, aczkolwiek nie trudno o dowody, że jest inaczej. Być może jestem snobem, a co gorsza takim dziewiętnastowiecznym panem, który w odniesieniu do kobiet ma trzy słowa do powiedzenia: Kinder, Kirche, Küche. Otóż nie. Myślę natomiast, trzeba to raz nareszcie powiedzieć otwarcie, że kobiety w swoim nieco owczym pędzie do równouprawnienia zatraciły poczucie naturalnej proporcji rzeczy i zdobywszy dla siebie pozycje uprzednio zarezerwowane wyłącznie dla mężczyzn zgubiły po drodze sporo uroku kobiecości i pośrednio przyczyniły się do zubożenia kultury. Kobieta, która nie uprawiała polityki i handlem się nie zajmowała, nie nosiła munduru wojskowego ani fabrycznych kombinezonów, była bardziej obecna w sztuce, stanowiła jej spiritus movens. Dziś zamiast być przedmiotem uwielbienia artysty lub subtelną inspiratorką, sama woli pisać czy malować. „Wolę pogratulować Pani nowego kapelusza, lub eleganckiej sukni, niż wydania nowej książki" — westchnął pewien Francuz. W tej materii jestem w zupełności po jego stronie. Są dziedziny życia przez naturę niejako zarezerwowane dla mężczyzn. Choćby nie wiem jak się starały, kobiety nigdy nie osiągną tej sprawności intelektualnej i artystycznej, jaka była udziałem Sokratesa, Fidiasza, Dantego, Szekspira czy Bacha. Sztuczne w rzeczywistości równouprawnienie niczego w gruncie rzeczy nie załatwia. W naturze nie ma równości. Kobieta może włożyć spodnie i zagrzebać się w papierach, ale nigdy nie będzie filozofem, wodzem, prorokiem.

MIECZYSŁAW PASZKIEWICZ

NOTY O TWÓRCZOŚCI MŁODYCH POETÓW KRAJOWYCH

VII

Jest rzeczą zastanawiającą, że poezja kwitła w czasach i w krajach, kiedy i gdzie kobieta była tradycyjnie traktowana jako własność prywatna mężczyzny. Hindusi, Persowie, Arabowie mieli i mają piękną poezję miłosną. Dziś, na Zachodzie, gdzie kobieta wywalczyła sobie chyba wszystkie możliwe prawa, poezja miłosna prawie nie istnieje. Rozważania na ten temat prowadzą do wniosku, że to właśnie zbyt daleko posunięta emancypacja współczesnej kobiety jest odpowiedzialna za zawstydzająco niski poziom i ubóstwo poezji erotycznej. Można się zakochać w służącej, praczce, dziewczynie podającej kawę w kawiarni czy piwo w barze. Ale zapewniam, że nie można zakochać się w konduktorce londyńskiego autobusu, policjantce czy babsztylu pyskującym z ławy partyjnej w parlamencie. To by było prawie contra naturam. Kto wie w jakim stopniu emancypacja kobiet przyczyniła się do wzrostu homoseksualizmu. Ponieważ jednak ta dziedzina nie wchodzi w zakres naszych rozważań, więc też zatrzymać się wypadnie na tym pytaniu retorycznym.

Można by powiedzieć, że odejście kobiet od „kobiecości" zubożyło sztukę, a między innymi poezję. Wiersze pisane przez kobiety tej luki niestety nie nadrobią. O ile mi wiadomo, nie ma dziś w Polsce poetki, którą by można postawić obok Herberta, Różewicza, Karpowicza, Białoszewskiego, Harasymowicza czy Grochowiaka. Panie piszą, owszem, i wydają tomiki. Ale te wiersze rzadko kiedy trafiają do przekonania. Robią wrażenie jakichś sztucznych płodów, którym brak konsekwentnej konstrukcji, przeżytej treści, prawdy życiowej.

„Fajerwerki, lampiony, muzyka,
Noc jak kula czarnoksiężnika,
Noc jak muszla pełna muzyki —
A ja sama tutaj, ja z nikim...

Tańczą, piją, pod ręce się wiodą,
Lśnią płomyki wina w krysztale,
A ja siedzę nad szklaneczką z wodą
I duże papierosy palę.

Wybuch śmiechu błysnął jak raca,
Pierścień złoty po stole się toczy,
Ścianę muzyki na ziemię przewracam,
To ty spojrzałeś mi w oczy."

Tak w wierszu „Spojrzenie" pisze Mieczysława Buczkowna. Naiwne rozżalenie, papierowa scenaria, nieporadność, nieumiejętność artystycznego wyrażania własnej nudy, samotności, rozżalenia. W innym wierszu „Próby" daje poetka takie zakończenie:

„Ach, wierz mi,
Siłę uczuć
Jak wartość stali
Zmierzyć może jednym uderzeniem
Twoje serce."

Niestety trudno uwierzyć. Te słowa nie mają mocy przekonywania. I to już nie tyle wątła poezja co bezsilna proza. Lektura niektórych wierszy Buczkówny sprawia wrażenie, że autorka korzysta ze słownika w sposób chaotyczny pragnąc wyrazić coś, o czym sama ma bardzo mgliste pojęcie:

„Jak tamten bukiet bzu
Krzyżyków duszna gama
Znowu etiudą Es-dur
Pochmurnie rozsypana
Zapachniała do łez.
Tak na dwóch fortepianach
Po niewiernościach wiosen stu
Nieoględnie wyznana...
Zapachniała jak bez."

(„Etiuda")

✱

Ciekawiej prezentuje się twórczość Małgorzaty Hillar, chociaż i tu artystyczne osiągnięcia są raczej mizerne:

„Gdybyś był blisko
dałabym ci
tę pierwszą poziomkę

Mówiłabym
weź najmilszy
to jest kropla słońca

Ty jesteś daleko
a poziomka ma kształt łzy."

(„Poziomka")

W modlitwie do Matki Boskiej, po wstępnej inwokacji zaczynającej się od słów:

„Matko Boska w papierowej koronie
Mieszkanko zimnego kościoła..."

Hillar daje dowody dosyć prostackiego pojmowania religii, pychy, która odrzuca pomoc czynników nadprzyrodzonych jako bezskuteczną i arogancji, która graniczy z bluźnierstwem:

„Codzienie do Ciebie przychodzę
chociaż wiem
tęsknoty nie zmniejszysz
rozłąki nie skrócisz

Co ty wiesz o miłości
niebieska i gipsowa
która nawet swego syna
poczęłaś nieprawdziwie."
("Modlitwa")

◆

Czytając jeden za drugim wiersze młodych poetek czytelnik popada w senną ociężałość. Poezja może być smutna, rozpaczliwa, tragiczna, ale nie może być nudna! Z westchnieniem ulgi wita się takie wiersze jak „Pod kioskiem" Teresy Socha-Lisowskiej. Jednej rzeczy tam nie rozumiem, a mianowicie jak może „obcas nad przechodniem" przebić niebo niby sztylet? Ale reszta jest przemiłą miniaturą. Cytuję in extenso:

„Tu konduktorki w czarnych
spodniach
Trzymają chłopców swych za szyję
Czerwony obcas nad przechodniem
Przebija niebo niby sztylet

Chłopcy z zielonym źdźbełkiem
w zębach
Bryzgają w trawę piwa resztką
Odchodzą w poprzek drogi rzędem
Z żałosną i plugawą pieśnią

Pod kioskiem stoi mała miłość
W amerykańskich pantofelkach
Różę zgubiła łzę zgubiła
Buzię ma białą jak muszelka"

✱

Te fragmentaryczne uwagi i niezbyt może reprezentatywne cytaty nie roszczą sobie pretensji do rozstrzygania zagadnienia. Uważam, że kobiety mają duże możliwości w zakresie poezji lirycznej pod warunkiem, że przestaną naśladować mężczyzn i w swojej poezji będą bardziej wierne sobie. Mało jest kobiet naprawdę twórczych poetycko. To prawda. Może zbyt są zajęte praniem pieluch, gotowaniem obiadu, przymierzaniem sukien. Nie mają czasu na introspekcję, refleksję, lekturę, medytację, wreszcie na walkę z niesfornym słowem. Powinny moim zdaniem omijać z daleka wszelki katastrofizm, weltschmerz, heroizm beznadziejności i wszelkie filozofowanie wierszem. To jest teren łowiecki, zarezerwowany dla mężczyzn. Nie zgodziłbym się natomiast z twierdzeniem jakoby erotyk należał także do tego „rezerwatu". Muszę przyznać rację M. Paszkiewiczowi, kiedy na marginesie uwag o twórczości Anny Pogonowskiej pisze, że „erotyki — jak zresztą najczęściej erotyki kobiece — brzmią (u niej) mdło i nieprzekonywująco". „Wydaje się, pisze on dalej, że kobiety stworzone są raczej na bohaterki niż na autorki poezji miłosnej". Zdanie to rozszerzyłbym na sztukę w ogóle. Co do erotyku natomiast myślę co następuje. Wydaje mi się, że chwilowy zmierzch erotyku ma swoje dodatkowe wytłumaczenie w wyczerpaniu się inwencji twórczej w tej dziedzinie. Wyczerpały się katalogi porównań, zabrakło metafor. Po Pieśni nad Pieśniami, poezji erotycznej Grecji, Rzymu, Persji etc. bardzo trudno jest o dobry wiersz miłosny, który by nie opierał się na nieco już zużytych kliszach. Mężczyźni wyśpiewali się w tej dziedzinie. Dotychczas jednak mało wypowiedziały się kobiety. Ich podejście, sposób odczuwania i reakcje nie zostały jeszcze zapisane. Ta druga strona miłosnego medalu jest podobna do ziemi, która nie ma dotąd swej poetyckiej mapy. Chodziłoby jednak tutaj o coś autentycznie kobiecego, przeżytego do głębi i wyrażonego subtelnymi środkami sztuki poetyckiej nie popadającej w banał, w ckliwość, słowem o poezję, która by wyszła z powijaków tradycjonalizmu i pruderji, poezję sensualną, ale nie wulgarną, swobodną, ale nie rozwiązłą. Przykładem takiej poezji są wiersze Haliny Poświatowskiej. Drukowała je „Zebra", magazyn graficzno-literacki wydawany w Krakowie (obecnie zdaje się zamknięty). Przytaczam je tu w całości jako dowód na to, że kobiety potrafią nie tylko być bohaterkami, ale także wysoce uzdolnionymi autorkami erotyku. Wiersze te podaję bez żadnego komentarza, gdyż jest on zgoła niepotrzebny. Wszystkie trzy cytowane wiersze nie mają tytułów, zastępują je gwiazdki.

✱

„Mówiłeś: masz rzęsy
stąd do nieba
nie lubię takich rzęs
— a ja się śmiałam
mówiłeś: masz stopy które w dłoni
kryją się wąsko
nie trzeba
— a ja się śmiałam
mówiłeś: masz uśmiech jak skrzydła
świerszcza
nie wolno
— a ja się śmiałam
mówiłeś: spódniczkę masz cienką
i w ogóle wiatr
— a ja się śmiałam

potem na żółtym promyku jaskra
poprowadziłam cię ścieżką
ciężkiego niedźwiedzia
w nadąsanym futrze
— uklękłam na trawie
i nie mówiłeś nic

✱

„Jestem zaczadzona pięknem mojego ciała. Patrzyłam dzisiaj na siebie twoimi oczyma. Odkryłam miękkie zagięcie ramion znużoną okrągłość piersi które chcą spać i powoli na przekór sobie staczają się w dół. Moje nogi rozchylające się oddające bezmiernie aż po krańce których nie ma to co jest mną i poza mną pulsuje w każdym liściu w każdej kropli deszczu. Widziałam się jak gdyby poprzez szkło w twoich oczach patrzących na mnie czułam twoje ręce na ciepłej napiętej skórze moich ud i posłuszna twojemu rozkazowi stałam naga naprzeciw wielkiego lustra. A potem zasłoniłam oczy twoje żeby nie widzieć i nie czuć samotności mojego rozkwitłego tobą ciała."

✱

„Mogę spełnić się tu — płasko
rozsypać dziesięć palców po twoim
ciele
każdym dotknięciem sprężać mięśnie
w żyłach — potoczyć brunatną krew

mogę ubarwić twoje czoło
czerwienią lipcowego wschodu
i rzęsy — zakręcić na zębach tak
pięknie
jak wiatr — gałęzie drzew

mogę szybkimi pocałunkami
związać cię w drgający węzeł
i wolno
rozginać ręce
z których wychodzisz ty
inny
z obudzonym bogiem w piersi
gotów zawładnąć światem
owiniętym w kłębek
nisko — u twoich nóg"

(Z. Ł.)

Roman Bratny

Zwolennicy klasyfikacji, podziałów i grup — a tych zawsze trafia się dosyć i do przesytu — wyłowili spośród młodych komunistycznych poetów w Kraju kilku i określili mianem „pryszczatych". Wymienia się ich jednym tchem: Woroszylski, Mandalian, Bratny, dodając czasem innych (jak na przykład Drozdowskiego, który jednak, jak słyszałem, od „grupy" się odrzeka). Mając wrodzoną (może przesadną) antypatię do wszystkiego co stadne, zbiorowe — a już szczególnie w poezji — wolę nie mówić o „pryszczatych" jako o grupie. Jeżeli wybieram spośród nich Bratnego, to nie jako typowego reprezentanta, ale dla jego indywidualnych wartości czy może — w części — dla wad, usterek, od których nie jest wolny. Bo obok rzetelnej poezji jest w tej twórczości sporo reportażu, nieco prozaizmów (nie prozy), jakiś tam procent banału, łatwizny.

Bratny urodził się w Krakowie, u brzasku dwudziestolecia: w 1921 roku. Pierwszy tom jego wierszy pt. „Pogarda" ukazał się konspiracyjnie w latach niemieckiej okupacji. Z wierszy wynika, że był w A. K. i walczył w powstaniu warszawskim na Starówce („Na grobie kolegi z A. K.", „Dramat w końskiej źrenicy" itd.). Wczesne wiersze tematyce powstańczej głównie są poświęcone. Wśród nich warto zwrócić uwagę na erotyki: drapieżne, może trochę brutalne, a czułe. Zapewne szczere, a przynajmniej urzekające szczerością, w którą... da się wierzyć.

W antologii „Poezja Polski Ludowej" nie wspomniano w przypisach o ideowym zaangażowaniu Bratnego z okresu okupacji. W tej dziwnej książce opracowanej przez Ryszarda Matuszewskiego i Seweryna Pollaka mówi się tylko o przynależności do A. L. Bratny reprezentowany jest jednym wierszem: „Pamięć" (nienajlepszym chyba z jego utworów) i jednym rymowanym wypracowaniem pt. „List zetempowca do matki". Wybór taki niewątpliwie krzywdzi poetę pokazując go od strony retoryki partyjnej, którą w jakimś tam stopniu uprawiał, ale która w żadnym razie nie stanowi o jego wartości. Bratny jest komunistą lub się za niego uważa. Komunizm jego jednak miewa pęknięcia. Nawiedzają autora rozterki. Tam, gdzie dopuszcza je do głosu, brzmi zwykle poezja. Nie chcę przez to powiedzieć, że poezja zaczyna się na zewnątrz granicy komunizmu. Te pojęcia leżą (by użyć oklepanego określenia) „na różnych płaszczyznach". Rozterka natomiast (w ogóle rozterka, niekoniecznie „rozterka komunisty") ma z poezją powiązania istotne. Wiersz, „Nowik, pamiętasz?" trafnie ilustruje zagadnienie:

„To było naprawdę
....
groźne:

głowę musiałeś stracić.
Mam dla siebie pogardę
ale ona
jeszcze żyje na fotografii.

Lubiła
w syren fabrycznych gwiździe
nucić melodie tanga.
Miła
ale tak mieszczańska,
że „dalej nie idzie"

W huku artyleryjskiego ognia
rzecz nowa się rodziła,
nowe bogate życie.
Do jej sanek pasują dzwoneczki
z fiołka
i to by się przestraszyła
ich bicia.
....
Księżyca tarcza była młodszą
o jedenaście miesięcy
— nowik.
Nie miałem pieniędzy
nawet by zadepeszować
„żegnaj"
kochanemu człowiekowi.

Napisałem „człowiekowi"?
Tak. Na własne oczy to widzę.
Ależ to chyba rym mnie skusił!
Pamiętasz, nowik?
Pożegnałem dziewczynę,
bo w niej nie było ludzkiej duszy."

Rozterka uczuciowa — tak umiejętnie pokazana przez poetę, ma swój nieoczekiwany, paradoksalny sens; gdy Bratny — ideowiec spiera się z Bratnym — zakochanym chłopakiem, gotów jestem przyznać rację pierwszemu. Chłopakowi spodobała się „miła" dziewczyna. Ideowiec rozstał się z nią, „bo w niej nie było ludzkiej duszy". Łatwo się domyślić wszystkiego co niedopowiedziane: sentymentalizmu zamiast sentymentu, czułostkowości zamiast czułości, zalotności zamiast zalet. Śmiem przypuszczać, że to co zraziło Bratnego, nie było różnicą poglądów, ale ich brakiem u bohaterki wiersza, pustką, zamkniętą w ładnym pudełku.

W cytowanym wyżej tekście uderza reminiscencja z Norwida, tak oczywista, że zapewne świadoma: „...do jej sanek pasują dzwoneczki z fiołka..." gdy u Cypriana: „...By zagłuszyć głos prawdy wolnej W dzwoneczki fijołków dzwonią..." Cały utwór trąci nieco Majakowskim. Gdzie indziej wpływ ten uwidocznia się jeszcze wyraźniej. W wierszu „Jak wyzwisko" (osnutym na podobnym temacie co „Pamiętasz, nowik?") zjawia się problem wiary w Boga, pojętej — rzekłby ktoś — płytko, utylitarnie:

„...Boże! proszę Cię, spraw to i —
bądź!
i niech w niebie ziemia tylko będzie
i ona, i jej głos,
nawet gdy mówi: „Już odejdę."

Nie tylko zresztą ta zwrotka przypomina rosyjskiego poetę i jego tragiczny „Flet kręgosłupa".

Tematyka miłosna, stanowiąca treść wspomnianych utworów, jest w poezji Bratnego zjawiskiem dominującym, jeśli odrzucić mdłe elementy „ideowe" w rodzaju utworu „Korea — tak nazwij swój dom":

„Od Korei ręce precz!"
Jak broń ściśnijmy drążek
transparentu.
Zamiast jutro na bagnety biec,
dziś my
bronimy Korei na wiecu.
Krzyczmy!
Nasz głos jest mocny
— ileż na świecie w tej chwili
naszych wieców!"

itd. itd.

Bratny nie cofa się — mówię z żalem, nie z ironią — nawet przed wciągnięciem do partii starożytnych bogów:

„Nike! komunistko skrzydlata,
dzień w dzień w marszu,
noc w noc cię widzę
do zjednoczonego świata."

Tematyka miłosna bierze jednak górę nad partyjnymi obowiązkami, uparcie wraca w różnych okresach twórczości poety. Jest ona bogata w wątki i ujęcia. Bywa świadomie brutalna i cyniczna, ale i wtedy przełamana jednak tajonym wzruszeniem. Niekiedy brzmi w niej sentymentalizm, oficjalnie przez Bratnego wyklęty. Przejawia się on choćby w trochę drażniącej skłonności do zdrobnień: portrecik, obrazek, uszko, światek itd. Czasem jednak erotyki te brzmią ładnym, szczerym wzruszeniem: są łagodne. Wtedy trafiamy w nich na metaforykę religijną. Ateizm Bratnego musi nie być szczególnie hartowny i najwyższej próby, gdy Bóg, choćby furtką negacji, wraca tak często:

„Gwiazdy wyżęte z melodii starych
gramofonów
obwiesiły choinę nieba —
każdym spojrzeniem brałem Cię
za żonę,
w Twoich oczach modlił się Bóg,
którego nie ma."

Jeden z najpiękniejszych obrazów w poezji młodego komunisty jest osnuty właśnie na tematyce religijnej:

„A twojej twarzy owal
Jakby Matka Boska stępem zatoczyła na osiołku
na niebieskich hipodromach
— taki żywy i taki łagodny.

Ten element maryjny jest typowy dla tradycji poezji polskiej — nawet w twórczości innowierców czy ateuszy. Zacytowana zwrotka świadczy o tym równie jaskrawo co przykład Daniela Kałaja, pastora kalwińskiego, który (u schyłku XVII wieku) schroniwszy się do Gdańska przed grożącą mu w Małopolsce karą śmierci, cieszył się — na wygnaniu — z wiedeńskiego tryumfu króla Jana tymi oto słowami:

„Zemnąć zwycięsca lud brzmi głos
Hosanny
Y Magnificat Przenajświętszej
Panny."

Poezja Bratnego, często rażąc i drażniąc, zmusza jednak do zastanowienia, pociąga. Trwałość wywoływanego wrażenia zawdzięcza zapewne — poza niewątpliwymi wartościami formalnymi (znajomością rzemiosła) także (a chyba przede wszystkim) przenikającemu ją duchowi walki. Szczególnie wiersze, które za temat mają dni powstania, przesycone są atmosferą dzielności, tajonego patosu. Tchnie nim trudny, chropowaty, bardzo w bólu i goryczy dojrzały utwór pt. „Ulica" i „Julii". Brzmi ten patos w sformułowaniu, którego sens każdy chyba musi uszanować, nawet jeśli nie przyzna mu słuszności:

„Gołębie, kwiaty, piersi, rzeczy,
które
piękne jesteście!
Nie ma prawa was pieścić
kto nie biegł bodaj raz do szturmu
komu w pochodach nie cierpła
odparzona skóra,
kto w zatajonym aparacie nie
nadsłuchiwał wieści."

Ideologia, reprezentowana przez Bratnego jest mi obca i wroga — jego poezja, jego pochwała dzielnosci są mi bliskie. Ale i dla ideologii owej nie mam pogardy — tę rezerwuję dla uśmiechniętych intrygantów i kanalii kawiarnianych. Dla otwartych wrogów (walczących, zwyciężonych czy zwycięskich) zachowam zawsze — może cierpki — szacunek.

(M. P.)

O PRZYJEMNOŚCI DOSKONAŁEJ

LUBIĘ Max Jacoba. Jego poezje, jego rysunki, nade wszystko zaś jego osobę, jego ciekawą metamorfozę z światowca w najszerszym tego słowa znaczeniu — w ascetę i pustelnika. Śmierć jego jest jedną z najbardziej zbrodniczych zbrodni, jaką popełnili Niemcy, ponieważ Max Jacob uosabiał „światło“ w rzadko spotykanym stopniu doskonałe.

Ale jego „Porady dla młodego studenta“, które przeczytałam w ostatnim numerze ŻYCIA*) wywołały u mnie bunt i niezadowolenie. Bo — po pierwsze — wszekie rady działają odstraszająco, a materiał tych właśnie rozważań nadaje się do formy pamiętnika osobistego, do formy zwierzenia swoich doświadczeń, nie zaś do „rad“ — a pomyłki formy mszczą się bardziej niż to się pozornie przypuszcza.

Dając zaś rady, trzeba stanąć na jakimś mocnym gruncie — takim lub siakim, ale wyraźnym. Najbardziej czarujący chaos, najbardziej poetycki wzlot nie uchroni przed katastrofą chybienia celu. Chybia celu ktoś, kto równocześnie przemawia z dwóch pozycji: mistycyzmu i logiki. Max Jacob był, jest i pozostanie mistykiem-poetą i w tej roli leży jego wielka wartość. Ale... nawet najsubtelniejszy poeta może być złym psychologiem.

Do kogóż bowiem odnosić się mogą te „rady“? Do studenta... dzisiejszego? Gdzie znajdzie się student nieświadomy swego „rodzaju umysłowego“, swych możliwości i swoich granic? Wstręt do ogólników jest zdobyczą dwudziestego wieku, nie jego wadą. Słowo „kultura duszy“ brzmi zbyt ogólnikowo, skoro tę „duszę“ młody człowiek, wzięty w twarde obroty zdobywania wiedzy, musi naciągać do ostatecznych granic, aby sprostać pełnemu i uczciwemu jej opanowaniu. A święci to też byli wielcy specjaliści w takiej lub innej cnocie i nie ma świętych „uniwersalnych“. Max Jacob dopuszcza się nieświadomego fałszu wymieniając siedem darów Ducha Świętego najbardziej dowolnie jako „miłość, bojaźń Boża, inteligencja, mądrość, umiejętność, moc i rada“... zwyczajny katechizm na szczęście wymienia inny porządek rzeczy: „Mądrość. Rozum. Rada. Męstwo. Wiedza. Pobożność. Bojaźń Boża.“ Cztery cnoty zasadnicze też atakują w pierwszym rzędzie stronę intelektualną człowieka: Roztropność. Sprawiedliwość. Wstrzemięźliwość. Męstwo.“ Do samej zaś roztropności — a tym bardziej sprawiedliwości — trzeba bardzo wielkiego męstwa. W języku świeckim cnota ta nazywa się odwagą cywilną. Lecz zdarza się, że odwaga cywilna jest zasadniczym żywiołem człowieka, jest jego nie tylko obowiązkiem, ale i namiętnością. I z całą namiętnością — zalecaną skądinąd przez Jacoba — trzeba zwalczać jego niedokładne rozróżnienia, jego nieścisłości, jego nie zawsze humanistyczne odniesienie się do człowieka.

Precyzujmy: „rzeczą istotną jest znać ludzi i w ten sposób walczyć z umysłowością matematyczną, czyli umysłowością anty-chrześcijańską i przeczącą inteligencji ludzkiej“. „Wystrzegaj się okropności umysłów matematycznych, dla których X równa się Y, więc równa się Z.“ Czyż zdanie takie może nie zrazić wszystkich studiujących nauki ścisłe, a te tylko nauki przyciągają coraz bardziej dzisiejszego studenta i nie stoją one w żadnej sprzeczności z duchem Kościoła nakazującego awangardę naukową bez opuszczania stanowiska religijnego. Tanią przyjemność cytowania Pascala czy Newtona należy opuścić. Gorzej jest z niechęcią Jacoba do sztuki, która jemu samemu otwarła drzwi do religii. Traktowanie sztuki jako „próżnego zajmowania się“ muzyką lub malarstwem brzmi wręcz nieprawdopodobnie. Podobnie ma się rzecz z zaleceniem unikania życia towarzyskiego, choć jest ono konieczne w myśl zadań apostolstwa świeckiego. Gdzież do licha ma się ono odbywać? Jak, bez zdobycia prymitywnego bodaj spirytualizmu, można w ogóle pokusić się o wpływ na innych, jak odmówić roli wychowawcy spirytualistycznego właśnie sztuce? I co krok twierdzenia bez pokrycia lub z gruntu fałszywe. „Pamięć jest najpotężniejszym darem umysłowym. Ona kształtuje to, co nazywamy geniuszem.“... Einstein — jak wiadomo — nie pamiętał szybkości światła, co nie przeszkodziło mu być geniuszem doprawdy prometejskim. A inteligencja to nie jest „umiejętność odnoszenia szczegółów do wielkich linii generalnych“, tylko częstokroć wprost przeciwnie — łamania ich. Odwaga zaś nie „prowadzi do sukcesu materialnego, zdrowia, inteligencji(?)“ — często prowadzi do życiowej klęski, a nieraz do śmierci cywilnej lub fizycznej. A obowiązki walczącego świeckiego chrześcijanina wykluczają tryb życia zakonnika przez dziesięć lub piętnaście lat — wątpliwe też jest czy wynagrodzi je „pełne powodzenie życiowe“. Trudno też nie uśmiechnąć się nad wzmianką o pracach wykańczanych w sposób cudowny wtedy, kiedy czas przeznaczony na tę pracę spędziliśmy na modlitwie. Milczenie nie zawsze bywa rzeczą drogocenną — częstokroć przyczynia się do najgorszych nieporozumień. W znajomości historii nie można odkryć „wszystkiego“, czytanie zaś monografii może być równie bezowocne jak uczęszczanie do kina, które „zafałszuje ci umysł“(?...) Mętna pedagogika, przerzucanie się z kaznodziejstwa w „filozofię“ oraz pretensja, aby przy tym wszystkim być „praktycznym podręcznikiem“, brak najprostszej metody i dowolność klasyfikacji o luzem chodzących przykładach, robią z „rad“ dziwaczną zaiste lekturę. Przy tym wiele jest w niej uśmiechu ciepłego, serdecznego, wiele miłości, całe morze dobrej chęci służenia... I szkoda, szkoda tych wszystkich pięknych słów i zdań, które unicestwia wewnętrzna sprzeczność, niehomyślenie chaotyczność. I, co gorsza — absurdalność. Definicja tego co nazywamy „sub specie aeternitatis“ — to podług Jacoba taki „stan (duszy), kiedy wszystko to co dzieje się dokoła niej, mogło równie dobrze dziać się tysiąc lat temu jak zaistnieć dopiero za tysiąc lat w przyszłości“. Nie wiem, kto podejmie się wykonania takiego „stanu“ swojej duszy. „Sub specie aeternitatis“ jest po prostu odnoszeniem siebie do absolutu — w tym wypadku do absolutu wiary w istnienie Boga i wiary w jego nakazania.

Max Jacob może porwać i zarazić innych swoją miłością do Boga, ale nie może dawać rad praktycznych, które nie wytrzymują żadnej próby, a już na pewno nie zaspokoją umysłowości żadnego studenta.

Mam o to wszystko do Max Jacoba żal głęboki. Bo kto jak kto, ale on właśnie był powołany do napisania na temat religii zupełnie innych rzeczy. On właśnie powinien był powiedzieć szeroko, głośno, długo, przekonywująco o swoim największym osobistym doświadczeniu, to jest o przyjemności. Ponieważ ją znalazł, ponieważ do niej tylko dążył cale swoje życie.

Religia jako Przyjemność Doskonała. Nigdy nie mogłam pojąć dlaczego tak mało pisze się o przyjemności człowieka wierzącego, bo wierzy. O tym, że jest stworzeniem pozazdroszczenia godnym u tych, którzy nie wierzą. I o tym, że katolicyzm jest religią zapewniającą przyjemność zarówno umysłom ścisłym, przez dostarczenie metody i systemu, jak i naturom najbardziej antyintelektualnym, w szczególności zaś zmysłowym. Już od dawna wszyscy wiemy, że człowiek nie może nie dążyć do swojej przyjemności, ponieważ takie dążenie jest kamieniem węgielnym natury ludzkiej, a wszelkie dowody na stwierdzenie ciężarów i trudności życia religijnego są, przy bliższym wejrzeniu, dowodami pozornymi. Prawie zawsze ateusz zazdrości wierzącemu, nie zaś wierzący ateuszowi. Dla ścisłości podaję, że za ateusza uważam nie kogoś, kto starcił wiarę, lecz kogoś kto nigdy nie doznał nawet pokusy jej posiadania. Zazdrości jednak nieznanej sobie przyjemności, którą słusznie lub niesłusznie uważa za niedostępną dla siebie. W czym się raczej nie myli, bo choć istnieje piękne określenie o „gwałtownikach niebieskich“, Kościół jednak uczy, że wiara jest przede wszystkim — łaską.

Max Jacob miał kolosalne doświadczenie, jak przez miłość przedmiotu, przez przyjemność twórczą, przez absorpcję wszelkich sztuk i wszystkich radości życia — wyrabia się coraz to bardziej wyrafinowany smak i równocześnie uczucie niedosytu. Max Jacob jest najlepszym przykładem, że bogactwo życia duchowego nie zaś jego prostactwo prowadzi do religii. Ten, kto posiadł w życiu wszystkie jego dobre strony, z trudem może przekonać o ich „nicości“ tych, którzy kosztowali w życiu wyłącznie zło i cierpienia. Ale tak dla pierwszych, jak i dla drugich, słowo „przyjemność“, arcyludzkie słowo, zachowuje swój blask i prestiż. Idzie więc tylko o wychowanie u człowieka pewnej hierarchii, pewnej reakcji ciąg-

---

*) ŻYCIE nr 3(564): PORADY DLA MŁODEGO STUDENTA, str. 7-10.

łej w porządkowaniu różnych przyjemności, czyli, jak tego uczą podręczniki psychologii, sublimacji. Owo wychowywanie właściwej hierarchii to bardzo trudna rzecz — miejmy nadzieję, że w przeciągu przyszłych stuleci posunie się o parę żółwich kroków. Niemniej nic innego nie zostaje do zrobienia. Natomiast ci, którzy są obdarzeni łaską wiary — niechże o tej przyjemności swojej mówią głośno. Wtedy unikną tych jakichś zażenowań, jakichś fałszywych sytuacji czy niepewności wobec zakusów dyskutantów inaczej usposobionych, a nie dość dobrze wychowanych, aby nie tykać największych intymności człowieka. Rzadko kiedy z ringu dyskusji wychodzi ktoś pokonany oświadczając: „Przekonaliście mnie, uwierzyłem". Głęboko rozgałęziona, bogata liturgia, bardzo wielka sztuka o tematyce religijnej — to nie są wyschnięte źródła przyjemności człowieczej. Z nich właśnie wziął Max Jacob swoją radość wycofania się ze świata w cień zakrystii, gdzie dalej odbywało się dla niego misterium oczarowania muzyką, rzeźbą, wonią kadzidła i kwiatów, światłem witraża, grą kolorów, tam właśnie przeżywał nadal i coraz to większe radości artysty. Był bezsprzecznie najszczęśliwszym człowiekiem swojego pokolenia wtedy dopiero, kiedy się tą mistyczną zmysłowością lub zmysłową mistycznością nasycał, innych nią pociągał, niepokoił, narzucał ją jako najcenniejszą swoją zdobycz i... przekonywał. Nie przez „rady". Przez Przyjemność Doskonałą.

J. W. K.

HENRYK CZESŁAW ŚLIWIŃSKI

Dzieje pewnej agonii

Niewielu pisarzy obeszło się tak bezwzględnie z bohaterami swoich książek jak zmarły przed dwoma bez mała laty toskański głośny pisarz Curzio Malaparte. Umiał on doprowadzić dramat człowieka do granic wytrzymałości, jak gdyby rozkoszując się cierpieniem i bólem istot, które znalazły się w kręgu jego „artystycznej obecności", w atmosferze jego nieopanowanej żądzy wiwisekcji. Nie oszczędził jej nawet ukochanemu psu, który mu towarzyszył podczas długich miesięcy wygnania na Wyspach Eolskich. Zagubionego pod koniec drugiej wojny światowej w ciemnej uliczce Florencji podczas nocy, odnajduje w końcu w jakimś instytucie doświadczalnym. Nie darował ani sobie ani czytelnikowi bezlitosnego obiektywizmu w opisie ostatnich chwil wiernego przyjaciela, rozciągniętego na operacyjnym stole. Ku jego zdumieniu pies wcale nie wył; wytłumaczył to sobie daniem zwierzęciu znieczulającego środka. Kiedy jednak dowiedział się, że Febo został pozbawiony strun głosowych, opuścił ze zgrozą kaźnię i dopiero pod osłoną nocnych mroków zapłakał.

Malaparte niełatwo poddawał się wzruszeniom, i jako pisarz i w życiu prywatnym. Końcowy akt swego własnego istnienia rozegrał bez żadnych i dla siebie względów, pozwalając i sobie i innym na wiwisekcję swoich przedśmiertnych wrażeń. Jego agonia w pokoju szpitalnym na via Salaria w Rzymie śledzona była z napiętą uwagą przez całą prasę włoską. Rozpatrywano publicznie każdy jego gest, każde słowo, każdy jęk. Na stole stał w pogotowiu magnetofon, aby rejestrować ledwie dosłyszalny głos umierającego. Zdawało się, że nawet słowa wypowiadane przez niego w gorączce miały dla korespondentów niezwykłą wartość. Szpitalna „antecamera" zapełniona była po brzegi tłumem przyjaciół, wielbicieli i zwykłych ciekawskich, którzy przychodzili przyglądać się temu konaniu, jak niegdyś francuski dwór narodzinom następcy tronu.

Malaparte powziął decyzję „powiedzenia" światu swojej ostatniej książki. Zatytułował ją: „Dzieje mojej agonii". Nigdy przedtem nie zdołał zabrać się do napisania autobiografii, teraz zaś w ten niezwykły sposób przekazywał światu straszliwy obraz ostatnich pięciu miesięcy swego życia, od powrotu z Chin, gdzie rak zaatakował go wyraźnie po raz pierwszy, aż do momentu śmierci, która nastąpiła w lipcu 1957 roku. (Malaparte umarł w wieku niepełnych 60 lat.)

Trudno powiedzieć, czy zdawał sobie sprawę z tego, że jego pomysł dzielenia się z tłumem wrażeniami z granic życia i śmierci przyciągnie spojrzenia milionów ludzi, którzy nie tylko z głębszych humanitarnych pobudek, lecz także i z pospolitej ciekawości chwytać będą każdy jego znak, powtarzając co dzień: „Malaparte jeszcze żyje!".

Długa była męka, bo Malaparte zawsze był twardy: nie chciał się poddać; im większe miał w życiu przeciwności, tym silniej zwierał się w sobie, walczył. Do pojedynku ze śmiercią stanął z desperackim męstwem. Dopiero po pięciu miesiącach tej nierównej walki zakończył życie i to wtedy, gdy wielu już uwierzyło, że powróci jednak do zdrowia, i będzie jeszcze pisał...

* ✱ *

Był bardzo upalny czerwiec. Brak orzeźwiającego powiewu dawał się mocno choremu we znaki; dusząc się prawie, bo w czasie operacji usunięto mu prawe płuco, co chwila do spieczonych gorączką ust przysuwał gumową rurkę butelki z tlenem. Z okna pokoju widać było piękny, typowo rzymski ogród, w dali rysowała się liliowo linia albańskich wzgórz. Ale ten nasycony blaskiem słońca krajobraz nużył i wyczerpywał chorego. Zasłaniano więc okna i pokój tonął najczęściej w półmroku, z którego wychylały się tajemniczo egzotyczne figurki z chińskiej porcelany lub z zielonego kamienia, przy stałym cichym szeleście elektrycznego wentylatora. Oprócz tych i innych ulubionych drobiazgów, jak np. herb rodzinnego miasta Prato, znajdował się też w pokoju wizerunek Biedaczyny z Asyżu i krucyfiks. Malaparte bowiem, przedtem protestant, po przedwczesnej śmierci najukochańszego brata Aleksandra, zmarłego również na raka, przyjął katolicką wiarę. Nie było ani jednej fotografii, gdyż chory pisarz uważał, że „nic mniej nie mówi o życiu człowieka jak właśnie fotografia".

Malaparte jak gdyby dwa razy przeżywał agonię. Po raz pierwszy trwało to — jak sam oświadczył — przez pięć dni. Ledwie odzyskał nieco sił, podjął swój mówiony reportaż z progu „tamtego świata". „Chcę mówić — oznajmił — przede wszystkim o moich ostatnich doświadczeniach człowieka złożonego ową straszną agonią, którą przeżyłem przed kilkoma tygodniami. Jest ona doświadczeniem tak ważnym, esencjonalnym i absolutnym, że gdybym o tym zamilczał — aby nie wyczerpywać się — jak doradzają lekarze, wydawałoby mi się to zdradą wobec sensu całego mojego życia. Pragnę przedstawić wam dzieje mojej agonii. Powtarzam słowo — AGONII, gdyż jest to prawdą, że przez pięć długich dni konałem. Dokładnie od niedzieli 12 maja, do czwartku 16 maja. Agonia jest słowem posiadającym znaczenie aktywne, a nie bierne. Oznacza ona zmaganie, sprzeciw i jest walką przeciwko śmierci. Przetrzymałem ją podczas pięciu dni i zwyciężyłem. Zmagałem się z nią w pełni zmysłów i przytomności; ten właśnie zadziwiający fakt znajdowania się człowieka na pograniczu z Nieskończonością... pragnę wam przedstawić. Powróciłem stamtąd nie zapominając o najbłahszym szczególe. Drugim znakiem obecności śmierci w moim ciele było uczucie lodowatego zimna, bijącego od moich nóg. Najgroźniejszym jednak symptomem końca, nie pozostawiającym żadnych wątpliwości, było ukazanie się na rękach czegoś dziwnego i niepokojącego. Na wierzchach moich dłoni zaczęły się tworzyć ogromne ilości gruzełków. Była to krew ścinająca się w moich żyłach. Dałem znak siostrze miłosierdzia, która podniosła się szybko, aby zawiadomić doktora. Po kilku minutach zjawił się profesor Pozzi; spojrzał na mnie i powiedział: „Tak, to koniec".

Nie chciał umierać; miał jeszcze tak wiele do powiedzenia światu. Co stworzył do tej pory, zdawało się niczym w porównaniu z tym, co mógł jeszcze powiedzieć. Śmierć jednak nie pozwoliła mu na realizację tych zamysłów.

Wystarczy otworzyć dwie z najpoważniejszych książek Malapartego: „Kaputt", napisaną podczas pobytu na rosyjskim froncie, i „La Pelle", powstałą na froncie południowo-włoskim i pod Monte Cassino, przy oddziałach amerykańskich, aby zdać sobie jasno sprawę, że twórczość jego podobna była do okrutnych malowideł z szesnastego wieku, do wstrząsających scen Jana Boscha, obdartych ze wstydu, pełnych potworności grzechu, wzbudzających odrazę i potępienie. Zdzieranie zasłon z wszelkiej hipokryzji, demaskowanie kłamliwej cnoty oraz fałszywej godności było szczególną namiętnością Malapartego, chociaż w końcu niezgrabnymi palcami reportera starał się zasłonić części ciała, które

przedtem obnażył był na oczach dyszącej ciekawością gawiedzi.

Skąd się wzięła ta pasja? Czy jakieś fatalne dziedzictwo zaciążyło nad osobowością toskańskiego pisarza? Być może mieszanina dwóch przeciwnych sobie charakterów, niemieckiego po szpadzie, łacińskiego po kądzieli stworzyła ten nieprzeciętny typ człowieka nie wahającego się nawet przed zasądzeniem własnej matki, którą kochał na swój perwersyjny sposób. Nie oszczędził nikogo ze swej rodziny, nie krępując się ludźmi spoglądającymi na jego własne podwórko, jak na miejsce publicznego widowiska.

Tak mówił o matce: „Była ona moim portretem. Z całego rodzeństwa ja jestem najbardziej do niej podobny; tak bardzo, że aż drżę z trwogi. Ta sama twarz, te same oczy, te same usta, ten sam głos; ten sam wzrost i głowa odrzucona do tyłu. Nawet pod prawym okiem mam błękitną żyłkę, jak ona. Po mojej matce odziedziczyłem chorobliwą wrażliwość, na przykład w stosunku do zwierząt, lub zmarłych. Odczuwam zmarłych jako coś fizycznego a więc dotykalnego. Wchodząc do jakiegoś pokoju, na jakąś ulicę lub do jakiegokolwiek miejsca, gdzie był wypadek śmierci, chociażby na wiele lat przedtem, wiem o tym od pierwszej chwili; odczuwam to jak gdyby zmarły znajdował się tam jeszcze".

Usposobienie swoje przypisuje Malaparte dziedzictwu po ojcu. „Odziedziczyłem jego upór, zrównoważenie i opanowanie w obliczu niebezpieczeństwa; jego bezpośredni i gwałtowny gest, ryzykanctwo oraz pogardę dla wszelkiej formy tchórzostwa; jego instynktowną, głęboką awersję do możnych tego świata, zarozumialców i spragnionych władzy. Po moim ojcu też odziedziczyłem odwagę i temperament anarchisty; przekazał mi także ideę mistycyzmu, cierpienia i śmierci. Muszę zaznaczyć, że tak w rodzinie matki jak i ojca było wielu wariatów i samobójców. Jeden z braci mojej matki rzucił się w wody Lambro pod Mediolanem. Babka po mieczu była obłąkana; brat mego ojca zmarł na suchoty; czterech bardzo bliskich krewnych, wszyscy Niemcy, to wariaci lub samobójcy. Możliwe, że to was nie interesuje, muszę jednak jeszcze dodać, iż moim jedynym sekretem jest zgroza przed obłąkaniem".

Wracając do perwersyjnego stosunku Malapartego do matki i na odwrót, można by dopatrzeć się w nim freudowskiego kompleksu Edypa. On sam tak o tym pisze: „Coś enigmatycznego i podskórnego istniało między nami. Nie można by w żaden sposób zaliczyć tego do objawów normalnych. Owa nić łącząca nas nie była tylko psychiczna, ale w najwyższym stopniu fizjologiczna. Matka nie była gruźliczką i cieszyła się na ogół dobrym zdrowiem, natomiast już od najwcześniejszych lat cierpiała na straszliwe newralgiczne bóle, które podczas potwornych ataków zniekształcały łuk jej czoła od skroni do skroni. Trwało to godzinami. Widząc jej cierpienie ja także chorowałem. Do szesnastego roku życia, tzn. aż do pójścia na front, napadały mnie te same co matkę bóle. Kiedy znajdowałem się daleko od niej, a ból skuwał mi skronie i czoło, szeptałem w duchu: ‚Matka też jest chora'. Owa dziwna ‚sympatia' między matką i mną nie ograniczała się tylko do wspomnianych niedomagań newralgicznych, ale nabierała nieraz zatrważających aspektów. Matka miewała często halucynacje jak i ja i to w tym samym momencie. Pamiętam pewną noc w Colano (miałem wówczas sześć lat); przebudziłem się nagle, krzycząc. Nade mną pochylała się matka z otwartymi nożyczkami, aby wykłuć mi oczy. W tej samej chwili usłyszałem przejmujący głos z pokoju matki, znajdującego się w głębi domu; wzywała rozpaczliwie pomocy. W całym domu powstało nieopisane zamieszanie; podczas gdy mój starszy brat Sandro trzymał mnie mocno przyciśniętego na łóżku, a ja zwolna przychodziłem do siebie, słychać było płacz i krzyk matki. Jak się dowiedziałem potem, miała ona tę samą halucynację co ja: zerwała się nagle z łóżka, gdyż ja stałem pochylony nad nią z nożyczkami w rękach, próbując wydziobać jej oczy. Oh! gdybyż tylko to miało być jedynym wspólnym ogniwem, łączącym nas tajemniczo!"

Na łóżku szpitalnym, obezwładniony cierpieniem, które zdawało się nie mieć granic, coraz bardziej samotny mimo zainteresowania, jakie wywoływał, nękany obawą, że nie starczy mu sił, Malaparte staczał prawdziwe boje ze swym wiotczejącym ciałem, starając się ratować je przed rozkładem. W owym nierównym zmaganiu tyle zdradzał zadziwiającej witalności, że lekarze spoglądali nań z podziwem. Po wyjściu na korytarz kiwali poważnie głowami szepcąc: „Życie tego człowieka jest okrutniejsze niż sama śmierć..."

Aby przedłużyć swoje doczesne bytowanie, przystał nawet na transfuzję krwi, przed którą długi czas bronił się zaciekle. Posiadanie krwi obcego człowieka napawało go zawsze obrzydzeniem i zgrozą. „Przecież mogła to być krew kryminalisty albo kto wie czyja tam jeszcze! Boję się świadomości obcego jestestwa w moich własnych żyłach!"

Na kilka dni przed zgonem nie mógł już poruszać się o własnych siłach; poddawał się z coraz większą uległością zabiegom i pielęgnacji sióstr zakonnych, zajmujących się nim z prawdziwie chrześcijańskim oddaniem; nie uskarżał się, nie jęczał, starał się nawet żartować, co siostry przyjmowały z nieśmiałym uśmiechem. Pod koniec miewał coraz częstsze przywidzenia. Rozmawiał ze swoim bratem Aleksandrem, nie żyjącym już od czterech lat, polecał się jego przewodnictwu, jak Dante Wergiliuszowi. Nikt już nie wątpił, że wkrótce zadźwięczy sygnaturka na śmierć. Gdy jednak na chwilę odzyskiwał mowę, wracał natychmiast do rojeń o swojej nie napisanej książce o Chinach. Głos jego o chwale i nędzy Żółtego Kontynentu — tak jak niegdyś o męczeństwie Polski — zabrzmiałby może inaczej niż bezduszne biuletyny międzynarodowej konferencji i cierpiącej na uwiąd starczy deklaracji praw człowieka. W ciągu kilku ostatnich, jak gdyby wyrwanych śmierci tygodni, za wiele jednak cierpiał, żeby mógł pisać. To raczej Przeznaczenie pisało ostatnie karty jego biografii. Malaparte, zbliżając się po raz drugi do kresu, był już innym człowiekiem. Okrutne majowe dni agonii zmieniły mu umysł i duszę. Odczuwając coraz większe osamotnienie w cierpieniu, zrozumiał co to jest miłość, dobroć, wyrozumienie. Kto wie, czy nie dlatego tak walczył do ostatka o życie i o możność pisania... Bo gdyby mógł napisać jeszcze jedną książkę dałby w niej może bardziej szczery i humanitarny obraz życia niż dawał dotychczas... Kto wie, czy zbywszy oschłości, jak Cyd żelaznej rękawicy, nie dotknąłby ręką prawdziwego miłosierdzia bolesnych ran i okaleczeń świata, w imię miłości bliźniego, której nam dzisiaj tak bardzo potrzeba.

Henryk Czesław Śliwiński

NA CO SĄ PARTIE POLITYCZNE?

CZY ISTNIEJE na świecie chociaż jeden kraj, który by nie uznawał żadnych partii politycznych? Nie. Bez względu na szerokość i długość geograficzną, część świata, kolor skóry, narodowość, stopień cywilizacji, a nawet ustrój. Partie istnieją w demokracji, w ustrojach autorytatywnych, a nawet pod dyktaturami. Nie brak wprawdzie na globie państw, które uznają tylko jedną jedyną partię, ale przecież partię. Ludzkość osiągnęła bowiem taki stopień rozwoju, że nigdzie jawnie nie może już dziś rządzić społeczeństwem wyłącznie tylko jednostka, ród czy dynastia, jak to się działo w nie tak całkiem jeszcze zamierzchłych czasach.

Instrumentem działania politycznego są wszędzie pod słońcem partie. Politykę prowadzą i za rządy odpowiadają partie. Stronnictwa polityczne są powietrzem życia społecznego. Wyrosły z długowiekowej walki narodów z jedynowładztwem i kastą rządzącą, choć ciągle jeszcze tu i ówdzie, szczególnie w społeczeństwach o niskim poziomie cywilizacyjnym, partie przysłaniają czasem interesy prywatne lub kastowe. Ale już żadnych rządów na kuli ziemskiej nie można sobie wyobrazić bez pozorów chociażby stronnictw czy stronnictwa.

W ciągu dziejów naszej kultury wielu filozofów i pisarzy snuło plany idealnego ustroju społeczno-państwowego, zwane „utopiami". Np. Platon lub Franciszek Bacon. Utopie to przede wszystkim specjalność angielska. Nazwa pochodzi od św. Tomasza Morusa, który w roku 1516 dał obraz społeczeństwa doskonałego na wyimaginowanej przez siebie wyspie Nigdzie. Utopijne plany snuł też Gerard Winstanley i Jakub Harrington („Oceana"). Mają swoje utopie także i inne narody (któż nie zna wesołej Dipsodii Pantagruela?), mają również Polacy. Można tu wymienić króla Stanisława Leszczyńskiego „Rozmowę Europejczyka z wyspiarzem Dumocala" oraz opowieść Krasickiego o Nipuańczykach (w „Mikołaju Doświadczyńskim"). Ale ogólnie biorąc Polacy nie tędzy są w tym gatunku twórczości politycznej, filozoficznej i literackiej.

Rządy państw w utopiach spoczywają zwykle nie w ręku polityków, lecz mędrców lup powołanych do rządzenia rad starców itp. Tylko mistrz z Werulamu, nie tak znów daleki naszym czasom, bo żyjący w XVII wieku, głosił w „Nowej Atlantydzie", że polityka powinna należeć tylko do polityków, mężów stanu, a żadnych tam „słabych filozofów", „jednostronnych prawników", czy innych społeczników.

Emigranci polscy w drugiej połowie dwudziestego stulecia, może pod wpływem swych utopijnych przygód, jakby chcąc nadrobić wiekowe zaniedbania polskiej literatury, z zapałem głoszą dziś ustami niektórych publicystów nową utopię. Jest nią prowadzenie polityki polskiej na obczyźnie bez polityków. „Partie polityczne przeżyły się", „straciły zaplecze społeczeństwa", „nikogo nie reprezentują" itd. — głoszą polscy „angry old boye" i „angry young meni". Zdaniem ich, trzeba co rychlej przeprowadzić na emigracji wybory do ciała politycznego, które by jednak nie było złożone z polityków. Polityków należy od polityki całkowicie odsunąć. Mogą sobie stworzyć tylko coś w rodzaju klubu brydżystów. Wtedy dopiero polityka będzie czysta, słuszna, sprawna, skuteczna. Jeśli nie będzie spoczywać w ręku polityków.

Można by ten błyskotliwy pomysł rozszerzyć także na inne uzdolnienia i zawody. Kto wie, czy medycyna nie wyszłaby dobrze na tym, gdyby zakazać rozpoznawania chorób i leczenia lekarzom; inżynieria, gdyby zabronić budować domy, drogi i mosty inżynierom; ruch uliczny, gdyby wzbronić prowadzenia samochodów kierowcom; pedagogia, gdyby wykluczyć od uczenia nauczycieli itd. Utopia byłaby pełniejsza i oryginalniejsza. Bo ostatecznie, polityk to też zawód, a co najmniej uzdolnienie, czy tzw. powołanie. Trzeba mu trochę zamiłowania, wiedzy i doświadczenia. Ale jak rewizjonizm, to rewizjonizm. Jak przebudowa „struktury życia politycznego", to dokładna.

Naszą ulubioną zabawą narodową bynajmniej nie są kręgle, ani mazur, ani karty, ani „kukułka", lecz zaczynanie wszystkiego od nowa. „Przebudowa struktury". Stąd zamiłowanie do rozłamów, frond, frakcji, secesji, nowych konstytucji, do zmian nazw ulic, podziałów administracyjnych, gabinetów, porozumień politycznych, rozkładów jazdy, mundurów wojskowych, do reform szkolnictwa, prawodawstwa i w ogóle ustaw. Zawsze od takich zmian ma się zacząć nowa epoka. Po czym w kilka lat albo i miesięcy następują reformy. „Reforma" to chyba najulubieńsze słowo Polaków w ciągu całych ich dziejów. Mniej więcej od Mieszka I, a już zwłaszcza za czasów Jagiellonów i królów obieralnych, nic bardziej nie zaprzątało umysłów polskich od pilnej potrzeby reform. Kiedy wybuchł wiek XX, bojowe pismo krakowskie przyjęło tytuł „Nowej Reformy". Że niby nic piękniej i bardziej pociągająco nie może brzmieć dla ucha polskiego ponad to upajające, rozmarzające, niosące w sobie powiew wiosny ludów, magiczne słowo: reforma.

Wróćmy jednak do emigracji, która właśnie ustami pewnych wytrawnych i mniej wytrawnych publicystów nawołuje do przeprowadzenia niezbędnych reform w uchodźczym życiu polityczno - społecznym. Cóż w nim jest złego? Otóż od pięciu długich lat nic się w tym życiu, w strukturze politycznej emigracji, nie zmieniło. Podział na trzy zwalczające się zaciekle obozy polityczne, to się stało już nudne. To już stare dzieje. Zatem do reform, do rozłamów, do przebudowy struktury! Czy jest coś nowego do zrobienia w polityce polskiej? Ależ nie! Skoro zbyt wiele się zrobić nie da, chodzi o to, aby chociaż reprezentacja polityczna zmieniła swą strukturę. Aby usunąć z niej polityków. Aby skończyć z tym wszystkim i zacząć od nowa.

Co? Ma się rozumieć, politykę. Jaką? To mniej ważne. Inną. Nie partyjną, „nie powiązaną z legalizmem".

Partie polityczne powstają wszędzie na świecie jako forma organizacyjna zbiorowego działania w jakimś konkretnym celu, wynikającym z potrzeb społecznych, dłużej lub krócej trwających. Powstają, rozwijają się, rozsypują, zamierają. Różnie bywa. Nie są, rzecz jasna, nigdy wieczne, aczkolwiek bywają czasem długowieczne. Każdy kraj ma swoje obyczaje, tradycje, problemy, dlatego też w różnych krajach powstają, przychodzą do głosu i przemijają różne stronnictwa. Ale w całej Europie — w jej strefie wolnej, oczywiście — istnieją dziś wszędzie mniej więcej następujące główne ruchy polityczne: nacjonalistyczny, demokratyczno-chrześcijański, ludowy i mieszczański (liberalny, radykalny, demokratyczny). Nie można zaprzeczyć, że na kontynencie europejskim, zwłaszcza w krajach łacińskich, poważna część obywateli bałamuci się również komunizmem. Olśniewające, lecz z reguły efemeryczne, powodzenie osiągają zwykle ruchy określane jako faszystowskie, a właściwie totalitarne. Wyżej wspomniane, główne europejskie ruchy polityczne nie uchodzą nigdzie dotąd za „przeżytkowe", z wyjątkiem emigracji polskiej, która gwałtownie potrzebuje „reform". We wszystkim zwykliśmy naśladować Zachód, z tym zastrzeżeniem, że wszystko, co jest zachodnie, ale i własne, nie podoba się nam. Albowiem polskie ruchy polityczne, odpowiadające dokładnie nurtom w innych społeczeństwach europejskich, są, zdaniem niektórych publicystów i szarych obywateli, „oparte na starych podziałach". Dodajmy, że wszystkie one związane są mocno z historią przemian społeczno-politycznych w Polsce w ostatnim ćwierćwieczu XIX i w ciągu XX stulecia i posiadają na wskroś polskie zabarwienie i tradycje. Zrywając ze stronnictwami musielibyśmy zerwać zarówno z tradycją polską jak z cywilizacją europejską, z jej przeszłością i żywym nurtem współczesnym. Najbardziej zdumiewa, że rzecznikami zerwania z tradycyjnymi stronnictwami okazują się publicyści uważający się za najbardziej postępowych, nowoczesnych, zachodnich, wśród nich ludzie młodzi, chełpiący się świetną znajomością „mentalności" zachodniej.

Zresztą o „przeżyciu się" partii politycznych nie może świadczyć najbardziej nawet zawzięta negacja. Wyprzeć je z areny politycznej mogą tylko nowe, żywotne, istotnie potrzebne, powołane do życia stronnictwa. A takich na emigracji, poza jednym, które zdołało się już stać również historyczne, nie widać. Niedawno znany publicysta „Kultury" wystąpił z osobliwym projektem. Potępiwszy w czambuł stronnictwa polityczne jako niezdolne do niczego, zażądał od nich, ni mniej ni więcej, tylko rozpisania wyborów na emigracji. Skoro niezdolne, więc nie powinno się od nich niczego żądać, a skoro mają urządzać wybory, to jużci, że do ciała politycznego. Od wielu lat

otrębuje się w pismach najrozmaitszych odcieni koniec i pogrzeb partii politycznych, ale jakoś ciągle pozostają one przedmiotem niekończących się, namiętnych rozważań. Skoro się je uważa za przeżytek, po cóż więc walczyć z widmami?

Można zrozumieć grabarzy stronnictw politycznych na emigracji „z pozycji", jak się to mówi „dialektycznie", reżymu komunistycznego. Dla nich i historyczne i wszystkie partie polityczne, z wyjątkiem jednej, która wśród emigracji, przynajmniej jawnie, nie istnieje, nie tyle są przeżytkiem, co groźbą, której na ostatnim plenum partyjnym poświęcono tyle uwagi. Ale gdyby emigracja polityczna miała własnymi rękami grzebać swoje stronnictwa, byłby to akt samobójczy.

Ostatecznie, jeśli byśmy z tego świata zgładzili wszystkich dajmy na to stolarzy, to każdy, kto potem wyhebluje deskę, zbije szafkę czy stołek, zacznie wykonywać pracę stolarza, choćby się zarzekał najuroczyściej, że jest wrogiem stolarzy. Stolarzy można zlikwidować, ich potrzeby nie można. Jeśli przepędzimy na cztery strony świata wszystkich polityków, to każdy, kto po nich podejmie działalność publiczną, zacznie znowu robić politykę. A jego zwolennicy utworzą stronnictwo polityczne. Można zlikwidować polityków, ale nie da się z życia społecznego wykluczyć polityki. Zacząć od początku zawsze można, ale jeśli ktoś przygotowuje się do egzaminu maturalnego, mały będzie miał pożytek z tego, że sobie powtórzy elementarz.

W różnych momentach dziejów narodowych na czoło wysuwają się te lub inne stronnictwa. Raz darzy je poparciem niemal całe społeczeństwo, to znów tracą prawie doszczętnie zaufanie. Niekiedy, z wyroku narodu, staczają się w nicość. Na ich miejsce powstają inne. Na proces ten jednak wpływu nie mają żadne teoretyczne i publicystyczne „przebudowy" czy papierowe „reformy". W Polsce dwudziestolecia przez 13 lat rząd toczył ostrą walkę z „partyjnictwem" i ogłaszał zmierzch stronnictw, prócz własnego. Kiedy wszakże na naród spadła noc niewoli, któż jak nie stronnictwa polityczne powołał siły oporu? Ruchy polityczne w dzisiejszej Polsce zapadły znowu pod ziemię, ale po cóż partia rządząca poświęca tyle uwagi i „elementom nacjonalistyczno-reakcyjnym", i „burżuazyjnym", i „klerykalnym", i „socjal - demokratycznym"? Wyobraźmy sobie, że pewnego dnia nagle PZPR przestaje istnieć. Czy wtedy społeczeństwo zacznie obmyślać nowe „struktury"? Oczywiście, że nie. Tego samego dnia odrodzi się bowiem i PPS, i SL, i ND, i CHD, i inne zapewne jeszcze ugrupowania.

Wszystkie stronnictwa, które wyrosły z potrzeb narodu, są mu potrzebne. Każde z nich ma część racji. Uzupełniają się wzajemnie. Tworzą jakby harmonię dążeń narodu. Jeśli się któreś z nich naprawdę przeżyje lub też spełni do końca swą historyczną rolę, z pewnością zapadnie w nicość śmiercią naturalną. Ale powrót do prymitywizmu politycznego, a zwłaszcza likwidacji polityki, oznaczałyby rychłą śmierć nie tyle stronnictw, co społeczeństwa.

J. B.

Notatki

JEDNYM z najwspanialszych pomników emigracji powrześniowej jest Instytut Historyczny im. Gen. Sikorskiego. Archiwum dokumentów dotyczących polityki rządu i działań zbrojnych Rzeczypospolitej w czasie drugiej wojny światowej, muzeum pamiątek, biblioteka książek i czasopism emigracyjnych oraz druków obcojęzycznych na temat drugiej wojny, kuźnia prac historycznych i wydawnictw, pracownia uczonych, a także miejsce zebrań emigrantów. Instytut wydaje zbiorowe dzieło historyczne „Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej", które jest alfą wszelkich badań historycznych w tym zakresie, czasopismo poświęcone zagadnieniom wojskowym „Bellonę", rocznik Polskiego Twa Historycznego p. n. „Teki Historyczne" oraz czasopismo poświęcone muzealnictwu wojskowemu pt. „Broń i Barwa". Zamierza wydawać „Akta i materiały do dziejów Polski w dobie drugiej wojny światowej". Oprócz pięknego budynku w Londynie Instytut zarządza również o wiele obfitszą składnicą materiałów archiwalnych, bibliotecznych i muzealnych w Banknock House w Szkocji.

Skąd płyną fundusze na utrzymanie Instytutu? Trochę ze stałych subwencji przyjaznych instytucji brytyjskich, które już są tą pomocą zmęczone, z jednorazowych darów zamożniejszych emigrantów, które ostatnio ustały, oraz ze składek po £ 1.0.0 (jednym funcie) rocznie „członków-przyjaciół". Wśród całej politycznej i niepolitycznej emigracji polskiej, liczącej się na miliony głów, na rzecz Instytutu opodatkowało się po funcie rocznie 120 osób oraz 50 organizacji korzystających z sali zebrań przy 20 Princes Gate.

Jak zapewnić dalsze istnienie Instytutu, któremu grozi poważny kryzys? Mam na to doskonały sposób. „Notatki" poniższe przegląda zapewne połowa Czytelników ŻYCIA. Jeśli skończywszy porywającą lekturę, każdy z naszych Czytelników zaadresuje kopertę: Do Zarządu Instytut Historycznego im. Gen. Sikorskiego, 20 Princes Gate, London, S.W.7 i włoży do niej list następującej treści: Proszę o przyjęcie w poczet członków-przyjaciół Instytutu. Pierwszą roczną składkę w wysokości £ 1 załączam, dodając nazwisko i dokładny adres własny oraz, rzecz jasna, zielony banknot z podpisem L. K. O'Brien, Chief Cashier — wówczas emigracja nie będzie się musiała wstydzić, Anglicy gorszyć, a Instytut likwidować. Tylu bowiem „członków-przyjaciół", ilu Czytelników posiada ŻYCIE, potrzeba Instytutowi im. Gen. Sikorskiego dla zabezpieczenia swego bytu.

Pomyśleć tylko, jak niewiele potrzeba, aby dokonać wielkiej rzeczy. Funt rocznie od każdego Czytelnika ŻYCIA rozwiąże trudności Instytutu. Niechby nawet od połowy Czytelników.

*

W STULECIE śmierci Zygmunta Krasińskiego Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie urządził uroczysty wieczór w „Ognisku Polskim". Przybyło około setki „niezłomnych", jakby powiedział Andrzej Malkiewicz, czyli starych, zatabaczonych emigrantów, nie rozumiejących współczesnych przemian społecznych i politycznych a wynarodowionych, ponieważ nie godzą się na owe przemiany, a także jakieś dziesięcioro młodzieży, przeważnie gości z Kraju, widać tkwiących w niezdrowym passeizmie. Za to z redakcji obu „Merkuriuszów" (Hrabiego i Pankracego) nikt, zdaje się, Krasińskiego nie był ciekaw. Bardzo trzeźwo.

Zagaił krasomówczo prezes Związku, Wiesław Wohnout. Rzecz przyczynkarską na temat zbieżności tytułów Nieboskiej i Ludzkiej komedii oraz roli w tejże koincydencji Henryka Reeve'a, przyjaciela zarówno Krasińskiego jak i Balzaca, rozwinął prof. Władysław Folkierski. Zapewnił on również słuchaczy, że wygłasza często odczyty o Krasińskim w cudzoziemskich towarzystwach naukowych. Wkrótce jedzie z odczytem do Watykanu. Władysław Guenther mówił ciekawie o wizjonerskich poglądach społeczno-politycznych trzeciego wieszcza. Leopold Kielanowski wygłosił bardzo pracowicie przygotowany referat o dziełach miłosnych Krasińskiego, ilustrując go recytacjami erotyków. Jan Rostworowski uczcił poetę wierszem, w którym, jak zwykle, nie pominął elementów jaskrawie erotycznych. Następnie recytowali: Tola Korian, Zygmunt Rewkowski i Wojciech Wojtecki.

Sylwetki Krasińskiego ani żadnej żadnej syntezy jego twórczości słuchaczom nie przedstawiono, zapewne dlatego, że Tymon Terlecki nie mógł wygłosić swojej prelekcji z powodu choroby.

Wkrótce ma się ukazać książka zbiorowa Związku Pisarzy, pod redakcją Wł. Guenthera, pt. „Krasiński żywy". Może tam pług emigracyjnej polonistyki sięgnie jednak głębiej w glebę twórczości Krasińskiego niż piątka mówców z akademii?

*

WYJDZIE również, nie wiadomo jeszcze kiedy, „Norwid żywy", a może i „Słowacki żywy". Trochę za żywo wydaje tę serię Związek Pisarzy dostarczając czytelnikom — poza znakomitym „Conradem" w redakcji Wita Tarnawskiego — dość nierównego poziomu czytanek. Głównym narzędziem redaktorów tych książek zbiorowych winno być sito.

*

KONCERT Witolda Małcużyńskiego, pod protektoratem Uniwersytetu Londyńskiego, zorganizowany przez Bratnią Pomoc studentów tej uczelni na rzecz stypendystów z Polski, powiódł się świetnie pod względem organizacyjnym, sądząc z wypełnionej sali, i artystycznym, sądząc z oklasków i przymuszania wirtuoza do naddatków.

Koncert był, ma się rozumieć, manifestacją narodową i skupił sporo takiej publiczności, jaką rzadko widuje się na salach koncertowych. Małcużyński coraz wyraźniej idzie w ślady Paderewskiego, zarówno w oczach świata jak i Polaków. Z reżymem np. łączy nas, oprócz sprawy Odry i Nysy, również i podziw dla Małcużyńskiego. Kto wie, czy kiedyś nie powstanie rząd jedności na-

rodowej pod przewodnictwem Witolda Małcużyńskiego, o ile jedności tej nie sprzeciwi się Zygmunt Zaremba? Małcużyński posiada wiele potrzebnych po temu (jako szef rządu jedności) zalet: nazwisko, gorący patriotyzm, ofiarność osobistą, skromność. Ostatecznie, wielki mąż stanu J. I. Paderewski posiadał walory niewiele większe.

Jako wirtuoz Małcużyński nieustannie się rozwija i rozszerza skalę swojego repertuaru, przy czym posiada bardzo indywidualny styl interpretacji. Koncert marcowy w Royal Festival Hall w Londynie był klasycznym pokazem ogromnej skali sztuki Małcużyńskiego: Bach (Fantazja chromatyczna), Brahms (Wariacje na temat suity Haendla, op. 24), kilka utworów Chopina i fenomenalnie zagrana Rapsodia hiszpańska Liszta trzymały słuchaczy w nastroju niestygnącego entuzjazmu. Małcużyński jest dziś jednym z najbardziej dynamicznych pianistów świata. Oczywiście, każdy słucha i słyszy inaczej. Piszącemu te słowa najmniej przekonywujący wydał się Bach Małcużyńskiego, najbardziej porywający Liszt, a najgłębiej trafił w serce Mazurek b-mol Chopina.

Studenci angielscy będą mogli dzięki temu koncertowi zapoczątkować akcję pomocy dla stypendystów z Polski. Akcja ta ma się rozwijać nadal. Udział w niej bierze Stowarzyszenie Polskie na Uniwersytecie Londyńskim.

*

KIEDY BYŁEM studentem pierwszego roku, nazwisko Zuzanny Rabskiej głośno brzmiało w literaturze, jeszcze od roku 1909, kiedy jej pierwszą książkę gorąco powitała Eliza Orzeszkowa. Wiązało się zawsze z „Kurierem Warszawskim". Było to środowisko wytwornego mieszczaństwa i ogładzonego ziemiaństwa oraz nieprzeciętnych piór konserwatywno-narodowych. „Kurier Warszawski" chlubnie podtrzymywał tradycyjny styl życia i myślenia polskiego, zwany poszlacheckim. Słowem, skupiał inteligencję nierewolucyjną, prawicową. Oprócz elegancji w piśmie i obyczaju, współpracownicy „Kuriera Warszawskiego" odznaczali się długowiecznością.

Po dwudziestu siedmiu latach, jakie minęły od pierwszego roku mojej polonistyki, kiedy już stoję nad grobem, do Londynu przyjechała Zuzanna Rabska. Związek Pisarzy urządził dla niej herbatkę. Gościa z Kraju przybyło powitać nieliczne grono pisarzy i dawnych przyjaciół. Większość z nich z trudem i z zadyszką wyspinała się na drugie piętro „Ogniska". Pani Rabska, żywa jak iskra, wykazała znakomitą znajomość wszystkich obecnych i całej literatury emigracyjnej, wywołując podziw zainteresowaniem dla książek polskich na obczyźnie i poloniców w bibliotekach brytyjskich. W Kraju wyszła co dopiero powieść Rabskiej dla młodzieży, a Ossolineum przygotowuje do druku trzy tomy jej pamiętników. Pani Rabska planuje liczne dalsze prace po powrocie. W herbatce uczestniczył wnuk pani Zuzanny. Prawnuczka pozostała w domu.

Dostojną damę witał błyskotliwą oracją prezes Wohnout.

*

NIE MIŁOSZ, jak to roiłem w poprzednich „Notatkach", będzie tłumaczył „Doktora Żywago" dla „Biblioteki Kultury", lecz Paweł Hostowiec (Stępowski junior) i nie Miłosz, lecz Józef Łobodowski przełoży na język polski wiersze Pasternaka. Też pięknie. A swoją drogą, skąd mi się wziął ten Miłosz? Przecież z rosyjskiego, jak dotąd, nic nigdy nie tłumaczył. Co prawda, pisał, że oryginał „Doktora Żywago" wydaje mu się bez porównania lepszy od przekładu angielskiego.

„Kultura" zaczyna zdecydowanie rywalizować z PIW-em i „Veritasem". Oprócz „Doktora Żywago" zapowiada „Syna zadżumionych", zapewne powieść albo może zbiór opowiadań, Tadeusza Nowakowskiego (znowu Nowakowskiego!), ogromną antologię nowej poezji ukraińskiej w przekładzie S. Hordyńskiego, serię „Dokumentów" politycznych, ba! czeski przekład Hłaski. Maisons Laffitte świetnie kontynuują tradycje jagiellońskie. Bardzo bym zalecał jakiś dobry przekład ze współczesnych Litwinów. Mam nawet tłumacza: Stanisława Westfala.

J. B.

„Więcej Hemara!"

„Na bis Cafe Daquise!" „Wszyscy do Grabowskiego: Czy zdrowi czy kaleki, po obraz do galerii, z receptą do apteki!" „Wolne od cła owoce południowe oferuje polski dom wysyłkowy Tazab!" Hemar w zadziwiający sposób zaciera granice kabaretu literacko-artystycznego z agencją ogłoszeniową. Wprawdzie ogłoszenia handlowe w programach teatralnych są odwiecznym zwyczajem w świecie kulturalnym, zatem w drukowanym programie, po słonej, nota bene, cenie 1/6, Grabowski, Tazab i Daquise znajdują się na miejscu, ale wierszyk o lekach zamiast kurtyny Siemiradzkiego nieco jednak zaskakuje, a cóż dopiero płynące do znudzenia ze sceny wzmianki reklamowe o „Dzienniku" i „Tygodniu Polskim", o redaktorze tych organów i jego małżonce, o „Ognisku Polskim" i innych zasłużonych placówkach polskości na obczyźnie. Grabowskiemu, po prawdzie, słusznie się należała ciepła wzmianka za wypożyczenie kostiumu ludowego i pięknego kilimu do jednego z numerów. Ale, ostatecznie, teatr Hemara nie jest chyba mutacją „Dziennika" ani żywym dziennikiem „drobnych ogłoszeń".

Ostatni program pt. „Księżyc do wynajęcia" opracował Hemar do spółki z Refrenem, przy czym autorstwo poszczególnych „numerów" ukryto przed publicznością. Spółka niewątpliwie dobrze wpłynęła na obie strony, uszlachetniając pióro Refrena i dodając ostrogi Hemarowi.

Hemar chętnie nazywa swój teatrzyk „kabaretem literacko-artystycznym", ale rozpiętość owej literatury i artyzmu sięga od suteren do wieży lwowskiego ratusza, od clownowskiego humbugu i dowcipów z „Bociana" i „Pocięgla" do wyżyn miniatur dramatycznych, poezji satyrycznej i inscenizacji piosenek ludowych. „Księżyc do wynajęcia" posiadał wszelkie zalety i wszelkie wady piór obu autorów. Najniższy drążek artystyczny zajmuje konferansjerka Hemara, tania i pospolita. Laureata nagrody literackiej Związku Pisarzy zobowiązuje każde wypowiedziane ze sceny słowo.

Program ostatni był przede wszystkim popisem trójki artystów: Mieczysława Orłowicza jako dekoratora, oraz aktorek i pieśniarek: Włady Majewskiej i Niny Oleńskiej. Majewska znajduje się w zenicie rozkwitu swego żywiołowego talentu pieśniarsko-mimicznego. Wiek jest ważnym elementem talentu. Najwyższy wzlot artyzmu kojarzy się u niektórych aktorów z wczesną młodością, u innych z rozkwitem, a niekiedy nawet z przekwitem fizycznym. U Majewskiej ta pełnia artystycznej ekspresji przypadła na wiek dojrzały. Nie do twarzy było jej z rolami dziewczynkowatymi, a najlepszym z możliwych na emigracji kotem w butach mogła się stać tylko dzięki niezrównanemu temperamentowi. Miał bo kotek nieco nadwagi. Majewska to talent satyryczno-groteskowy. Od jej parodii roli zaniedbanej żony z przedpotopowego filmu (wraz z doskonałymi partnerami Maliczem i Boruckim) nie można było oczu oderwać. To samo dotyczy „Różowego baletu", granego razem z Niną Oleńską, do której talentu na odmianę wspaniale pasuje wiek nieco zaawansowany.

Temperament i ekspresja Majewskiej nie godzą się natomiast ze stylem sentymentalnym. Dlatego „Symfonia podwórzowa" z ostatniego programu brzmiała ckliwie i rzewnie, a poza tym jako tekst poetycki i piosenka banalnie, choć po lwowsku.

Bardzo kulturalnie i taktownie wypowiedział Hemar swe pretensje w sprawie ambasady przy Watykanie w numerze „Wprowadzenie do seraju". Świetny pokaz, że wszystko można powiedzieć bez gwałtu, a celnie.

Wspomniało się już o rozpiętości programu od suteren do wieży lwowskiego ratusza. Oprócz „Symfonii podwórzowej", w suterenach umieściłbym jeszcze pijacki dialog o Egzekutywie (nie ze względów politycznych, na białe kolana Charytek!), a na parterze kuplety aktualno-polityczne: „Czapka niewidka" i „Mr. Mik". Na półpiętrze ulokowałbym po żołniersku zabawne obrazki „Small World" i „Polish Underwear". Na piętrze Renatę Bogdańską w starych piosenkach i Boruckiego w nowych, na wieży natomiast, oprócz parodii starego filmu i „Różowego baletu", szopkę księżycową oraz inscenizację piosenek ludowych z Mazowsza w wykonaniu Bogdańskiej, która posiada oprócz głosu nieprzeciętne walory sceniczne. Obu wierszy satyrycznych, Hemara i Refrena, nie umieściłbym na samym szczycie programu, ale dość wysoko.

Przemiły gość teatru, Szkot Angus Howitt, śpiewający z ujmującą poprawnością liczne piosenki polskie, zbyt bezpośrednio chwytał za serce, aby można bezstronnie ocenić jego głos i lutnię. Ale Szkot śpiewający po polsku to rzeczywiście coś jak kot mówiący tymże językiem w bajce Hanny Januszewskiej. „Szkot w butach".

W listach drukowanych w „Dzienniku Polskim" często spotyka się wezwanie: „Więcej Hemara!" Jeśli chodzi o rewię, powtarzamy to wezwanie z przekonaniem również w ŻYCIU.

J. B.

KSIĄŻKI

„POD OKIEM MATKI"

„Pod okiem matki". Książeczka niewielka. Wzruszająco dedykowana polskim Księżom na Tysiąclecie. Jest to przekład „An der Hand der Mutter" o. P. G. Bürgera. Salwatorianin ten większość lat swego pracowitego żywota poświęcił duchowej formacji młodych kandydatów do kapłaństwa. Dla nich też i ta książeczka jest napisana. Ale, mutatis mutandis, skorzysta z niej ksiądz, zakonnik, kaznodzieja. Tło stanowią wezwania Litanii Loretańskiej. Czterdzieści jeden rozmyślań. Tak przepojone uczuciem i tak bezpośrednie, jak gdyby dalekie echo Augustynowych wyznań.

Pióru recenzenta mimo woli nasuwają się dwie refleksje: powojenny los polskiej literatury ascetycznej i kwestia polskiej terminologii ascetycznej.

W okresie międzywojennym i pierwszych latach po wojnie polska literatura ascetyczna, zarówno w tłumaczeniach jak i dziełach oryginalnych, śmiało konkurowała z francuską czy niemiecką. Niejednokrotnie bazowała na gruntowniejszej znajomości psychologii, higieny psychicznej i teologii. Wystarczy wspomnieć tu prace ks. Żychlińskiego czy o. Woronieckiego, dominikanina.

Tzw. „okres stalinizmu" w Kraju, jak na wielu innych odcinkach życia kulturalnego, tak i w tej dziedzinie sprawił pustkę. Polityka wydawnicza ten rodzaj literatury wyraźnie eliminowała. Temat zaś tak specjalny jak rozmyślania dla młodzieńców aspirujących do kapłaństwa nie został po wojnie w ogóle podjęty. Zdarzały się wypadki, że ten i ów prefekt czy proboszcz usiłował dawać pisany materiał ascetyczny swoim uczniom zdradzającym chęci pójścia do seminarium. Są przykłady, że ponosił dotkliwe konsekwencje. Fragmentaryczną wiedzę o kapłaństwie otrzymywał młodzieniec w Polsce na godzinach katechizmu (jeżeli uczęszczał) oraz na drodze autopsji, patrząc na postępowanie swojego księdza. Niewątpliwie, że propaganda antykościelna i antyreligijna przyczyniła się również do spopularyzowania postaci księdza i problemu katolickiego kapłaństwa. Gros wysiłków w procesie formacji powołania kapłańskiego spadło na ojców duchownych w seminariach.

Na emigracji — literatura ascetyczna doby powojennej jest bez porównania bogaciej reprezentowana niż w Kraju. Duże zasługi mają w tej mierze emigracyjne towarzystwa wydawnicze oraz inicjatywa polskich zgromadzeń zakonnych, aczkolwiek wskazana wydawałaby się większa selekcja książek wydawanych.

Mała niebieska książeczka, na początku tego roku wydana w Rzymie, życzliwie będzie przyjęta przez czytelnika zarówno w Kraju jak i na emigracji.

Polska terminologia ascetyczna (podobnie jak i liturgiczna) bazuje na terminologii biblijnej. Niejednokrotnie ze stanowiska historii języka są to archaizmy. Ale właśnie one nadają tekstowi powagę i urok. Często w nich wyraża się subtelny odcień doktrynalny. I z tym liczyć się musi zarówno tłumacz-biblista jak i liturgista czy pisarz ascetyczny. Próby odrzucenia tej terminologii, nieraz już podejmowane, spotykały się z protestami. Gdy w roku 1947 ks. Gryglewicz opublikował swój przekład Ewangelii i Dziejów Apostolskich, dokonany z pominięciem polskiej terminologii biblijnej, jakże gwałtownie protestował z katedry na łamach „Ateneum Kapłańskiego" nestor polskich biblistów, ks. infułat J. Kruszyński. Jak dalece niektóre terminy powiązane są z doktryną teologiczną, niech świadczy choćby i ten fakt, że gdy w roku 1949 komisja liturgiczna Episkopatu polskiego zamierzała skorygować m. in. i tekst litanii do Serca Jezusowego, zwróciła się do ówczesnego profesora teologii dogmatycznej na Uniwersytecie Warszawskim o wyrażenie swej opinii o projekcie. Chodziło w szczególności o doktrynalną poprawność przekładu wezwania „Cor Jesu, Verbo Dei **substantialiter** unitum". Myśli teologicznej nie oddawały poprawnie takie tłumaczenia jak „istotnie", „istotowo". Przyjęto — Serce Jezusa, ze Słowem Bożym **osobowo** zjednoczone.

Ten sam obowiązek przestrzegania poprawności polskiej terminologii ascetycznej ciąży i na tłumaczeniu „Pod okiem Matki". Nazwanie św. Józefa „mężem" Maryi jest malesonansem. Tworzenie takich dziwolągów językowych jak „Dziewica Najbłogosławieńsza" jest zbyteczne. Albo - „Dziewica Najmędrsza"! Po co? Mamy przecież „Panna Mądra" (termin o głębokim refleksie biblijnym!). Nazywanie godów w Kanie „weselem" nie jest precyzyjne. Bo obrzęd, z którym IV Ewangelia wiąże znany epizod z życia Jezusa i Jego Matki nie pokrywa się z tym, co my dziś nazywamy weselem.

Są to niewątpliwie drobiazgi. Ale czasy nasze nauczyły nas precyzji i w drobiazgach.

Książeczka wydana estetycznie. Druk wyraźny. Otwiera ją fotografia Częstochowskiej. Niech nie przejdzie nie zauważona.

H. Godot

„IZRAEL W POEZJI POLSKIEJ"

Wydaną jako tom XXVI Biblioteki „Kultury" (Paryż 1958, stron 356) antologię Jana Winczakiewicza pt. „Izrael w poezji polskiej" oceniać można pod trojakim kątem widzenia: jako manifestację polityczną zespołu „Kultury", jako dzieło pomocy dla wydawców instytucji amerykańskich Found for Cultural Freedom i Free Europe Committee, które umożliwiły wydanie książki, oraz jako robotę filologiczno-literacką. Wydaje się, że intencje wydawców zbiegły się z zamiarem mecenasów. Nie odmawiając im szacunku, niepodobna nie dostrzec w nich przesady. Podsumowanie każdej dziedziny dobiegającego końca wielowiekowego współżycia Polaków i Żydów na jednej ziemi jest bez wątpienia pożyteczne i na czasie, a jako manifestacja stosunku Polaków wobec zbrodni ludobójstwa, jakiej dokonano na naszej ziemi, słuszne i piękne, jednakże „akt moralny i polityczny", jak nazywa wydanie antologii redakcja „Kultury", poza tym, że skaził jej charakter historyczno-literacki, doprowadził do absurdu celowość poetyckiej antologii. Wydawcy potraktowali jej wydanie, ni mniej ni więcej, tylko jako ekspiację za politykę komunistów, rządzących obecnie w Polsce. „Przybierające w Polsce na sile — piszą we wstępie — tendencje szowinistyczne, będące owocem polityki ubiegłych lat dwunastu, znajdują nieraz ujście w niechęciach rasowych, podsycanych przy tym celowo przez wpływy wschodniego sąsiada. W tych warunkach każdy głos protestu przeciwko fali sarmatyzmu i ciemnoty ma znaczenie. Głosów takich z Polski słyszymy niewiele, są one ostrożne i lękliwe. Dlatego postanowiliśmy wydać antologię, która przypomina, że w dorobku polskich poetów na przestrzeni dziejów nigdy nie brakło utworów poświęconych troskom, problemom i tragediom ich żydowskich współobywateli."

Jaki może być związek Psalmu VI Jana Kochanowskiego, lub „Księdza Marka" Słowackiego, albo „Szai Ajzensztoka" Kasprowicza z „beriowszczyzną" i dlaczego by Mikołaj Rej czy Sebastian Grabowiecki, posługując się motywami biblijnymi, mieli równoważyć szerzący się obecnie „sarmatyzm i ciemnotę", na to trudno znaleźć odpowiedź. Ambicja wydawców, aby w imieniu narodu polskiego i ustami poetów pięciu stuleci wypowiedzieć uroczystą deklarację polityczną w sprawie żydowskiej w duchu współczesnej demokracji, wydaje się i zarozumialstwem, i nieporozumieniem, i brakiem delikatności wobec własnej historii i literatury, i demagogią, a przede wszystkim sprowadzaniem poezji do roli programów czy plakatów politycznych.

Literatura może dostarczyć historii dziejów współżycia polsko-żydowskiego ogromnej ilości świadectw, nie tylko poetyckich, ale przede wszystkim z zakresu prozy pięknej i politycznej, w żadnym jednak wypadku niepodobna ich uogólnić, jak tego pragnąłby autor antologii, „że niemal wszyscy poeci zajmują wobec Żydów stanowisko przychylne, a często okazują im gorącą sympatię". Że tak w rzeczywistości nie było i być nie mogło, to z całą pewnością nie tylko wina gospodarzy. Najgorszą usługę czynią Żydom wszyscy ci uduchowieni piewcy Izraela, którzy w tym nieszczęśliwym narodzie upatrują zawsze i wszędzie tylko niewinnego baranka ofiarnego.

Antologia „Izrael w poezji polskiej" posiada więc charakter użytkowo-publicystyczny i tendencyjny. Nie przekreśla to wszakże dobrej i sumiennej roboty filologicznej Jana Winczakiewicza, który przekopał się przez pięć wieków polskiej poezji lirycznej, epickiej, satyrycznej i ludowej, aby wybrać z niej 201 utworów pióra 126 autorów, nie licząc anonimów. Antologia jest do przesady przeładowana. Znaczną ilość wierszy można by w niej z pożytkiem pominąć. Również układ treści przedstawia się jako dziwaczna mieszanina. Włączenie do książki obszernego działu „Z ksiąg Pisma Św." dlatego, że Stary Testament, który dostarczył natchnienia zamieszczonym w tym dziale wierszem, jest „dziełem starożytnych pisarzy żydowskich", nie usprawiedliwia zamieszczenia tych wierszy w antologii, gdyż poeci polscy nie szukali w Biblii dziejów żydostwa, lecz Objawienia. Zresztą idąc tą drogą należałoby włączyć także i Nowy Testament.

(Dokończenie na str. 36)

ZDZISŁAW E. WAŁASZEWSKI

„PORTRET OFICERA"

Pod powyższym, bezpretensjonalnym tytułem ukazała się niedawno we Francji bardzo znamienna książka Pierre - Henri Simon.*) Jest to rodzaj dialogu o moralności, honorze i odpowiedzialności żołnierza za jego czyny na wojnie. W równej mierze przynosi ona odważny i drażliwy dla Francuzów sąd o kampaniach, które prowadzili w Indochinach i prowadzą jeszcze w Algerze. Fakt, że książka ta przyjęta została z wielkim oburzeniem przez pewne czynniki wojskowe, kolonialne i hura-partiotyczne, świadczy o wielkiej odwadze cywilnej i bezkompromisowości autora.

Pierre-Henri Simon jest — jak wiemy — jednym z najbardziej znanych intelektualistów katolickich we Francji. Autor licznych powieści, opowiadań, esejów, poeta, profesor literatury na uniwersytecie fryburskim w Szwajcarii oraz autor świetnej „Historii literatury francuskiej XX w.", Simon przemierza w dodatku kontynenty z odczytami, uczy, moralizuje, działa... Postać o niezwykłej ruchliwości i aktywności twórczej. Ma lat 57, czworo dzieci, jest porucznikiem rezerwy. Podczas wojny dostał się do niewoli w Bretanii i siedział w obozie karnym w Lubece. Tyle o pisarzu.

Major Jean de Larsan, bohater opowiadania, należy do rodziny szlacheckiej, „to znaczy, oddanej służbie zbrojnej i honorowi wojskowemu", która od XVI wieku dostarcza Francji oficerów w każdym pokoleniu. Przygotował się do swego zawodu „jak do przyjęcia habitu". Wychowany na starych ideałach rycerskich, oczytany i inteligentny, nie jest zdolny stać się ślepym wykonawcą rozkazów, które nie odpowiadając temu co moralne i ludzkie, boleśnie godzą w jego wysoki ideał rycerza. Stąd ten bohater kampanii 1940 roku, który rozbija dziewięć niemieckich panter, ulegając dopiero dziesiątej, ten jeniec i zbieg z obozu, kombatant na frontach afrykańskich i włoskich, ranny pod Monte Cassino, dowódca batalionu w Indochinach, a później w Algerze, przeżywa tragiczny konflikt wewnętrzny między poczuciem obowiązku, wypływającym z wiernej służby żołnierskiej, a świadomością, że kolonialne działania wojenne, w których bierze czynny udział, są niesprawiedliwe. Zmuszony przez okoliczności do opowiedzenia się po jednej ze stron, podaje się do dymisji w pełni wieku męskiego i powraca do swej posiadłości, aby wychowywać dzieci, hodować konie i zajmować się pasieką.

Dlaczego ten dramat? Larsan, wracając z Algeru, spotyka w Marsylii kolegę z baraku jenieckiego i, odczuwając potrzebę rewaluacji swego postępku, opowiada mu dzieje przeżywanego konfliktu. Szukając genezy swego czynu dochodzi do wniosku, że „winą" jego był fakt, iż „ośmielił się poddać tę grę wojenną absolutowi, który nie mieścił się w zupełności w jej naturze. To prawda, mówi, wniosłem w nią troskę o moralne usprawiedliwienia, której nie da się łatwo pogodzić z wymaganiami wojny".

Nie można tu mówić o defetyzmie. Od blisko 20 lat Larsan bije się za Francję i oddaje jej swą krew i zdolności bez reszty. Lata drugiej wojny światowej były dla niego okresem najszczęśliwszym, cel był jasny — odzyskanie niepodległości. Tragedia zaczyna się już od brutalnych scen samosądów i tańców śmierci, urządzanych przez partyzantów i ludność cywilną nad rannymi żołnierzami niemieckimi, czego Larsan jest świadkiem. Ale dopiero następne „piętnaście lat stały się próbą jego moralności, jego wiary, nawet jego odwagi w wykonywaniu obowiązków oficera francuskiego". Przez pewien czas na tyłach, zapoznaje się z sytuacją indochińską tak dokładnie, że z obrzydzeniem prosi o dowództwo na froncie, aby uciec od korupcji kolonialnej, pogoni za gwiazdkami, od cynizmu „patriotycznych" kolonistów i bankierów, myślących tylko o ocaleniu swych bogactw i utrwaleniu sytuacji, pozwalającej na robienie kapitalnych interesów. W głębi kraju działają bandy rabunkowe, jest głód, ucisk ludności i gorzki smak życia bez praw i ryzyka, oraz spróchniały do reszty system współpracy z lokalnymi władcami, których ofiarą padają najsłabsi i najubożsi, bo kto ma pieniądze, urządza się na przyszłość, płacąc haracz partyzantom Viet-Minhu. Nad wszystkim zaś unosi się pogarda kolonistów dla ludności lokalnej, okazywana przy każdej okazji. Nie robi się tu wyjątków nawet dla osób, które zdobyły wyższe wykształcenie i studiowały we Francji. Nic więc dziwnego, że ci ludzie znajdują się po stronie nieprzyjacielskiej, nie dlatego, iżby sympatyzowali z komunizmem, ale żeby odzyskać choć cząstkę swej pogardzonej godności ludzkiej. Przyjaciel Larsana, porucznik Sadoun, algerski mahometanin, szczerze przywiązany do Francji, rozumie sytuację i pragnie opuścić szeregi francuskie mówiąc: „Niech Francuzi załatwiają się z Vietnamczykami, to ich sprawa; bo to nie należy do mnie, ażeby przeszkadzać Żółtym w walce o odzyskanie niepodległości, kiedy my nie mamy jeszcze swojej własnej..."

W Algerze jest sytuacja podobna. Podczas gdy na najwyższych szczeblach drabiny wojskowej robi się politykę, wojsko prowadzić musi brutalną akcję policyjną. Walka przeciw terrorystom odbywa się wszelkimi dozwolonymi i niedozwolonymi metodami. Ażeby uzyskać informacje stosuje się wyszukane tortury, przeprowadza pacyfikację, przy pomocy puszczania z dymem całych wsi i wybijania winnych i niewinnych bez różnicy. Równocześnie traktuje się z wyraźną nieufnością żołnierzy algerskich w szeregach francuskich, a koloniści, podobnie jak w Indochinach, nie chcą się zgodzić na oddanie władzy prawowiernym mieszkańcom kraju, utrzymując ich w zależności politycznej, społecznej i kulturalnej. Larsan, hamując krwawe zapędy swego batalionu, natrafia na opór w szeregach i naganę ze strony sztabu. Szukając moralnego oparcia dla swego postępowania u kapelana wojskowego ks. Legouey, potyka się ze zdumieniem o całą kazuistyczną strukturę usprawiedliwień i obronę kontrakcji.. Wystarczyło bowiem „nazwać tę wojnę krucjatą, aby wszystko było w porządku". Zdanie: „Nie można dopuścić, ażeby ziemia św. Augustyna dostała się pod wyłączne panowanie mahometan" — służyło niejednemu chrześcijanowi za argument. Oczywiście byli również inni księża, Larsan spotykał ich czasem, takich np. jak ten seminarzysta francuski, siedzący u stóp arabskiego chłopca, któremu rozstrzelano ojca, a samego straszliwie zbito. Seminarzysta płakał z nim razem, nie starając się go nawet pocieszać, a na pytanie, dlaczego płacze, odpowiedział: „Wstyd mi przed tym chłopcem".

W starciach ze sztabem Larsan uświadamia sobie wreszcie fakt, że chodzi tu bardziej o prawowitość tych walk, a nie o ich sposób prowadzenia, bo nie można jednocześnie zgadzać się z zasadą, a nie zgadzać się z formą, jaką ta wojna przyjmuje. Tak znalazł się w pozycji swego poległego przyjaciela Sadouna i doszedł do wniosku, że jego pobyt i akcja w Algerze nie mają moralnego usprawiedliwienia. Widzi, że wina Francji polega na tym, że zbyt długo odmawiała swemu ludowi niepodległości. Wkrótce też prosi o zwolnienie ze służby i złamany wraca do cywila.

Problem Larsana, to problem żołnierza w pewnej mierze uniwersalny. Stąd też waga książki, nie tylko doraźna. Tej mądrej medytacji o wojnie zawdzięczamy oświetlenie wielu problemów, które zajmują umysły ludzi walczących: Jak rozumieć humanizm wojskowy? Czy żołnierz, słuchający ślepo rozkazów, które mogą się przerodzić w zbrodnie, przestaje być człowiekiem? Czy może on i czy powinien myśleć i oceniać moralną wartość rozkazu swego dowódcy? Czy kategoryczny imperatyw Kanta: „Czyń tak, ażeby reguła twego czynu mogła służyć za normę dla rodzaju ludzkiego" — jest wystarczający? Kiedy żołnierz ma prawo odmowy wypełnienia rozkazu? Czy moralność zwyczajna jest wystarczająca, lub może wymagać trzeba raczej moralności bohaterów i świętych? Odpowiedź na te pytania nie może być ani łatwa ani powszechnie zastosowalna. Major Larsan dał ją sobie nie bez zmagań wewnętrznych i oporów, ale „z uczuciem, iż doprowadzony został, przez głupotę możnych i kaprys losu, do tragedii, która nie wynika z konfliktu absolutów, tworzącego heroizm i poezję, ale z gmatwaniny absurdów, niszczących i napawających rozpaczą. Nie jest rzeczą wygodną wprowadzać w życie Corneille'a w wieku Kafki".

Czy Larsan postąpił mądrze i słusznie? Na pewno. Trudno nie zgodzić się z autorem, gdy mówi:

„Tak, Jan de Larsan wracał do domu złamany na duszy, zmęczony wykonywaniem swego zawodu żołnierskiego godnie i z pełną świadomością, bo pragnął uratować w nim człowieka. Takim, sądzę, musiał się podobać wejrzeniu Boga".

Zdzisław E. Wałaszewski

*) Pierre-Henri Simon, „Portrait d'un officier", Ed. du Seuil, str. 175, 500 fr.

ZASŁUDZE I SZTUCE

W dzisiejszych czasach rzadkim wydarzeniem jest życie, które poprzez wojny i kataklizmy nieprzerwanie i uparcie służyło tym samym sprawom: sztuce, oświacie i temu samemu miastu. Takim pomostem „między starymi i nowymi czasy" jest żywot Antoniego Wippla, 78-letniego artysty - malarza, pedagoga; Łódź — jego miasto obchodziło uroczyście 40-lecie pracy pedagogicznej i 50-lecie pracy artystycznej.

Rozproszeni po świecie b. wychowankowie szkół łódzkich: Kopernika, Narutowicza, Żeromskiego, Szczanieckiej — pragną podzielić się z rodakami słuszną dumą i rozrzewnioną wdzięcznością.

Założone niegdyś przez mieszczaństwo łódzkie po strajku szkolnym r. 1905 gimnazjum im. Mikołaja Kopernika, które zaadoptowało prof. Wippla, razem z nim brało udział w tragicznej historii ostatniego 20-lecia. Kiedy wybuchła wojna w r. 1939, chłopcy poszli bronić Warszawy. Wśród profesorów, którzy ruszyli z uczniami, był i Wippel. Nie wszyscy wrócili po kapitulacji stolicy. I niedługo trwała nauka w gimnazjum, zamkniętym zarządzeniem niemieckiego okupanta o likwidacji polskich szkół. Przez 5 lat Gestapo urzęduje w budynkach gimnazjum.

Do Łodzi opuszczonej przez Niemców w styczniu 1945 r. wraca z wysiedlenia prof. Wippel i, wraz z b. wychowankiem Józefem Cieślikiem, zabiera się do odtworzenia gimnazjum. Już w lutym szkoła zaczyna żyć, jako XV Liceum Ogólnokształcące. Otwarcia nie doczekał przedwojenny dyrektor Rajmund Bromirski, zmarły w Boże Narodzenie 1944 r. na poddaszu drewnianego domku w Piotrkowie Trybunalskim, po powrocie z przymusowej pracy przy kopaniu niemieckich okopów. W r. 1957/58 — I Liceum Ogólnokształcące im. Mikołaja Kopernika wraca do dawnej nazwy.

Antoni Wippel, malarz, wyszedł pół wieku temu z Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych i Wyższej Szkoły Przemysłu Artystycznego, spod ręki Wyspiańskiego, Fałata i Weissa. Do Łodzi zaniósł i uczniom przekazywał dorobek polskiego malarstwa i wiekowe tradycje historyczne Krakowa. Jego pejzaże zanosiły do Łodzi Polskę, którą przemierzał ze szkicownikiem od Tatr i rodzinnego Beskidu aż po polskie wybrzeże. Malował architekturę starego polskiego Krakowa i starego polskiego Gdańska.

Malował polskie kwiaty. Pędzel Wippla służył przy odnawianiu starych malatur kościelnych; jeszcze jako uczeń pomagał Stanisławowi Wyspiańskiemu w ozdabianiu krakowskiego kościoła franciszkanów. Przywoził do Łodzi śródziemnomorskie słońce z wypraw malarskich do Włoch.

Razem ze swoim miastem doświadczył gwałtów okupacji, wysiedlony przez Niemców. Jego pracownia została rozgrabiona. Ale jak odżyła z jego czynnym udziałem szkoła, w której uczył, tak też zapobiegliwie zbierał i odtwarzał swój dorobek malarski. Na jubileuszowej wystawie urządzonej przez Związek Polskich Artystów Plastyków w Łodzi zebrano 210 obrazów Antoniego Wippla. Pisał o nich Mieczysław Jagoszewski: „Jest to malarstwo piękne i szczere: jako zaś takie — nieskomplikowane i komunikatywne — trafia do szerokiego ogółu, dla którego sztuka tradycjonalna stanowi w dalszym ciągu niewyczerpane źródło wzruszeń i emocji estetycznych."

Profesor Antoni Wippel kochał młodzież polską i polską przyrodę i polskie zabytki. Słusznie jego miasto wyraziło uznanie zasłudze i sztuce 77-letniego „polrealisty".

Maciej Ostoja-Kotkowski

Wystawa rysunków w Galerii Grabowskiego

Miarą pożytecznej roli, jaką galeria Grabowskiego już odgrywa dla propagandy naszej kultury, są artykuły i reprodukcje w prasie angielskiej po pierwszej wystawie, chwalące tę inicjatywę.

Wystawa rysunków sześciu malarzy, członków Stowarzyszenia Plastyków w W. Brytanii jest drugą imprezą galerii. Bohusz-Szyszko, Kościałkowski (Marian) i Turkiewicz — to wybitni artyści starszego i średniego pokolenia; pozostali — to wybijający się wychowankowie prof. Bohusza-Szyszki. Wystawa przynosi bogactwo odmiennych form wypowiadania przeżyć plastycznych. Prace **Bohusza-Szyszki** w syntetycznej, czasami na granicy czystej abstrakcji formie, dają wrażenie monumentalności. Jest w nich sugestywna siła dramatu (Głowa Chrystusa, Głowa św. Jana, Chrystus i faryzeusze). Podparte kolorem rysunki **Turkiewicza** mają finezję i dystynkcję, a nic taniego efekciarstwa i sztuczek czysto technicznych. Dynamiczny talent **Mariana** (Kościałkowski) uzewnętrznia się w jego rysunkach; bardzo osobista fraza, pełna temperamentu pogoń za nowymi wciąż formami... Rysunki **Dobrowolskiego** są pełne poezji, lekkości i uroku (Farmerzy, Żony rybaków, Dziewczyna wiejska, Wywczasy). Prace **Beutlicha** (zwłaszcza Dziewczyna z ptakami i Głowa chłopca) dają wiele artystycznych wrażeń; forma oryginalna. Rysunki architektury **Leona** wykazują osobiste podejście i przekonywują jakością. **Znicz-Muszyński** pokazał rysunki abstrakcyjne ciekawe w rytmice i kompozycji, bez smaczków i łatwizn.

Całość na wysokim poziomie, godna zobaczenia. (84, Sloane Avenue, Chelsea, S. W. 3.)

W.F.F.



Szyszko-Bohusz

Głowa Chrystusa

SAN JUAN DE LA CRUZ

S O N E T

Nie skłania mnie, o! Boże, bym Ciebie uwielbiał
niebo, któreś Ty mi przyrzekł przed wiekami;
nie zastrasza mnie piekło swymi chimerami,
abym właśnie dlatego obrażać Cię nie śmiał.

Ty jeno wzruszasz mnie Twoim wyglądem, o! Panie
w drzewo krzyża przybity, obelgom wydany;
wzrusza mnie ciało Twoje z otwartymi rany,
wzrusza mnie hańba Twoja i Twoje konanie.

Wzrusza mnie w końcu Twa miłość tchnieniem tak płomiennym,
że choćby niebios nie stało, ja bym Cię miłował
i choćby piekła nie było, drżałbym przed Tobą obłędnie.

Nie musisz mnie darzyć za tę miłość we mnie,
gdyż — choćbym tego, czego czekam, doczekać się nie miał,
tak jak Cię kocham, Ciebie kochałbym niezmiennie.

Przetłumaczył z hiszpańskiego
Henryk Czesław Śliwiński

LISTY I UWAGI

O PEŁNEGO CONRADA

Z autorką artykułu „Conrad niepełny" (ŻYCIE, nr 2, 1959) przegadaliśmy niejedną godzinę na temat Conrada, zgodnie lub mniej zgodnie, i nie byłoby potrzeby przenosić naszej dyskusji na łamy ŻYCIA, gdyby nie to, że poglądy wyrażone drukiem nie mają już niewinnego charakteru prywatnej wymiany zdań — sięgają bowiem nieraz wpływem swoim daleko i jeżeli są sporne, wymagają publicznej odpowiedzi.

Autorka podpisana inicjałami H. S. P. żywi wiele żalów do Conrada, zresztą nie ona pierwsza. Jej artykuł jest głównie długim wyliczaniem tych pretensji. Czy słusznych? Spróbuję tu dotknąć po kolei zarzutów zawartych w artykule — oczywiście tylko dotknąć, jak przystoi w dziale „Listów i uwag".

H. S. P. pisze: „Polskość Józefa Nałęcz-Korzeniowskiego zaczęła się paczyć po odbiciu od brzegów ojczystych. Nie emanuje ona w jego dziełach literackich wszystkimi elementami psychiki polskiej".

I beg to disagree. Nie znam, nawet w naszej rodzimej literaturze, utworu, który dałby równie przenikliwy i wierny obraz charakteru polskiego, jak „Lord Jim". Wydaje mi się, że najbardziej zdumiewające w Conradzie jest właśnie zachowanie do końca cech rdzennie polskich, zarówno w życiu osobistym jak w twórczości. Czegoż nadto można żądać od człowieka, który przez kilkadziesiąt lat był odcięty od własnego środowiska? Ale zamiast mnożyć własne argumenty, wolę przytoczyć słowa angielskiego recenzenta z „Times Literary Supplement" (nr 2391), który omawiając zbiorowe wydanie dzieł Conrada pisał w ten sposób: „Próba wyśledzenia pochodzenia Conrada z jego pism prowadzi nieodwołalnie do polskich początków pisarza. I nie dlatego odkrywamy cechy polskie w jego dziełach, że z góry wiemy, iż był Polakiem; właśnie rodacy Conrada skłonni są przeczyć istnieniu wyraźnych oznak polskości u tego pisarza. Jednak okoliczności, które sprawiły, że od roku 1940 mogliśmy w naszym kraju poznawać z bliska polski charakter narodowy, prowadzą nieodwolalnie do wniosków, że cechy charakterystyczne Conrada są typowe dla polskiej budowy psychicznej. Czyżby te cechy były tak same przez się zrozumiałe dla Polaka, że rodacy Conrada nie są już zdolni dostrzec ich w jego książkach?"

H. S. P. uważa, że „bohaterom Conradowym brak kontemplacji w wyższych pokładach duszy", że twórczość Conrada „jest zubożała o najbardziej integralną część duszy, o pierwiastek religijny, towarzyszący narodowi naszemu poprzez wszystkie etapy historii, aż po dzień dzisiejszy..." Wydaje mi się, że idzie tu o wielkie nieporozumienie, którego nie tylko p. H. S. P. padła ofiarą i które dopiero ostatnimi czasy zaczyna się wyjaśniać. Odsyłam tu autorkę do znakomitego studium Antoniego Gołubiewa: „Katolickość Conrada" („Znak", nr 13). Na przekór pozorom Conrad jest pisarzem o niezwykle silnym wyczuciu wartości metafizycznych. Pod jednym tylko względem p. H. S. P. ma rację. W utworach Conrada nie znajdziemy typowo polskiej łatwości i powierzchowności metafizycznej; o powadze jego metafizycznych tęsknot możemy raczej wnosić z natężenia rozpaczy, z gorącości przeczenia. Jest on w tym o wiele bliższy dzisiejszej „czarnej literaturze", o której tyle się teraz rozprawia w czasopismach katolickich — aniżeli swoim współczesnym, zarówno wierzącym jak i niewierzącym.

H. S. P. odnosi się nieufnie nawet do chęci Conrada powrotu do Polski, wyrażanej wielokrotnie pod koniec życia pisarza, według świadectwa jego żony Jessie. „Człowiek chory najczęściej snuje fantastyczne plany, których realizacja przekracza siły jego i możliwości." Dlaczegóż jednak mielibyśmy lekceważyć marzenia starego człowieka? Właśnie w marzeniach, tak jak w snach ujawnia się prawda uczuć. A idzie przecież o to, co Conrad czuł, nie co zdołał przeprowadzić.

Nie wyczerpałem tu listy pretensji p. H. S. P. do autora „Nostromo", lecz wypada już kończyć. Na zakończenie po prostu przytoczę ustęp z listu Conrada, pisanego w roku 1901 do Józefa Korzeniowskiego, wnuka autora „Kollokacji". List ten został niedawno odkryty w Kraju i będzie opublikowany w „Kwartalniku Neofilologicznym". Ten głos zza grobu odpowie chyba najbardziej autorytatywnie na przeróżne zarzuty stawiane Conradowi przez rodaków od głośnego listu Orzeszkowej począwszy.

„A niech mi łaskawy Pan pozwoli tu powiedzieć, że ani narodowości ani nazwiska naszego wspólnego nie zaparłem się bynajmniej dla powodzenia. Jest jasno wiadomem, że Polakiem jestem i że Józef Konrad są dwa chrzestne imiona, z których drugie używam jako nazwisko, by mi mojego cudzoziemskie usta nie wykrzywiały — czego znieść nie mogę. Nie zdaje mi się, bym krajowi był niewierny, dlatego że Anglikom dowiodłem, iż szlachcic z Ukrainy może być tak dobrym marynarzem jak i oni i mieć coś do powiedzenia im w ich własnym języku. Uznanie takie, które sobie zdobyłem, właśnie z tego punktu widzę i oceniam i cichym hołdem składam gdzie należy."

Wit Tarnawski

O NIEZŁOMNYCH AUTORYTETACH I NIEPOSŁUSZNEJ HISTORII

Jak wytłumaczyć poloniście, że zmienia się nie tylko język, ale i ludzie, którzy tym językiem mówią? Jak przekonać polskiego nacjonalistę XX wieku, że miecz Chrobrego był orężem monarchii Piastów, ale nie narodu polskiego, bo żaden naród w nowoczesnym sensie nie istniał ani za czasów Chrobrego, ani przez szereg wieków potem? Jak sprostować zupełnie błędny pogląd na historyczną niezmienność celów partii torysów lub liberałów w Wielkiej Brytanii? Jak wyjaśnić niezłomnemu emigrantowi, że „dobro narodu i państwa" to nie pojęcie bezwzględne i statyczne, lecz mające jakikolwiek sens tylko w odniesieniu do warunków czasu i miejsca, i że wobec tego polityka Gomułki może nie jest „zupełnie łajdacka"? Co zrobić, żeby emigrant, który się od Polski trzyma z daleka, zrozumiał jednak, że Gomułka to nie Bierut? Jak wpoić przekonanie, że przemiany historyczne są nie tylko ideą drogą historykowi, ale także i faktem, i to dość zasadniczym? Jak nauczyć ludzi historycznego myślenia, zarówno o przeszłości, jak i **o przyszłości** — np. pogodzić ich z faktem, że walka o pełną suwerenność może się stać czymś przestarzałym wobec narastania form ponadpaństwowych?

Chciałbym znać odpowiedź na te pytania, bo wtedy łatwiej byłoby mi dyskutować z p. J. B. o wyjazdach do Kraju, lub o czymkolwiek innym, a mój Oponent ze swej strony nie musiałby bronić wczorajszych koncepcji i oskarżać o dywersję tych, co się z nimi nie zgadzają.

Tym razem główny argument p. J. B. przeciw wyjazdom do Kraju polega na tym, że są one czymś indywidualnym, podczas gdy emigracja polityczna wymaga zbiorowej wierności pewnej niezłomnej koncepcji. Przedstawicielami tej koncepcji są uznani leaderzy emigracyjni; krytykowanie tych uznanych autorytetów „prowadzi prostą drogą do zagubienia sensu emigracji, do sobkostwa, widzimisiostwa, kultu własnej osoby, a w końcu do rozstania się ze społeczeństwem emigracyjnym". Co więcej, z chwilą, kiedy ktoś postanowił kierować się własnym rozsądkiem, a nie legalizmem lub autorytetem, traci prawo zabierania głosu w sprawach emigracyjnych. Kto chce być wolny od uprzedzeń, uproszczeń, oraz ignorancji, ten jest nihilistą i •udystą politycznym.

Myślę, że samo zwrócenie uwagi na te elementy w wypowiedzi p. J. B. właściwie zwalniałoby już od polemiki z nimi. ŻYCIE jest pismem dla światłych katolików, którzy wiedzą, że argument oparty na autorytecie jest, w sprawach ludzkich, najsłabszym z argumentów. Chciałbym jednak wyjaśnić, że wbrew insynuacjom p. J. B., nie pretenduję do przemawiania ani w imieniu Kraju, ani masy emigracyjnej. Moje poglądy są poglądami człowieka, który stara się przekonać czytelników przy pomocy własnych argumentów i własnych obserwacji, podkreślając przy tym brak logiki w argumentach przeciwnika. Natomiast p. J. B. usiłuje zapewnić sobie uprzywilejowane stanowisko strażnika nieomylnej koncepcji, która wyznacza nie tylko cele, ale i środki. W ten sposób ktokolwiek odważy się krytykować już to ostateczne cele emigracji, już to niezłomny upór w zakresie metod — np. wyjazdów do Kraju — ten z samej definicji wypada poza nawias i nie powinien w ogóle zabierać głosu. Bardzo to wygodne stanowisko: moje własne teorie są ipso facto oficjalne, obiektywne i słuszne, cudze zaś są automatycznie subiektywne, anarchiczne i szkodliwe. I p. J. B. twierdzi, że „nie rozumie finezji rozróżnienia na „maluczkich" i „wielkich"!! Żaden ekskluzywny „establishment" nie domaga się tak wygórowanych przywilejów jak nasi niezłomni.

Niestety, takie rozumowanie jest jedną wielką tautologią. Aby się o tym przekonać, wystarczy poprosić p. J. B., aby nam pokazał drugą stronę medalu, odwrotną od indywidualizmu jednostek, tych „panów inteligentów, studentów, malarzy, poetów, handlowców", o których wyraża się z iście natolińskim prze-

kąsem. P. J. B. twierdzi, że jednostki nie mogą na swój sposób „zbawiać ojczyzny, obmyślać praw, zawierać sojuszów, wypowiadać wojny, planować gospodarstwa narodowego, urządzać państwa". Zgoda, ale niech nam teraz p. J. B. powie, kto może? Gdzie jest ten ośrodek emigracyjny, ta wyrocznia, ten autorytet, który (nie mówiąc już o fizycznych możliwościach) miałby moralne prawo do tego? Czyżby p. J. B. zapomniał o smutnej historii ostatnich lat? Bez wchodzenia w szczegóły potępieńczych swarów i skandali, musimy stwierdzić na zimno, że nikt dzisiaj nie cieszy się ogólnym szacunkiem i posłuchem. Nikt nie posiad rządu dusz, nikt nie może pretendować do monopolu słusznej koncepcji emigracji. Był czas, że pewne założenia przyjmowano bez namysłu. Dzisiaj znalazły się one pod ogniem krytyki, i żadne zaklinania ani wyklinania tej dyskusji nie stłamszą. To, że p. J. B. jest polonistą i literatem, a ja historykiem, nie daje Mu żadnej przewagi, poza wątpliwym przywilejem zaciemniania dyskusji przez używanie pleonazmów. Liczą się argumenty, nie autorytety.

Całkiem więc nie do przyjęcia jest teza, że niezłomni mają wieksze prawo niż turyści do „ustalania własnej polityki emigracyjnej". Kto im to prawo dał i na jak długo? I ostatecznie, tych emigrantów, którzy popierają kontakty z Krajem, jest już spora gromada. Gdyby ci wszyscy, którzy odwiedzili Kraj, odsunęli się od życia społecznego i kulturalnego emigracji, gdyby tę emigrację „pozostawili łaskawie w spokoju", jak chce p. J. B., byłby to duży cios. Niezłomność prowadzi tutaj do sekciarstwa i żąda jeszcze jednego rozłamu, na to tylko, aby uszczuplone lecz prawowierne grono emigrantów politycznych mogło się dalej spokojnie "bawić w legalizm".

O ile p. J .B. chce wiedzieć, jak te sprawy wyglądają w społeczeństwach demokratycznych, to niech przyjrzy się np. różnym reakcjom brytyjskiej opinii publicznej na Suez lub Rodezję. Tendencje do izolacji, do konformizmu, do wyrzucania za nawias, są objawami maccartyzmu, nie demokracji. Jeśli miałoby nastąpić odbudowanie zaufania na emigracji, to tylko drogą demokratyczną, gdzie każdy miałby prawo zjednywać poparcie dla swych opinii, a nie drogą narzucania nieomylnych poglądów przez grupę legalistycznych leaderów. Tej ostatniej drogi już próbowano, i z wiadomym skutkiem. Nie mogło być inaczej, bo ta sama apodyktyczna mentalność, która stanowi pożywkę dla niezłomności, prowadzi także do nieprzejednanych rozłamów i skostnienia w przestarzałych formułkach.

P. J. B. chwali się własną znajomością masy emigracyjnej i chce ją zapisać po swojej stronie jako emigrantów politycznych w sensie niezłomnym: „trudno ich postawę określić inaczej niż postawą walki". Zaś w styczniu pisał p. J B. tak: „ta masa traci zainteresowanie dla spraw polskich" i „znaczna część masy emigracyjnej szybko się wynaradawia". Mogę tylko wyrazić radość z powodu tak szerokiego odrodzenia patriotyzmu między styczniem a marcem.

P. J. B. gani mnie za to, że jakoby odbiegłem od tematu, polemizując z różnymi Jego poglądami ze „starych felietonów". Ta niepotrzebna liczba mnoga odnosi się do „Po łepkach" z kwietnia 1958, kiedy to p. J. B. chłostał „tendencje do ożywienia bezpośrednich, indywidualnych więzów poszczególnych jednostek z Krajem". Każdy bezstronny czytelnik uzna, że o to właśnie chodzi w sporze o wyjazdy do Kraju; co więcej, uznał to i sam p. J. B. w swej ostatniej wypowiedzi. A więc raz jeszcze w zapale polemicznym p. J. B. przeczy sam sobie.

Wolno p. J. B. używać argumentów sprzecznych i nieprzekonywujących. Muszę natomiast zaprotestować przeciw insynuacji, że gdy cytowałem opinię gości z Kraju, powoływałem się na „mitycznych anonimów". To, że bez potrzeby i bez upoważnienia nie szafowałem nazwiskami, nie daje nikomu prawa do insynuowania, że zmyślam, koloryzuję lub kłamię. Nie wolno nikogo gołosłownie pomawiać o nieuczciwość w słowie lub piśmie. Moje twierdzenie było oparte na rozmowach z szeregiem osób rzeczywistych a nie mitycznych. Jeśli p. J. B. nie wie, co należy rozumieć pod krytyką chrześcijańską, to ma tutaj przykład czegoś, co na pewno pod tę kategorię nie podpada. Dodajmy, że p. J. B. cytuje przeciw moim wnioskom co do opinii krajowej dwie wypowiedzi z ostatniego numeru „Merkuriusza", z których jedna w ogóle nie pochodzi od gościa z Kraju, a druga wyszła spod pióra niedawnego emigranta p. Łuczaka. Dziwne, że p. J. B. nie zauważył w poprzednich numerach „Merkuriusza" szeregu wypowiedzi gości z Kraju, całkiem różnych w tonie od powyższych i odrzucających niezłomne koncepcje. Może teraz, gdy „Merkuriusz" zmienił redakcję i wrócił na łono niezłomnych, łatwiej jest z niego cytować?

Andrzej Malkiewicz

P.S. Ilu Polaków pozostało w łagrach sowieckich? Około pół miliona, według dość wszechstronnych obliczeń „Dziennika Polskiego" z 1 sierpnia 1958. Trzy razy mniej niż według p. J. B.

Wyjaśnienie p. J. B.:

Nie zamierzam już więcej polemizować z P. Malkiewiczem. Powiedzieliśmy obaj, jak mi się zdaje, wszystko, a nawet więcej niż trzeba było.

Winien jestem tylko jedno wyjaśnienie. Nigdy nie zarzucałem P. Malkiewiczowi nieuczciwości. natomiast powtarzam, że powołuje się On znowu na sądy mitycznych, a więc nieuchwytnych, anonimów. Dziwne, że nazwisk gości z Kraju, którzy wypowiadali ujemne sądy o przywódcach emigracji, nie może P. M. ujawnić, i to „ze zrozumiałych względów". Czyżby reżym miał teraz takie sądy za złe?

J. B.

CZY ŻYCIE STAJE SIĘ ZBYT ELITARNE?

Z zainteresowaniem śledziłem głosy czytelników na temat „być czy nie być" ŻYCIA, jego poziomu, ceny itd. Według mnie jest dużo racji w opinii, że miesięcznik staje się zbyt elitarny...

Czy nie dałoby się oszczędzić cokolwiek na jakości papieru? Szata jest ważna ale treść bardziej, 95% prenumeratorów na pewno wyrzuca pismo jeśli nie po miesiącu to po roku z braku miejsca. Dużo periodyków szwedzkich o solidnym zapleczu ekonomicznym jest wydawanych na gorszym papierze.

Jeśli Pan uzna za stosowne to proszę o przekazanie przy okazji tych — podyktowanych troską — uwag do Londynu..."

inż. Witold Kadura
(Göteborg)

ŻYCIE

KATOLICKI MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ROK XIII Nr 4(565)

Kwiecień 1959 r.

Wydaje:

Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas", 12 Praed Mews, London, W.2
Telefony: AMBassador 6879; PADdington 9734

Redakcja: Godziny przyjęć codziennie z wyj. sobót, niedziel i świąt g. 3-4 pp. Redakcja rękopisów nie zwraca.

Administracja: Czynna codziennie od 9-12 i 2-5 z wyj. sobót, niedziel i świąt.

Prenumerata (płatna z góry): kwartalnie: szyl. 9/-, dol. 1.50, fr. fr. 620; półrocznie: szyl. 18/-, dol. 3.00, fr. fr. 1240; rocznie: szyl. 36/-, dol. 6.00, fr. fr. 2480. W prenumeracie lotniczej dolicza się koszt przesyłki lotniczej.

Wpłaty: a) w krajach bloku szterlingowego: Postal lub Money Orderami lub czekami bankowymi 'crossed' (//), **b) w krajach bloku dolarowego:** International Money Orderami lub zwykłym przekazem jakiegokolwiek banku amerykańskiego, **c) we wszystkich innych krajach:** do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym wprost do Administracji ŻYCIA.

Zmiana adresu szyl. 1/-, płatne równocześnie z zawiadomieniem.

Ceny ogłoszeń: 1 cal × 1 łam £1.5.0, dol. 3.00., fr.fr. 1000. Kolor 100% drożej.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Argentyna: „Libreria Polaca", Serrano 2076, piso I, Buenos Aires. **Australia: „Społem"**, 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S.A., **Vistula (Aust.) Pty Ltd.**, Daking House, Rawson Place, Sydney, N. S. W. **Belgia: Mme E. Kułakowska**, 1, Avenue Tedesco, Bruxelles 16. — Pren. kwart. 60 frs. **Brazylia: ks. dr Antoni Łatka**, Praca Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo. **Dania: Ks. O. J. Szymaszek**, Skt. Annae Kirke, Hans Bogbinders Alle 2, Kobenhavn S. **Francja: W. Olszewski**, 39 Avenue de la Republique, Bessancourt (S. et O.) C. C. P. Paris 13512.43. **Holandia: B. Galas**, Fagelstraat 15A, Breda. **Kanada: Vatra Trade**, 277 Selkirk Ave., Winnipeg 4, Man. **Niemcy: St. Mikiciuk**, Gablonzerstrasse 7/I, (13b) München 45. Pren. kwart. 5.40 MD. **Norwegia: B. Łubiński**, Kongesgat 2, Moss. **Stany Zjednoczone: „Gryf Publication"**, 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; **M. Kijowski**, 1176 Woodland Ave., Plainfield, N.J. **„Pomoc" — Eksport-Import**, 761 Filmore Ave., Buffalo 12, N.Y. **Miss Alicja Kowalczyk**, 12135 St. Aubin Hamtramck 12, Mich. **Szwajcaria: Mme B. Gierszewska**, Wallisellenstr. 483, Zurich, konto poczt. Zurich VIII 50734. Pren. kwart. 3.75 fr. **Szwecja: Mgr B. Kurowski**, Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 7.00 krs. **Włochy: Antoni Grzybowski**, via Michele Amari 52, Roma.

OBIEKTYWIZM?

W „Notatkach“ z zeszłego miesiąca felietonista ŻYCIA J. B. poświęca znowu sporo miejsca grupie „Merkuriusza“. Z zadowoleniem stwierdza, że „okoliczności towarzyszące odejściu zbuntowanej grupy poetów z „Merkuriusza Polskiego“ i założeniu „Nowego Merkuriusza“ potwierdzają w całej rozciągłości nasz sąd o wstręcie do demokracji tych wychowanków wyższych uczelni brytyjskich“; a dalej, że „legalny Merkuriusz“ „ujawnia niewiarygodne wprost szczegóły buntu“. Opierając się w dalszym ciągu na artykule p. Ludwika Angerera p. J. B. natychmiast obwołuje go obiektywną historią, choć mamy tam megalomanię, strojenie się w cudze piórka, no i nieprawdę...

Trochę wiele jak na bezstronnego felietonistę katolickiego miesięcznika. Przypomina się nieco radość „Orła Białego“ czy „Syreny“. Pan J. B. najspokojniej w świecie dał się nabrać właśnie owym „niewiarygodnym“ szczegółom p. L. Angerera, którego umiejętności tworzenia fikcji najwidoczniej nie docenia. Dlaczego nie przyszło p. J. B. do głowy podnieść słuchawkę i zadać „obiektywnemu historykowi“ kilka pytań w rodzaju:

Czy to prawda, że to właśnie p. Angerer zagroził konfiskatą ostatniego naszego numeru co w konsekwencji spowodowało zabezpieczenie 300 egz. pisma w drukarni? Mówienie o włamaniu do lokalu i zabieraniu pisma stamtąd jest nieprawdą.

Czy to prawda, że jeszcze przed Walnym Zjazdem kazano usunąć z lokalu i schować przed redakcją kartotekę pisma, której część była zdobyczą redakcji?

Czy to prawda, że Zrzeszenie w ciągu ostatniego półtora roku „Merkuriusza“ wcale nie finansowało, o czym p. Angerer wie doskonale?

Czy to prawda, że członkowie wyrzuconej redakcji wpłacili na konto pisma 36 funtów m. i. na ręce p. Angerera na krótko przed Zjazdem i że pieniędzy tych nie chce im się zwrócić, choć pozbawieni zostali wpływu na dalsze losy pisma?

Listę pytań mógłbym dowolnie powiększyć. Gdyby p. J. B. potrudził się o uzyskanie odpowiedzi na nie, zrewidowałby swój sąd o obiektywizmie p. Angerera.

Przykro mi, że musiałem zabrać głos w sprawie sporu nie mającego nic z ŻYCIEM wspólnego, ale p. J. B. przeniósł nieścisłości p. Angerera z jego własnego pisma na łamy ŻYCIA. Mam nadzieję, że nie zrobił tego ze złej woli, ale z naiwności, niemniej, jako współpracownik ŻYCIA nie mogę fałszywych zarzutów pozostawić bez sprostowania.

Podejrzaną także wydaje mi się euforia, z jaką wita p. J. B. nowy(?) ton nowej „autentycznie“ studenckiej redakcji. Mogę go zapewnić, że nie jest ona ani o włos bardziej studencka od usuniętej, a redaktor jest nieomal dwa razy starszy od dawnego. No, ale jeżeli fakty przeczą tezie, biada faktom. Gorzej jest z poklepywaniem różnych ludzi. Czyżby p. J. B., ongiś śmiały i zadzierzysty felietonista, wierzył naprawdę w banały, którymi okrasił ostatnie „Notatki“?

Florian Śmieja

Wyjaśnienie J. B.

P. Florian Śmieja doprawdy przecenia moje uzdolnienia. Dalibóg, nie jestem jasnowidzem i absolutnie nie wpadło mi do głowy, aby zadawać p. Angererowi pytania, które mi teraz dyktuje p. Śmieja. Jeśli to, co napisał p. Angerer jest istotnie nieprawdą, to zaiste nie moja wina. Moją winą są niewątpliwie tylko „banały“, w które wierzę.

J. B.

„IZRAEL W POEZJI POLSKIEJ“

(Dokończenie ze str. 31)

boć i Ewangeliści, i Apostołowie to także autorzy żydowscy.

Rozdział „Ofiarom hitleryzmu“ nosi tytuł zgrzytliwie publicystyczny i obok znakomitych liryk zawiera mnóstwo materiału bez wartości artystycznej. „Ziemia Obiecana“ wydaje się zupełnym nieporozumieniem. Pod takim tytułem można by zamieścić utwory poetów żydowskich lub pochodzenia żydowskiego, ale nie bardzo wiadomo, dlaczego np. Wł. Broniewski lub St. Baliński mieliby ziemię Izraela uważać za obiecaną. Na koniec wybór z poezji ludowej swoim groteskowo - kukiełkowym charakterem kłóci się i z tonem ogólnym i z założeniem antologii.

Mimo tych wszystkich błędnych kryteriów, rzetelnej pracy Winczakiewicza zawdzięczamy zestawienie, przypomnienie, a nawet wydobycie z zapomnienia wielu wzruszających wierszy o Żydach polskich, zwłaszcza z XIX stulecia (Syrokomla, Wacław Szymanowski, Wolski, Pajgert, Gomulicki, Tetmajer, Kasprowicz, Staff). Znaczna część poezji najnowszej to raczej publicystyczny surowiec, ale wśród tych wierszy znajdują się również rzeczy najwyższej próby artystycznej (Łobodowski, Bohdanowiczowa, Miłosz, Piechal, Różewicz, Zechenter, Tuwim, Slonimski).

J. B.

KSIĄŻKI NADESŁANE

„LEKTION DER STILLE“ — NEUE POLNISCHE LYRIK — Ausgewählt und übertragen von Karl Dedecius. Carl Hauser, München, 1959. (Poeci: Tadeusz Różewicz, Julian Przyboś, Konstanty Ildefons Gałczyński, Julian Tuwim, Aleksander Wat, Mieczysław Jastrun, Adam Ważyk, Marian Jachimowicz, Jan Spiewak, Jakub Zonsztajn, Paweł Hertz, Tymoteusz Karpowicz, Miron Białoszewski, Kazimierz Koszutski, Wisława Szymborska, Leszek Elektorowicz, Zbigniew Herbert, Jerzy Ficowski, Jerzy Waleńczyk, Ryszard Danecki, Andrzej Piotrowski, Małgorzata Hillar, Antoni Podsiad, Stanisław Jaworski, Jerzy Harasymowicz, Stanisław Grochowiak.

Z emigracji: Kazimierz Wierzyński, Józef Łobodowski, Czesław Miłosz, Jerzy Pietrkiewicz, Zygmunt Ławrynowicz, Florian Śmieja, Bolesław Taborski, Janusz Ihnatowicz, Bogdan Czaykowski.)

P. G. BÜRGER SDS. — POD OKIEM MATKI — rozmyślania maryjne — przekład na język polski (z „An der Hand der Mutter“): księżom polskim na Tysiąclecie drukiem Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego. Rzym, 1959, str. 131.

PROGRAM ZWIĄZKU KOMUNISTÓW JUGOSŁAWII — KRYTYKA „KOMUNISTA“ — Biblioteka „Kultury“ t. XI — Dokumenty — Instytut Literacki, Paryż, 1959, str. 273.

JĘDRZEJ GIERTYCH — WSPOMNIENIA OCHOTNIKA — odbitka z „Horyzontów“, Paryż, 1958. Do nabycia u autora: 16, Belmont Road, London, N. 15. Cena 10 szyl. 6 pensów lub dol. 1.50.

JÓZEFA RADZYMIŃSKA — BAR POD PROMETEUSZEM — sceniczny obraz symboliczny i WIERSZE. Wyd. nakładem własnym, Buenos Aires, 1958, str. 31.

SPROSTOWANIE

Do artykułu o. F. Bednarskiego w ŻYCIU nr 563, pt. „Odpowiedzialność za młodzież w kraju“ wkradły się podczas adiustacji i korekty następujące błędy: str. 11, w. 6 od końca: zamiast „chcę wracać“ ma być: „chce wracać“, w. 23 — zamiast: „wbrew“ ma być: „mimo“; str. 12, w. 26 od góry — zamiast: „jeśli mógł a więc powinien“, ma być: „jeśli mógł i powinien“, w. 7-8 — zamiast: „prawdziwą Polskę, pełną prawdy, której... w Kraju“ ma być tylko: „tę prawdziwą, realną Polskę“.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734.